Łódź

Odgłosy

tygodnik społeczno-kulturalny

PL ISSN 0472-5042

Nr indeksu 36762

NUMER 51-52 (1447-1448) ROK XXVIII 21-28 GRUDNIA 1985 ROKU CENA 30 ZŁ

Czytelnikom i Przyjaciołom
zdrowych, pogodnych Świąt
życzy
zespół „Odgłosów"

Kaśka nad Hawaną

Rozpoczynamy druk reportaży specjalnego wysłannika „Odgłosów" na Kubę i do Nikaragui.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

29 października 1985 r., po pierwszych oficjalnych spotkaniach w Ministerstwie Spraw Zagranicznych i w Casa de Las Americas, wróciłem do hotelu Lincoln, zjadłem kolację w Sali Turkusowej, której podłoga wyłożona jest szczerym marmurem, a każdego gościa obsługuje jednocześnie sześciu kelnerów, po czym poszedłem nad zatokę, aby obejrzeć

EL ESPECTACULO

Fale waliły o Malecon, a gromady nagich dzieciaków pławiły się w wodzie. Jezdnia na całej szerokości przypominała wzburzoną rzekę. Rwący skiębiony, zaciągnięty pianą nurt bulgotał w rynsztokach i hasał na chodnikach. Znieruchomiałe samochody niczym ciśnięte na pastwę losu amfibie, grzęzły w kipieli tak długo, dopóki kierowca nie zdjął spodni i nie zepchnął przy pomocy chłopaków swojego pojazdu w jedną z prostopadłych, biegnących do śródmieścia uliczek.

El espectaculo — wielkie, darmowe widowisko, któremu przyglądali się z hotelowych tarasów turyści. Nie było nawet specjalnego wiatru i jeszcze niedawno, w południe, świeciło słońce, ale nad wybrzeżem Stanów Zjednoczonych przeszedł tajfun Juan i Atlantyk demonstrował w Hawanie swoją krzepę: tłukł fala za falą w betonowy mur Maleconu, który wzniesiony został właśnie na okoliczność takich ataków. Strzelały gejzery nieraz huczące złowieszczo, ukazywała się nad miastem wielopiętrowa ściana wody, aby runąć na wychłostane chodniki i jezdnie.

Dzieciarnia wrzeszczała z radości. Śmiałkowie wskakiwali na Malecon prowokując nadciągające bałwany i umykając przed nimi w ostatniej chwili na drugą stronę bulwaru. Fala dopadała ich z westchnieniem. Szszsza! Podcinała stopy, kładła pokotem, przygważdżała do podnóża domów.

Służby specjalne otrzymały rozkaz, aby powstrzymać zabawę, która skądinąd praktykowana jest od wieków. Policjanci jednak, słusznego wzrostu chłopy w czarnych butach z cholewką i tropikalnych mundurach, stali pośród turystów za narożami kamienic w podcieniach, których nie sięgała woda, i jeśli nawet pokrzykiwali, jeśli dali bez większego przekonania w swoje przeszywające gwizdki, władza ich kończyła się tam, gdzie zaczynała się władza żywiołu.

Turyści, grupa Francuzów z hotelu Deauville, wymieniali uwagi:

— *Wspaniale!*

— *Niesłychane!*

— *Nigdzie czegoś takiego nie zobaczysz.*

Na drugi dzień Atlantyk ciągle jeszcze bombardował szańce Maleconu — woda poszła w głąb starej Hawany zalewając odległe place i ulice. Na trzeci dzień mówiło się o ofiarach. Zginęło trzech pracowników hotelu Rivera: morze porwało ich z tarasu kawiarni i cisnęło o kamienne płyty chodnika.

CALMA

Potem uspokoiło się. Zatoka była gładka jak stół. Wyschły place i bulwary. Wzdłuż Maleconu znowu stali rybacy z wędkami. Prasa pisała o tragediach w innych częściach Ameryki Łacińskiej.

13 listopada 1985r. odleciałem do Nikaragui, gdzie byłem przez tydzień gościem ambasady PRL. W wigilię powrotu do Hawany, 19 listopada wieczorem, usłyszałem w radio managuańskim, że Kubę nawiedził cyklon o wdzięcznym imieniu Kate.

Nadszedł znowu od wybrzeży Stanów Zjednoczonych. Podobnie jak zrobił to wcześniej amerykański samolot szpiegowski. Słodka Kasia przeleciała wzdłuż całej wyspy nabierając chwilami szybkości stu siedemdziesięciu kilometrów na godzinę i powodując ogromne zniszczenia.

— *Wszystko, co złe* — mówili Nikaraguańczycy — *przychodzi zawsze z USA.*

LA NEVADA

Gabriel Cespedes, czterdziestoletni pisarz kubański skądinąd zresztą inżynier mechanik, szef Departamentu Badań Transimportu w Las Villas, otrzymał nagrodę literacką młodych PREMIO DAVID za powieść z gatunku science fiction „Śnieżyca" w której inteligentnie i zgrabnie aczkolwiek bez nadmiernej grozy, wykreował obraz Kuby zaatakowanej znienacka przez potworną falę chłodu. Temperatura spada poniżej zera. Są ofiary w ludziach: zdychają zwierzęta więdną drzewa i owoce.

Książka znajdzie zapewne czytelników, jednakże wydumana fabuła budzi wątpliwość wziąwszy pod uwagę, że Kuba, podobnie, jak cały amerykański kontynent, ma dosyć prawdziwych problemów, z którymi nie jest w stanie konkurować żadna fikcja.

W Kolumbii była erupcja wulkanu, w Meksyku trzęsienie ziemi, w Salwadorze szwadrony śmierci posiały trupy na ulicach, w Nikaragui każdego dnia ginęli mężczyźni w okopach, ginęli starcy i kobiety w domach na wybrzeżu atlantyckim, ginęli piętnastoletni chłopcy i piętnastoletnie dziewczęta w szkołach, które stały na przyfrontowym terenie ginęły wreszcie całkiem małe dzieci, takie, którym w Polsce wtyka się do ust smoczki, w Nikaragui natomiast Kontrasi wtykali im bagnety w okolice serca.

Co się tyczy Kuby, nie mróz nie wydumna śnieżyca, zwaliła tropikalną wyspę z nóg, a zwykłe, najzwyklejsze wietrzysko które zwyrodniało nagle zaczęło szaleć i kręcić, zwalniać i nabierać niszczycielskiej prędkości.

UN CICLON O UN HURACAN?

Samolot wylądował na lotnisku José Marti w Hawanie z siedmiogodzinnym opóźnieniem. Przeszedłem kontrolę paszportową i cło, i stanąłem na chodniku przed budynkiem dworcowym. W powietrzu nieruchomym i parnym dźwięczała cisza.

Ktoś wymówił po polsku moje nazwisko.

— Si, senor — powiedziałem.

Człowiek, niewysoki i szczupły, z twarzą bezsprzecznie słowiańską wyciągnął rękę.

2

Foto: Grzegorz Gałasiński

Chcę grać jak najlepiej

Rozmowa z WŁODZIMIERZEM SMOLARKIEM, kapitanem drużyny piłkarskiej RTS Widzew.

— Nie piszą o panu najlepiej dziennikarze, nie mówią dobrze kibice. Dlaczego?

— Po kontuzjach, jakie miałem i po operacji, jaką przeszedłem nie miałem czasu na właściwe przygotowanie się do sezonu piłkarskiego. Miałem więc mecze nieudane, ale i takie, kiedy grałem dobrze. W reprezentacji Polski też.

— Ocenia pan siebie lepiej niż kibice.

— Nie lepiej, tylko inaczej. Kibice oczekują zawsze najwyższej formy i najlepszej gry. A to przecież nie zawsze jest możliwe. Człowiek zmienia się, ma kłopoty, choćby ze zdrowiem.

— Kontuzja pozostawia jednak ślad?

— Zapewne, ale nie w tym sensie, w jakim pani myśli. Dwukrotnie złamałem obójczyk w tym samym miejscu. I po kuracji grałem prawie wszystkie mecze w reprezentacji. Gdy wychodzę na boisko, nie myślę o kontuzjach i operacji. Nic mnie nie boli, nie myślę o tym. Nie zastanawiam się, jakie konsekwencje dla mego zdrowia może mieć rozgrywany mecz. Chcę jak najlepiej grać. Tak więc, to nie kontuzja przeszkadza, ale niedostateczne przygotowanie do sezonu. Układ krążenia nie jest właściwie przygotowany. Sił starcza tylko na pierwszą połowę. Mam tego świadomość i muszę się bardziej oszczędzać. To wszystko.

— Teraz będzie pan miał czas, aby się dobrze przygotować do nadchodzącego sezonu.

— Tak. Chcę solidnie przepracować zimę, dobrze przygotować się, aby kibice i dziennikarze nie mieli do mnie pretensji. Zauważyłem ostatnio, że jakoś dziennikarzom przestałem się podobać. Nie bardzo wiem, o co chodzi.

— W perspektywie są mistrzostwa świata w Meksyku.

— Właśnie dlatego muszę dobrze przygotować się, aby było mnie stać na taką grę, jak na przykład w 1983 roku.

— Wtedy miał pan najlepszą formę?

— Tak to oceniam. Najlepszy swój mecz zagrałem chyba w reprezentacji w Zabrzu, z Grecją.

— A najgorszy?

— Z Turkami był to mecz Widzewa z Galatasaray.

— Wtedy nie strzelił pan karnego.

— No, cóż. Zdarza się to nawet najlepszym piłkarzom.

— Co pan czuł po tym?

— Tak się czułem, jakbym zgubił ogromną sumę pieniędzy i już do końca meczu nie mogłem odnaleźć się na boisku.

— Kibice was podejrzewali, że zlekceważyliście turecką drużynę.

— Ale nie w meczu rozgrywanym w Łodzi. Na własnym boisku chcieliśmy wygrać i awansować. Gdybym strzelił karnego, cały mecz potoczyłby się inaczej. Źle stało się, że nie strzeliliśmy bramki w Turcji. To była strata, którą trudno było odrobić.

— Widzew nie takie straty odrabiał.

— Ale zawsze była bramka strzelona na wyjeździe.

— Co stało się z Widzewem? Jest pan kapitanem tej drużyny. Czy uważa pan, że nadal istnieje coś takiego jak „widzewski charakter"?

— Uważam że tak. Pozostał trzon drużyny, która grała ze Zbyszkiem Bońkiem i Władkiem Żmudą. Ale nie wszystkie formacje mamy jednakowo silne. Nie

12

Odgłosy

Adres redakcji: 90-113, Łódź, ul. Henryka Sienkiewicza 3/5.

Telefony: redaktor naczelny 36-52-44, sekretarz redakcji, fotoreporter: 36-80-99, publicyści: 36-77-70.

Redaktor naczelny: Lucjusz Włodkowski.

Sekretarz redakcji: Grażyna Olechnowicz.

Kierownik działu literackiego: Grzegorz Gazda

Redaktor techniczny: Janusz Kozłowski.

Zespół: Ryszard Binkowski, Dariusz Dorożyński, Eugeniusz Iwanicki, Teresa Jerzykowska, Andrzej Karolczak, Roman Kubiak, Jerzy Kwieciński, Bogda Madej, Andrzej Makowiecki, Paweł Tomaszewski, Jolanta Wrońska.

Grafik: Janusz Szymański-Glanc.

Fotoreporter: Grzegorz Gałasiński,

Korekta: Mariola Knaga, Jolanta Sawiuk.

Stale współpracują: Tadeusz Błażejewski, Krzysztof Drzewiecki, Bohdan Gadomski, Witold Kasperkiewicz, J. Stanisław Knypl, Włodzimierz Krzemiński, Edmund Lewandowski, Alfred Lutrzykowski, Władysław Malka, Marek Mamos, Zenon J Michalski, Jerzy Panasewicz, Karol J. Stryjski.

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa — Książka — Ruch" 91-103 Łódź ul. Piotrkowska 96.

DRUK: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka Czerwonej 28.

Redakcja nie zwraca nie zamówionych rękopisów i zastrzega sobie prawo do skrótów.

Warunki prenumeraty: 1. dla instytucji i zakładów pracy: — zlokalizowane w miastach wojewódzkich i pozostałych miastach w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach — instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli. 2. dla indywidualnych prenumeratorów: osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach gdzie nie ma oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli: osoby fizyczne zamieszkałe w miastach — siedzibach Oddziałów RSW „Prasa — Książka — Ruch" opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonuje się używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa — Książka — Ruch". 3 Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę poczta zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zlecających instytucji i zakładów pracy. Terminy przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę — do dnia 10 listopada na I kwartał i półrocze roku następnego oraz cały rok następny — do dnia 1 każdego miesiąca — poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Zam.: 3549. P-2.

ze str. 1

Kaśka nad Hawaną

— Jan Roll — oświadczył. — Jestem przedstawicielem polskiego fiata w Hawanie. Adam Skrybant prosił mnie, abym zabrał pana do ambasady.

Wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy przez miasto, które było niby tym samym miastem, a stawiało włosy na głowie. Od chwili, kiedy cyklon opuścił wyspę, minęło dopiero dwadzieścia parę godzin. W Hawanie wszystko zaczęło się poprzedniego dnia o trzeciej po południu i trwało zaledwie do piątej z minutami.

— Są ofiary? — zapytałem.

— W Hawanie podobno tylko trzy — odparł. — Straszne jest to, że zniknęły bez śladu, tak jakby zapadły się pod ziemię albo jakby uleciały z wiatrem w przestworza. Właśnie takie miał pan wrażenie, kiedy siedział pan w mieszkaniu i wyglądał przez okno na ulicę. Wydawało się, że wszystko zaraz uleci w przestworza — domy, królewskie palmy, samochody. Na zamkniętej klatce schodowej w blokach napór powietrza był taki, że drzwi wejściowych na korytarz nie było w stanie otworzyć czterech dorosłych mężczyzn. Widziałem ciężarówkę, która zamiast jechać w przód, została odrzucona kilkadziesiąt metrów do tyłu. Kierowca opuścił szoferkę i czołgał się do najbliższego ogrodzenia. Trzeba było zobaczyć, jak wiatr igra z drzewami. Najpierw zrywał koronę, a potem wracał i ciach, ciach, ciach! Krok dosłownie pień w plasterki. Proszę popatrzeć!

Wzdłuż drogi jak okiem sięgnąć leżały słupy trakcyjne i powyrywane z korzeniami drzewa — niektóre tak potężne, tak szerokie u podstawy, iż trudno było wyobrazić sobie siłę zdolną wyszarpnąć je z ziemi. Były również szkody w substancji miejskiej. Wszędzie walało się szkło z potłuczonych szyb, wszędzie widziałeś poździerane dachy, odtrącone gzymsy, skruszone kominy i balkony, po których zostały tylko poręcze.

Jan Roll omijał leżące na jezdni przeszkody i mówił:

— Jest ciemno, tak? W wielu dzielnicach nie ma zupełnie elektryczności i wody, a co za tym idzie — nie ma radia i telewizji, nie ma łączności telefonicznej; nie ma chleba, nie ma knajp, nie ma napojów orzeźwiających; nie ma normalnego transportu.

— Słodka Kasia — powiedziałem.

— Co?

— Nic. O cyklonie myślę.

— Niektórzy twierdzą, że to nie był cyklon, proszę pana. Twierdzą, że był to huragan, a huragan jest dużo groźniejszy od cyklonu. Cyklon łączy się z większymi opadami, a huragan może być suchy — przy czym kręci, wiruje, zatacza esy-floresy. Jeśli las znajdzie się w orbicie huraganu, nie ma lasu.

LOS DAÑOS

Nazajutrz gazety doniosły o szkodach. Były przerażające. W rejonach nawiedzonych przez huragan zniszczone zostały prawie wszystkie plantacje trzciny cukrowej, czekające na zbiór, a także poważne rezerwy surowego cukru w magazynach. Padły tysiące hektarów gajów cytrusowych i bananów zmarniały zasoby drewna przemysłowego. W prowincji Matanzas huragan spustoszył 813 gospodarstw chłopskich, a straty szacowane są na 70 milionów pesos. W prowincji Villa Clara ucierpiało 20 tysięcy gospodarstw. Podobne wieści nadchodziły z Camagüey, z Sancti Spiritus i Ciego de Avila. W samym tylko Guines, należącym do prowincji La Habana, **Kasia zdewastowała kilkadziesiąt wielohektarowych, uspołecznionych majątków rolnych. W sławnym Varadero wichura osiągnęła rekordową szybkość 180 kilometrów na godzinę, powodując straszliwe spustoszenia w sieci przewodów elektrycznych. I tak dalej. Reprodukowane zdjęcia przedstawiały dziwne, chwytające za gardło pejzaże bez jednego wysokiego akcentu, takiego jak trzcina, cana brava czy palma real. Wszystko to było, ale leżało pokotem na ziemi.**

LA RECUPERACION

Hawańczycy zadawali sobie pytanie, co by się stało, gdyby tuż po huraganie zaatakował Kubę wróg. Wisi ono do dzisiaj w powietrzu nad wyspą, która jest dumna, niebogata, i dzielna — razy przyjmuje cierpliwie i podnosi się z nich.

W Miramar, dzielnicy ambasad i konsulatów, radia mógł słuchać tylko ten, kto miał odbiornik bateryjny. Włączyłem Neywę 402 mniejszą w sumie od dwóch paczek papierosów Spiker mówił rzecz jasna o skutkach kataklizmu. Zakończył hasłem, które można było również spotkać na murach i w gazetach:

— CON FIDEL Y EL PARTIDO SALDREMOS ADELANTE!

Wyszedłem na parną i ciemną ulicę. Tu i ówdzie płonęły w oknach świeczki i lampy naftowe. Bogdan Górzyński radiotelegrafista ambasady, mieszkający jednak poza jej terenem, ciągnął ponad dachami przewody elektryczne do swojego skromnego siedliska. Był bezsprzecznie najbardziej zapracowanym człowiekiem w okolicy. Łączność z Polską wciąż była jego naczelnym zadaniem, ale oprócz tego uruchamiał na kilka godzin agregator produkujący prąd na lokalny użytek i przygotowywał w mieszkaniu przyjaciół posiłki dla swojej rodziny — chorej żony, syna i córeczki, która urodziła się przed tygodniem.

Ciągnął przewody do swojego domu, który graniczył z ambasadą przez 46 ulicę. Gdyby był prąd, byłoby również trochę wody ze zbiornika i mógłby upitrasić kolację we własnej kuchence. Chwytał ciężkie, gumowe, zwisające z dachu kable i dźwigał je ponad jezdnią, wzdłuż której leżały obalone bananowce i palmy, do bloku zamieszkanego przez Kubańczyków, Hiszpanów i Polaków.

Wziąłem ognia od młodego policjanta, który siedział w budce na rogu i strzegł ambasady. Sam też zapalił i mówił przez dym:

— Społeczeństwo jest zdyscyplinowane. Przebieg huraganu był kontrolowany przez meteorologów i samoloty. Wiadomo było, że w Hawanie piekło zacznie się o trzeciej. Ludzie mieli czas, aby pozaklejać okna i ubezpieczyć drzwi. Wykwaterowano pięćdziesiąt tysięcy osób z zagrożonych budynków. Ewakuowano dwa hotele. W wielu wypadkach hawańczycy przeczekali wichurę w piwnicach i schronach. Był rozkaz, aby nikt nie wychodził na ulicę. I nikt nie wyszedł. Zginęły tylko trzy osoby. Amerykanie twierdzą, że zginęło dziesięć, ale to nieprawda. Jak na huragan o sile nie notowanej od lat, nie ma praktycznie strat w ludziach, a z innymi stratami musimy sobie poradzić. Autobusy kursują już normalnie. Za parę dni będzie światło. Niech pan popatrzy na ludzi. Dotknęła ich klęska, ale twarze mają pogodne.

ADIOS!

Sobota jest na Kubie dniem wolnym od pracy, ale oddziały policji i wojska uprzątały ciągle połamane drzewa i powalone słupy. W ogrodach i na słonecznych patiach Miramar krzątali się ogrodnicy. Wszędzie słychać było szczęk sekatorów i łoskot padających gałęzi. W starej Hawanie w wielu oknach i na wielu balkonach stukotały młotki. Nieraz zabrzęczała w powietrzu piła; na chodniki sypał się gruz, kawałki drewna i resztki powybijanych szyb, które budziły w pamiętających wojnę Polakach makabryczne skojarzenia, były bowiem pozaklejane na ukos plastrami szarego papieru.

Większość magazynów i sklepów nie funkcjonowała normalnie, ale kipiały hotelowe restauracje i bary. Na skwerach grały orkiestry, a przed Floridita, ulubionym lokalem Hemingwaya, trwał kiermasz książek.

Mój czterotygodniowy pobyt na Kubie i w Nikaragui dobiegał końca. Złożyłem pożegnalną wizytę ambasadorowi Czesławowi Dędze, a później pojechałem z pierwszym sekretarzem ambasady, Adamem Skrybantem, na ostatni spacer po mieście. Wylądowaliśmy w Morro, starej, hiszpańskiej twierdzy nad zatoką. Ze wzgórza widać było Malecon w pięknym, malarskim skrócie, a u stóp mieliśmy wejście do portu.

Wiało i upał nie dokuczał specjalnie. W dole na skałach tkwili z wędkami w rękach rybacy. Zachodziło krwawe, ogromne słońce; na redzie kołysało się kilka statków a z głębi portu wypływał powoli biały pasażer.

Mówiłem:

— Pan pokazał mi Hawanę z tego akurat miejsca, które łapie człowieka za serce.

Kiwnął głową i powiedział:

— Wspaniałe miasto.

— Ludzie zapomną wkrótce o huraganie.

Wzrok dyplomaty wyrażał jakby lekki zawód. Jak można zapomnieć o huraganie, który wyrządził tak poważne szkody? Skutki wietrzyska odczuwalne będą jeszcze za wiele miesięcy — w budżecie narodowym, w sklepach, w wymianie handlowej.

Wieczór jednak nastrajał pogodnie. Słońce znikało za horyzontem, a biały, radziecki pasażer z międzynarodowym towarzystwem na pokładzie opuścił gardziel portu i wziął kurs na wschód. Ludzie którzy stali u burty: marynarze w białych mundurach i podróżni wymachiwali rękami; hawańczycy odwzajemniali z brzegu gest pożegnania. Głośniki statku zawyły żałośnie, a potem zaczęły emitować raz za razem jakąś tęskną, mechaniczną melodię.

— Ja to znam — powiedziałem.

— Nooo, bez wątpienia — przytaknął Skrybant. — Przecież to polska piosenka.

— Partyzancka?

— Tak.

— Ale tytuł, panie Adamie! Tytuł!

— Rozszumiały się wierzby płaczące.

— Skąd oni to wytrzasnęli, jak Boga kocham!

Muzyka płynęła z falami, klarowna i cicha. Nieraz zamierała z wiatrem, a potem znowu było ją słychać. Statek szedł prosto cieśniną Florydy w świat, nad którym szaleją nieraz huragany, ale ciągle jeszcze świeci słońce.

C.D.N.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

NA WŁASNY RACHUNEK

Zdrowia, szczęścia i dobrej woli

Skłamałbym, gdybym powiedział, że już na wiele dni przed Bożym Narodzeniem nachodzą mnie co rok okolicznościowe refleksje, ponieważ jednak są to święta usposabiające do szczerości muszę wyznać, że sam szef naczelny przykazał mi, żebym w świątecznym numerze dał komentarz nieco mniej „zasadniczy" niż zwykle, korespondujący z charakterem i nastrojem numeru.

Co prawda jestem zdania, że są ludzie, którzy nawet w święta nie lubią być „rozrywani" na siłę i nie brak takich, którzy dopiero wtedy stają się szczęśliwi, gdy mogą kontemplować piękno (podobno nieporównywalne!) działań matematycznych, innym znów pogodniej na duszy przy Bachu niż przy Offenbachu, a jeszcze innym milej pod choinką z Balzakiem, Dostojewskim czy Mannem niż... (wolę nie dopowiedzieć, żeby się nikomu nie narazić).

A tak najzupełniej prywatnie myślę sobie, że ci, co z reguły przedkładają „rozrywki" poważniejsze, zmuszające do myślenia i do koncentracji psychicznej, mają tak pokaźne zasoby własnego optymizmu, iż żadnej dodatkowej podniety im nie trzeba. Owszem, nie przeczę, suty stół, a przy nim miła kompania, dostarczają też odprężenia i uciechy, bywają nieodłącznym elementem domowego świątecznego pejzażu.

Korzystając z Bożenarodzeniowego prawa do wspominek i wyznań, chciałbym wspomnieć, że miałem dawno temu wujka ateistę, bardzo szanowanego za prawość i uczynność, który zawsze w Wigilię, jako najstarszy w rodzinie, pierwszy przystępował do łamania się opłatkiem i zawsze pamiętał o wolnym nakryciu dla jakiegoś zabłąkanego gościa. Czcił w ten sposób tradycje kultywowane przez jego wierzących i gorliwie praktykujących rodziców, będące też cząstką ogólnonarodowej tradycji.

Dość też dawno narzuciło mi się spostrzeżenie, iż w kręgu osób znajomych z roku na rok coraz większym sentymentem darzą Wigilię ludzie wyzwoleni z konserwatywnych poglądów. Innymi słowy, tradycjonalizm jak gdyby — wbrew stereotypom — odrywa się coraz bardziej od konserwatyzmu. Podobnie też patriotyzm traci swoją bazę wśród konserwatystów, a zyskuje w środowiskach postępowych i lewicowych. Słyszy się, co prawda, nieraz, że nie wiadomo obecnie, co to jest lewica, a co prawica, czym jest konserwatyzm, a czym postępowość. Szef by mnie zwymyślał, gdybym wdał się dziś w „zasadnicze" roztrząsania, odpowiem więc tylko co następuje. Wystarczy popatrzeć, jak siedzą — od lewej ku prawej — posłowie w najrozmaitszych parlamentach.

Otóż w związku z tym myślę ja sobie, że zwłaszcza ci, co pozbyli się całego balastu konserwatywnych obciążeń, szukają uczuciowej rekompensaty i na nowo odkrywają uroki choinki i kolęd, widzą je w postaci narodowej tradycji, zmitologizowanej, wyzwalającej zapomniane wzruszenia dzieciństwa. Śpiewając wraz z wierzącymi „Bóg się rodzi" nie mają „misyjnej" intencji narzucenia im swojej niewiary, chcą wspólnych przeżyć i wspomnień.

Pamiętam, jak w kilka lat po wojnie z Domu Literatów przy Krupniczej w Krakowie, z mieszkania znanego literata, posła na Sejm, członka partii i działacza ruchu wolnomyślicielskiego, Adama Polewki rozlegały się w święta kolędy mocą gardeł kilkuosobowej rodziny, a pewnie i gości. Było tak i dawniej, ale tego roku wywołało to reakcje ze strony miejscowych czynników. W któryś poświąteczny dzień Polewka stawił się na „szczerą rozmowę" na tematy związane z tradycją, wiarą i postępem, w której okazał się podobno nieustępliwy, twierdząc, że dla wielu Polaków święta Bożego Narodzenia nie mają charakteru religijnego, lecz przede wszystkim rodzinny. Następnego roku dano już Polewce spokój, a wkrótce zapanował bardziej liberalny kierunek.

Nieczęsto uświadamiamy sobie, jak dużo zmieniło się w kraju. Minęły czasy, kiedy monopol na kultywowanie narodowych tradycji (łącznie z 3 Majem) miały środowiska konserwatywne, uzurpujące sobie moralne prawo do orzekania, co jest, a co nie jest „prawdziwym" patriotyzmem (czego pogłosy odezwały się w latach 80/81).

Dziś przy wigilijnym stole siadają razem ludzie o różnych światopoglądach i sympatiach politycznych, o różnym także stopniu nastawienia tolerancyjnego. Oby nie zabrakło chęci zrozumienia uczciwych ludzi o odmiennych poglądach, obyśmy wszyscy nauczyli się doceniać osobiste wartości drugiego człowieka.

Spożywajmy świąteczne potrawy nie zaprawione żółcią nienawiści i nie prowokujmy tematów drażliwych (dobra tradycja angielska nakazuje mówienie przy stole głównie o pogodzie). Są to święta, którym patronuje piękne hasło: „Pokój ludziom dobrej woli". Nie dopowiem — „Amen", bo szef uznałby, że „przegiąłem pałę" w drugą stronę...

JERZY KWIECIŃSKI

Prośba do świętego Mikołaja: „Niech dla każdego znajdzie się upominek pod choinką".

Następny noworoczny numer „Odgłosów" ukaże się 30 grudnia 1985 roku

W noworocznym numerze między innymi:

— kolejny reportaż Andrzeja Makowieckiego z podróży na Kubę i do Nikaragui pt. Andrzej Brycht speaking",

— z Bronisławem Waligórą — trenerem RTS Widzew rozmawia Bogda Madej,

— Jolanta Wrońska opowiada o kobiecie, która swoje życie poświęciła innym,

— SZOPKA '85 Wiesława Machejki z karykaturami Stanisława Ibisa-Gratkowskiego,

— wiersze poetów gruzińskich w tłumaczeniu Igora Sikiryckiego z wydanego pośmiertnie tomu pt. „Poezja gruzińska",

— opowieść Marka Mamosa o człowieku, który chciał mieć tylko zwykłe ludzkie szczęście,

— pierwszy fragment powieści Jacka Kerouaca pt. „W drodze" w tłumaczeniu Marka Brzezińskiego,

— relacja Andrzeja Karola z turnieju tańca towarzyskiego wraz ze zdjęciami Grzegorza Gałasińskiego,

— reportaż Ryszarda Binkowskiego pt. „Trojaczki" o bankructwie prywatnej firmy murarskiej,

— felietony oraz kolejny odcinek powieści Zbigniewa Nienackiego pt. „Wielki las".

EDMUND LEWANDOWSKI

Oblicza szczęścia

1.

Wszyscy chyba ludzie pragną być szczęśliwi, lecz nie wszyscy w ten sam sposób. Są nawet tacy, którzy znajdują swoje szczęście dopiero w nieszczęściu. Szczęście więc niejedno ma imię. Jest to zjawisko egocentryczne oraz socjocentryczne, tzn. zależne nie tylko od charakteru i świadomości jednostki, lecz również od kultury grupy, w której dana jednostka żyje. W różnych klasach, narodach, epokach dziejowych i koncepcjach moralnych spotykamy rozmaite wzory życia szczęśliwego. Najważniejsze z nich zamierzam tutaj przedstawić w kolejnych odcinkach.

Zaczynam od sprawy elementarnej. Co to jest szczęście? Władysław Tatarkiewicz — autor obszernego dzieła pt. „*O szczęściu*" — wyróżniał cztery rozumienia tego pojęcia. W pierwszym znaczeniu szczęście pojmuje się jako pomyślny los, sprzyjający splot zdarzeń, powodzenie w życiu. W tym przypadku obiektywnie oceniamy, że ktoś m i a ł szczęście, bo mu się wszystko czy prawie wszystko udawało, ale nie wnikamy w jego własne odczucia. A przecież nierzadko tak bywa, że owi szczęśliwcy (w czepku urodzeni) wcale nie czują się zadowoleni.

W drugim znaczeniu szczęście oznacza posiadanie najcenniejszych dóbr dostępnych człowiekowi lub dodatniego bilansu życia. Jak w poprzednim przypadku, chodzi tu o stwierdzenie pewnego obiektywnego stanu rzeczy. Inni ludzie — według określonych kryteriów — orzekają, że ktoś b y ł szczęśliwy, ponieważ miał najwyższe dobra materialne lub duchowe. Na przykład: posiadał znakomite warunki życiowe, cieszył się powszechnym uznaniem, dysponował olbrzymią władzą, dobrze zapisał się w pamięci potomnych, oddał życie w obronie wzniosłych ideałów, żył w szczęśliwych czasach. Nie wiemy jednak, co dany człowiek subiektywnie przeżywał, czy sam z wymienionych powodów czuł się szczęśliwy.

Ludzie przeważnie sądzą, że szczęście związane jest z pozytywnymi osiągnięciami (zdobyczami i sukcesami). Ale osiągnięcia nie zawsze dają oczekiwaną satysfakcję, a niekiedy przynoszą rozczarowanie i gorycz. W polskim serialu filmowym „Trapez" przypomniano intrygujące słowa, które kiedyś powiedział Oskar Wilde, że „*na tym świecie istnieją tylko dwie tragedie: pierwsza polega na tym, że się nie osiąga tego, czego się pragnie, druga na tym, iż właśnie się to osiąga. Ale tylko ta druga tragedia jest tragedią prawdziwą*". Twórca angielski chciał przez to prawdopodobnie wyrazić myśl, że szczęście zawarte jest nie w osiągnięciach, lecz w dążeniach. Szczęśliwy może być ten, kto ma jakiś ważny c e l życiowy. Posiadanie istotnego celu i dążenie do jego realizacji jest zresztą koniecznym warunkiem sensu życia.

2.

Większość ludzi w odniesieniu do siebie samych posługuje się trzecim rozumieniem szczęścia. W tym ujęciu oznacza ono intensywnie przeżywaną radość, stan wielkiej przyjemności, rozkoszy lub błogości. Mamy więc na uwadze rzeczywiste doznania podmiotu; ale coś krótkotrwałego, przejściowego, co zdarza się od czasu do czasu. Szczęście stanowi — notabene zgodnie z etymologią pojęcia — tylko c z ę ś ć losu ludzkiego, resztę zaś obejmuje życie nieszczęśliwe bądź nijakie.

Władysław Tatarkiewicz opowiadał się za jeszcze innym, czwartym rozumieniem szczęścia. Przyjmował on, że szczęście — t o p e ł n e oraz t r w a ł e zadowolenie z c a ł o ś c i życia. „*Szczęście* — mówił w jednym z wywiadów — *jest zadowoleniem z życia wziętego w całości*". Według tego ujęcia nie chodzi o pomyślny los, czy posiadanie najcenniejszych dóbr, ani też o wielką radość, lecz ważne jest o g ó l n e zadowolenie z życia.

Przy pierwszym wrażeniu stanowisko profesora Władysława Tatarkiewicza może wydawać się bezsensowne. Lecz jeśli głębiej zastanowimy się i poszukamy w pamięci, to przyznamy, że są ludzie, którzy potrafią cieszyć się samym życiem. Niewiele takim potrzeba do szczęścia. Satysfakcji życiowej nie są w stanie im odebrać nawet poważne przeciwności losu i cierpienia. Bohater powieści Jurija Trifonowa „*Bilans wstępny*" tak mówi o swoim znajomym: „*Zrozumiałem, że ma niezwykle trudne życie, niemal idealnie trudne i że jest człowiekiem szczęśliwym*". Z kolei nasz popularny poeta, Edward Stachura, który wciąż czegoś szukał w życiu, na krótko przed śmiercią z pewnym zdumieniem zanotował: „*A oto matka moja mówi, że gdyby miała w tamtym życiu tak, jak w tym, to by za dobrze miała. Skąd się to bierze, że może tak powiedzieć? Przecież wiem, że życie miała pełne cierpień*". Tego rodzaju przykłady wskazują, że szczęście zależy nie tyle od okoliczności zewnętrznych, co od charakteru człowieka i przyjętej filozofii życiowej.

3.

Georg Hegel odróżniał stan szczęścia i szczęśliwości od stanu błogości. Szczęście traktował jako przypadkową harmonię podmiotu z warunkami zewnętrznymi, jako przystosowanie swego istnienia do swej woli, samowoli i specyficznego charakteru. Natomiast błogość kojarzył z unicestwieniem w sobie świata zmysłowego oraz z triumfem nad własnym cierpieniem. O ile szczęście związane jest nadal z bezpośrednią egzystencją, to błogość zakłada uwznioślenie uczucia szczęścia i przejście do wewnętrznej sfery ducha. O błogości można by chyba mówić w odniesieniu do takich stanów jak nirwana w buddyzmie, czy samadhi w jodze.

Georg Hegel uważał, że w dziejach powszechnych, gdzie dominują cele ogólne, nie ma miejsca na szczęście. Okresy szczęścia w tej dziedzinie to tylko — jak pisał — „*puste karty historii, ponieważ są to okresy zgody, okresy wolne od przeciwieństw*". Proces społeczno-historyczny jest areną gry i walki, w której sprawy jednostek niewiele znaczą. Toteż szczęście można znaleźć jedynie w sferze celów szczegółowych i dążeń partykularnych.

Trzeba przyznać rację filozofowi niemieckiemu, że jednostka ludzka mało znaczy wobec całości życia społecznego, w globalnym procesie historycznym, że nawet los wybitnych postaci nie był szczęśliwy. Nie godzimy się z tym wewnętrznie i walczymy o inny stan rzeczy, ale tak przecież jest. Jednostki przychodzą i odchodzą, a świat trwa i rozwija się kosztem ich szczęścia. Znamienne jest powiedzenie, że nie ma ludzi niezastąpionych. Szczęście jednostki z reguły nie liczy się w obliczu przeciwnych interesów społecznych. Nasze osobiste pragnienia są bezsilne wobec nieuchronnych praw przyrodniczo-historycznych. Jesteśmy rozpięci między dobrem a złem, szczęściem a nieszczęściem.

4.

Ale już w starożytności zauważono, że szczęście ma sens jedynie dzięki temu, iż równolegle występuje nieszczęście. Heraklit z Efezu 25 wieków temu pisał: „*Choroba czyni przyjemnym zdrowie, zło — dobro, głód — nasycenie, zmęczenie — wypoczynek*". Natomiast starożytny myśliciel chiński, Lao-tsy, był zdania, iż takie jest odwieczne prawo natury, że „*nieszczęście jest podstawą, na której wspiera się szczęście, a szczęście jest fundamentem, na którym spoczywa nieszczęście*". Można zatem mówić o istnieniu swoistej dialektyki szczęścia i nieszczęścia, dobra i zła.

Jeśli za szczęście uznamy stan wielkiej radości i przyjemności, to nie ulega wątpliwości, że nigdy nie będziemy wiecznie szczęśliwi. Permanentne szczęście byłoby zresztą czymś nużącym. Zagadnienie to interesująco wyjaśniał swej córce profesor Lucjan Bergeret, mądry bohater powieści Anatola France'a. „*Zło moralne i fizyczne* — mówił do Paulinki — *które ustawicznie zwalczamy, zawsze będą dzielić władzę na ziemi razem z radością i szczęściem, tak samo jak słońce wschodzi i zachodzi. Zło jest konieczne. Zło i dobro mają źródła głęboko ukryte w naturze i jedno źródło wyschłoby bez drugiego. Jesteśmy szczęśliwi dlatego, że jesteśmy nieszczęśliwi. Cierpienie jest siostrą radości, a ich bliźniacze oddechy dotykają naszych strun, wzbudzając harmonijną melodię. Samo tchnienie szczęścia wywołałoby dźwięk monotonny i mdły, podobny do ciszy*". Pogląd ten przypomina nam starożytne koncepcje Heraklita i Lao-tsy.

Z kultury antycznej znamy piękną przypowieść na temat stworzenia człowieka i określenia jego losu. Otóż człowiek miał być wspólnym dziełem Troski i Jowisza. Troska ulepiła nową istotę z gliny, czyli z ciała Ziemi, a Jowisz ożywił ją poprzez tchnienie swego boskiego ducha. Powstał jednak spór o to, kto ma nadać imię człowiekowi. Uzasadnione pretensje zgłaszały trzy strony: Troska, Jowisz i Ziemia. O rozstrzygnięcie sporu poproszono patrona zasiewów, Saturna. Wyrok był następujący. Jak długo człowiek będzie żyć, tak długo władać nim będzie Troska, która ukształtowała tę istotę. Natomiast po śmierci człowieka Jowisz otrzyma z powrotem swego ducha, a do Ziemi wróci należące do niej ciało. Nazwany zaś będzie człowiek Homo, ponieważ został stworzony z Humus (łac. ziemia).

Z opowieści tej wynikało, że człowiek nie może uwolnić się od trosk, że jest na nie skazany nieuchronnie. Podobny wniosek zawierał mit na temat pierwszej kobiety, Pandory, która pod wpływem nadmiernej ciekawości i głupoty otworzyła tajemniczą puszkę z Olimpu i wypuściła uwięzione tam troski, choroby, nieszczęścia. Na dnie puszki pozostała, na szczęście dla człowieka, jeszcze jedna rzecz — n a d z i e j a. I to jest w życiu ludzkim często ostatnia deska ratunku. Kiedy zaś nie ma już żadnej nadziei, wtedy życie traci jakikolwiek sens, a człowiek z utęsknieniem wygląda lub szuka śmierci. „*Prawdziwym nieszczęściem* — podkreślał Władysław Tatarkiewicz — *jest tylko b e z n a d z i e j n o ś ć*".

Nie zastanawiał się nad losem człowieka ten, kto utrzymuje, że nadzieja jest matką głupich. Tak mówią ludzie bezmyślni, cyniczni, niewrażliwi — ludzie, którzy nie potrafią współczuć innym w nieszczęściu bądź sami nigdy poważnie nie cierpieli. Nadzieja stanowi niezbędny fundament codziennych wysiłków jednostek i działań całych zbiorowości społecznych. W radzieckim filmie „*Samotnym zapewniamy hotel*" nieformalna swatka, Wiera, wciąż powtarza kolejnemu „*I, koniecznie, miej nadzieję*". Myślę, że w żadnej sytuacji nie należy tracić nadziei, a tym bardziej nie wolno odbierać jej innym.

5.

Ogólnie znana „prawda" katechizmowa głosi, że istnieją trzy cnoty „boskie": wiara, nadzieja i miłość. Ale nie interesuje mnie tutaj, rzecz jasna, ich religijna interpretacja, lecz funkcje psychologiczne. Moim zdaniem zasługują na miano boskich, ponieważ umożliwiają życie szczęśliwe — podobne bogom. Co daje ludziom wiara? Na pewno poczucie sensu, pewności i siły. Alegorycznie powiadamy, że wiara góry przenosi, ponieważ mobilizuje w nas nadludzkie moce i czyni możliwym niemożliwe. Bez jakiejkolwiek wiary w coś nie sposób żyć. O zbawczej roli nadziei już pisałem. A co daje miłość? Przede wszystkim znaczącą więź z innymi, poczucie przynależności i przydatności. Ludzie nie kochani bądź nikomu niepotrzebni tracą sens istnienia. W 1844 r. młody Karol Marks pisał: „*Jeśli kochasz nie wzbudzając wzajemnej miłości, tzn. jeśli twoja miłość jako miłość nie wytwarza wzajemnej miłości, jeśli poprzez swój p r z e j a w ż y c i a człowieka kochającego nie czynisz siebie c z ł o w i e k i e m k o c h a n y m, miłość twoja jest bezsilna, jest nieszczęściem*".

Między wiarą, nadzieją i miłością występują ścisłe zależności i wzajemne uwarunkowania. Człowiek chętnie wierzy w to, czego bardzo pragnie i na co ma nadzieję. Skłonny jest też wierzyć tym, których kocha. Bez wiary z kolei nie ma nadziei i miłości. Erich Fromm twierdził, że miłość jest aktem wiary i nadziei. Kochamy tym więcej, im bardziej wierzymy. A ponadto — kochamy w nadziei na odwzajemnienie. Wszystkie trzy cnoty razem są podstawą życia sensownego i szczęśliwego.

6.

Uczucia szczęścia i nieszczęścia są stopniowalne. Można wyróżnić następujące pary doznań: zadowolenie — niezadowolenie, radość — smutek, rozkosz — ból. A dalej jest już tylko błogość i śmierć. Im wyższy stopień przyjemności lub cierpienia, tym większe oderwanie od świata — aż do całkowitej niemal utraty świadomości istnienia. Rebeka z powieści Garcii Marqueza „*Sto lat samotności*" podczas stosunku erotycznego z José Arcadio „*zatraciła świadomość w niepojętej rozkoszy i nieznośnym bólu*". U innej bohaterki, Amaranty Urszuli, wolę obrony przed zdobywającym ją mężczyzną „*zdruzgotała nieodparta żądza odkrycia, czym są te pomarańczowe świsty i niewidzialne stery czekające na nią po drugiej stronie śmierci. Ledwie zdążyła wyciągnąć rękę, po omacku sięgnąć po ręcznik i zakneblować sobie nim usta, żeby nie wyrwało się z nich miauczenie kotki, rozdzierające już jej wnętrzności*".

Enrique Poncello z Madrytu, którego nie tak dawno przypomniał w swej książce Jerzy Wilmański, był zdania, że rozkoszą miłosną nazywamy nagłe ustąpienie bólu. Zwrócił on uwagę, że w chwilach orgazmu wszystkie kobiety zachowują się jakby zaznawały cierpienia, a nie rozkoszy: wiją się, jęczą, krzyczą, czemuś przytakują lub przeczą, wymyślają, biją. W każdym bądź razie akt rozkoszy odbiera poczucie rzeczywistości, pozwala zapomnieć o całym świecie, wyzwala z podświadomości nasze drugie Ja.

Rozkosz miłosna jest przedsionkiem błogości, a ta z kolei stanowi ostatni szczebel na drodze do śmierci. Ludzie przywróceni do życia ze stanu śmierci klinicznej utrzymują, że było im dobrze i mieli cudowne wrażenia, że natychmiast minęły troski, ustąpiły bóle. Wydaje mi się jednak, że te przyjemne odczucia są absolutnie o s t a t n i m i doznaniami człowieka, który na zawsze pogrąża się w niebycie i definitywnie traci świadomość. Podobnych chyba doznań doświadczyli ci, którzy kiedykolwiek utracili przytomność. Interesujący opis znajdujemy w dziele Anatola France'a „*Bogowie łakną krwi*". Mdlejąc w lochu więziennym, Brottetteaux „*czuł, że cały tonie w rozkosznym niebycie. Przez nieporównaną chwilę wszystko było dlań harmonią, pogodnym blaskiem, wonią, słodyczą. Potem stracił świadomość bytu*". A kiedy przyszedł do siebie, wpadł w rozpacz i żałował, że omdlenie minęło.

7.

Wspaniałe uczucie błogości mają też przeżywać osoby chore na epilepsję. Fiodor Dostojewski ukazywał poprzez wrażenia Myszkina i Kiriłłowa, że tuż przed atakiem, na kilka zaledwie sekund, uciszają się wszystkie niepokoje i przechodzą w jakiś „*idealny błogostan, pełen jasnej, harmonijnej radości nadziei*". Chory wtedy jest porażony wielką jasnością i szczęściem. Niektórzy — jak św. Paweł i prorok Muhamad — doszli na tej podstawie do przekonania, że dane im było wstąpić do nieba i obcować z Bogiem. Kiriłłow zwierza się, że w ciągu pięciu sekund przeżywa całe życie i powiada, że za tę krótką chwilę warto oddać całe życie. Nie wyobraża on sobie, żeby ten stan mógł trwać dłużej, bo dusza wówczas — jak mówi — „*nie wytrzymałaby i musiałby zniknąć*".

Błogość jest w pewnym sensie uczuciem nie z tego świata. Przychodzi bowiem w sytuacjach wyłączenia lub poważnego zakłócenia percepcji zmysłowej. Natomast szczęście osiągalne jest w normalnym życiu. Powstaje jednak pytanie: czy do szczęścia warto dążyć, czy warto o nie zabiegać? Otóż wiele wskazuje, że tym łatwiej je osiągamy, im mniej o nim myślimy i gdy nie stanowi bezpośredniego celu naszych dążeń. Szczęście, zdaniem Władysława Tatarkiewicza, należy do tych rzeczy, które tym skuteczniej ludzie osiągają, im mniej o nie zabiegają. Szczęście zdobywa się „po drodze" (Mill) do innych celów. Mówiąc językiem socjologicznym: szczęście nie powinno być celem ani zadaniem, lecz f u n k c j ą naszego życia. Na życiu właśnie trzeba się koncentrować — życiu sensownym i godnym człowieka — a nie na pogoni za szczęściem.

8.

Jak wobec tego żyć, aby szczęście stało się „produktem ubocznym" (Shaw) naszego postępowania? W historii kultury znalazłem kilka wzorów życia szczęśliwego, które omówię kolejno w następnych artykułach na łamach „Odgłosów". Natomiast w niniejszym, wstępnym szkicu pragnę zwrócić uwagę na jedną cechę wspólną tych rozmaitych propozycji i doświadczeń. Otóż wszystkie wzory zakładają konieczność doskonałości moralnej. Mniej lub bardziej świadomie przyjmuje się, że szczęście jest niedostępne dla ludzi złych. Pierwszy bodaj expressis verbis sformułował tę myśl w III stuleciu n.e. grecki filozof neoplatonik — Plotyn. Napisał mianowicie: „*Szczęśliwi są tylko dobrzy. Przecież dlatego właśnie bogowie są szczęśliwi*".

Nie trzeba być psychologiem i moralistą, żeby zaobserwować autodestrukcyjną siłę zła, które jak rdza zżera uczucia. Ludzie źli wciąż komuś czegoś zazdroszczą, ciągle kogoś nienawidzą i nie potrafią cieszyć się szczęściem innych. Georg Hegel powiedziałby, że skoro są zawistni, to znaczy, iż nie są wolni. Człowiek naprawdę wolny nie ulega prostym uczuciom zawiści i nienawiści.

Z lat dzieciństwa pamiętamy baśń Andersena pt. „*Kalosze szczęścia*". W tym mądrym utworze pisarz duński pokazuje, że nie warto zazdrościć innym, bo każdy ma własne zmartwienia i kłopoty, o których nie wiemy. Poza tym szczęście ma sens tylko tu i teraz. Toteż nie znaleźli go: radca Knap w wymarzonych czasach króla Jana, nocny stróż we wcieleniu porucznika, młody lekarz w sercach pań i panów z pierwszego rzędu, kopista przemieniony w skowronka, student teologii przeniesiony do Szwajcarii i Włoch. Ostatni z nich, kiedy zatęsknił do „*ostatecznego, najszczęśliwszego celu*" — dzięki cudownym kaloszom pozostawionym przez pokojówkę damy dworu Szczęścia — natychmiast znalazł się nieżywy w trumnie. Nad umarłym pochyliły się Troska i Radość. Pierwsza podała w wątpliwość dobroczynne działanie kaloszy i nie zgodziła się z towarzyszką, że studentowi „*przyniosły przynajmniej wieczne ukojenie*". A następnie, chcąc wyświadczyć dobrodziejstwo, zdjęła nieboszczykowi kalosze szczęścia i zniknęła razem z nimi jak ze swoją własnością. Student zaś powrócił do życia.

9.

W mitologii greckiej najbardziej związaną ze szczęściem była Tyche. Imię jej oznacza zrządzenie losu, ślepy traf, przypadek, szczęście i nieszczęście. Ta młoda i piękna bogini o tajemniczym wyrazie twarzy obdarzała człowieka dobrem i złem według jakichś zupełnie niepojętych reguł. Od zagadkowej woli Tyche zależały bogactwa, urodzaje, powodzenie życiowe i losy miast. Stąd też atrybutami jej były odpowiednio: róg obfitości, pęk kłosów, ster oraz korona w kształcie miejskich murów obronnych. W starożytnym Rzymie miejsce Tyche zajęła równie kapryśna Fortuna.

Niccoló Machiavelli doszedł do wniosku, że los-szczęście (fortuna) rzeczywiście zachowuje się jak kobieta, gdyż głównie daje młodym i zuchwałym. Łatwiej osiągają sukcesy ci, którzy działają pewnie i brutalnie, niż ludzie postępujący ogłędnie. Radził on, żeby nigdy nie rezygnować i nie tracić nadziei, ponieważ nie znamy zawiłych i tajemniczych dróg fortuny. Nie powinniśmy opuszczać rąk i zaprzestawać wysiłków nawet w sytuacji największego nieszczęścia i najgorszej udręki.

Boginię szczęścia, Fortunę, często przedstawiano stojącą na kuli lub kole. Albowiem ludzie dawno zauważyli, że los kołem się toczy. Raz jesteśmy na wozie, a raz pod wozem. Trzeba więc wierzyć i mieć nadzieję, że jeśli obecnie jest źle, to kiedyś wszystko się odmieni. Warto też pamiętać, że w tym świecie nawet smutki i cierpienia mają pewien sens. „*Im głębiej smutek drąży waszą istotę* — uczył Khalil Gibran — *tym więcej możecie pomieścić radości*".

Wrzesień 1939

Wszystko co na niebie przeciw nam

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Niemiecka propaganda, jak i doświadczenia wyniesione przez ludzi, którzy brali udział w wojnie obronnej 1939 roku lub tylko byli jej świadkami jako cywile, a najczęściej uciekinierzy, sprzyjały utrwaleniu się przekonania, że niemieckie lotnictwo zniszczyło wszystkie polskie samoloty i na niebie bezkarnie królowało tylko Luftwaffe. Przekonanie to wynikało z dwóch powodów. Po pierwsze — Adolf Hitler rzucił przeciw Polsce dwie Floty powietrzne Luftwaffe — 1 i 4, na które składało się więcej niż dwa tysiące samolotów, w tym 1050 myśliwców. Natomiast Polska dysponowała 159 samolotami myśliwskimi i 86 bombowcami, nie licząc samolotów rozpoznawczych i łącznikowych. Po drugie — wojsko polskie nie było przygotowane do prowadzenia wojny powietrznej. Polskie lotnictwo i polska artyleria przeciwlotnicza były dopiero uzbrajane w nowoczesny sprzęt wojskowy. I jeśli wziąć pod uwagę skromne jeszcze wyposażenie lotnictwa i artylerii przeciwlotniczej, to i tak udało się w pierwszych kilku dniach wojny osiągnąć bardzo dobre wyniki w walce z Luftwaffe.

NA PIĘĆ LAT PRZED WOJNĄ

ukazała się w Warszawie książka gen. Władysława Sikorskiego pod znamiennym tytułem: *„Przyszła wojna, jej możliwości i charakter oraz związane z nim zagadnienia obrony kraju"*. Gen. Władysław Sikorski był wówczas — od 1928 roku — na bezterminowym urlopie i w Polsce nie był mile widziany. Z tego też powodu jego książka znalazła większe uznanie poza granicami Polski niż w kraju. W książce tej gen. Władysław Sikorski zwracał uwagę, że Niemcy, dzięki posiadaniu zagranicznych filii swoich firm budujących samoloty, mając zakaz rozbudowywania lotnictwa dysponują wcale już pokaźną flotą powietrzną.

„W epoce współczesnej jednak — pisał gen. W. Sikorski — *w której wyścig wiedzy i wynalazków technicznych posiada decydujące dla obrony państwa znaczenie, o sile bojowego lotnictwa rozstrzygnie nie tyle ilość, co jego jakość"*.

I tą drogą kroczyły Niemcy. Gen. W. Sikorski nieprzypadkowo powołał się na popularne wówczas w Niemczech hasło: *„...przyszłość Niemiec jest w powietrzu"*. Rozpatrując natomiast zadania lotnictwa w przyszłej wojnie autor książki pt. *„Przyszła wojna"* tak je określił:

„Lotnictwo, jako broń nadająca się zarówno w ataku, jak i w obronie, spełniać będzie w przyszłej wojnie najróżnorodniejsze zadania oraz misje. Należą do nich: bombardowanie i ostrzeliwanie z powietrza, rozpoznanie i wywiad, służba łączności, transporty itd. W pierwszym jednak rzędzie jego zadaniem będzie walka o przewagę w powietrzu i jego opanowanie oraz bombardowanie najpoważniejszych ośrodków siły przeciwnika na lądzie".

Wojna 1939 roku — a i w latach następnych na różnych frontach — pokazała, ile racji miał gen. Władysław Sikorski. Zbyt późno Sztab Główny Wojska Polskiego zorientował się, w jakim kierunku musi iść przezbrajanie i przeorganizowywanie armii polskiej, aby mogło to mieć większy wpływ na obronę kraju przed najazdem Wehrmachtu i atakiem Luftwaffe.

NA NIEBIE BEZKARNIE

latały samoloty niemieckie i to budziło wściekłość żołnierzy narażonych na ich ataki. Ludwik Ferenstein — oficer sztabu 10 Brygady Kawalerii Zmotoryzowanej, dowodzonej przez płk. Stanisława Maczka — w książce *„Czarny naramiennik"* taką opisuje scenę:

„Mija godzina siedemnasta. Wracam do sztabu przy skrzyżowaniu dróg. Pakujemy rzeczy sztabowe, które zostaną przewiezione do Lubienia. Szybko zlikwidowałem kancelarię sztabu i jadę na nowe miejsce postoju. Jadąc szosą, widzę kilka kluczy samolotów niemieckich krążących nad naszymi głowami. Naliczyłem 23 maszyny. Po chwili zniżają lot i już bombardują. Najpierw Lubień, a następnie szosę, na której trwa ruch dofrontowy, wreszcie Skomielną Górę, strzela kto żyw".

Takie strzelanie w górę przez wszystkich, z czego kto miał i mógł, czasami przynosiło spodziewany rezultat. I tak było tym razem.

„Nad rzeczką został zestrzelony samolot napastnika. Nie widziałem, z którego klucza się oderwał. Sterczy ogonem ku górze. W kadłubie coś się bieli. Śpieszy tam lekarz. Może jeszcze ktoś żyje?"

Ponieważ panowało przekonanie, że wszystko, co lata w powietrzu, jest przeciwko walczącym Polakom, strzelano więc do wszystkich samolotów. W wojsku nie było — tak koniecznej podczas wojny lotniczej — znajomości sylwetek samolotów własnych i przeciwnika. Brak tej znajomości, przy jednoczesnym podobieństwie niektórych typów samolotów polskich i niemieckich, zdarzał się również pilotom. Oto Stanisław Skalski w książce *„Czarne krzyże nad Polską"* opisuje takie zdarzenie:

— „Junkers 87! — krzyknął Paweł podrywając się z ziemi i wskazując ręką w kierunku Torunia. — Jak Boga kocham!

Rzeczywiście, we wskazanym kierunku, daleko na horyzoncie, na tle szarzejącego nieba przesuwała się ciemna sylwetka samolotu. Przypominał do złudzenia swym wyglądem niemiecki bombowiec nurkujący Junkers 87. (...)

Marian i Leszek Lachowicki wskoczyli do maszyn oczekując rozkazu. Jeszcze chwila wahania, gdyż zdania co do sylwetki słabo widocznego samolotu były podzielone. Wreszcie kapitan Rolski dał znak startu. (...)

Marian szedł niżej. Poderwał maszynę do ataku. Dostrzegliśmy w zapadającym zmroku ogień jego karabinów maszynowych. „Jedenastka" wyskoczyła świecą w górę i zatoczyła koło. Nieprzyjaciel znikł nam z oczu. Obie „Jedenastki" krążyły jeszcze chwilę, po czym skierowały się z powrotem na lotnisko. (...)

Pobiegliśmy do maszyn, które już wylądowały i kołowały teraz na swoje miejsca wśród drzew. Kapitan Rolski pierwszy pogratulował Marianowi błyskawicznego zwycięstwa.

— Dałeś nam doskonałe przedstawienie!

Ale Marian jeszcze z maszyny spoglądał ku nam dziwnym wzrokiem. Na słowa Rolskiego w pierwszej chwili nie odpowiedział nic. Zapalił papierosa, zaciągnął się głęboko i nagle szpetnie zaklął.

— Wiecie kogo zestrzeliłem?! — wrzasnął.

— Junkersa 87 — padła chóralna odpowiedź.

— Nie Junkersa, jasna cholera — zaśmiał się histerycznie — tylko naszego Karasia! Tak byłem zasugerowany tym przeklętym „Stukasem", że gapiąc się zupełnie z bliska i na znaki, i na sylwetkę nie poznałem go. Dopiero po ataku, gdy spojrzałem na przymusowo lądującą maszynę, włosy stanęły mi dęba. Dzięki Bogu wszyscy żyją..."

Jerzy Pawlak opisując dzieje 211 eskadry bombowej w książce pt. *„Polskie eskadry w Wojnie Obronnej 1939"* wspomina takie zdarzenie:

„Podczas przelotu „Łosie" były ostrzelane przez własną obronę przeciwlotniczą, a w rejonie Łodzi nawet zaatakowane przez myśliwców III/6 Dywizjonu, którzy na szczęście w porę rozpoznali „biało-czerwone szachownice".

Stanisławowi Skalskiemu zdarzyło się coś podobnego:

„W okolicach Grudziądza przepędziła mnie chaotycznym ogniem artyleria niemiecka. W drodze powrotnej, kiedy leciałem już lotem koszącym nad własnym terenem, przyjęła mnie silnym ogniem karabinów maszynowych nasza własna piechota. Nie był to sporadyczny wypadek w tej tragicznej kampanii. Strzelali do nas wszyscy: Niemcy i swoi. Swoi — często celniej".

Stanisław Skalski dopisał jeszcze komentarz:

„Niewielu wojskowych z linii orientowało się w sylwetkach własnych i nieprzyjacielskich samolotów. Niemal każdy uważano za niemiecki, kolportowano nawet wiadomości, że Niemcy używają naszych znaków rozpoznawczych na swoich samolotach, co nie było zgodne z prawdą. Ignorancja lotnicza z okresu pokojowego owocowała tragicznie w czasie wojny. Paniczny lęk przed lotnictwem w ogóle stworzył atmosferę, w której na wszelki wypadek ostrzeliwano wszystkie samoloty bez względu na uwidocznioną w znakach rozpoznawczych ich przynależność".

We wrześniu 1939 roku w walkach brało udział nie tylko lotnictwo myśliwskie, ale i bombowe. Pod koniec sierpnia 1939 roku

UTWORZONO BRYGADĘ BOMBOWĄ

której dowódcą został płk obserwator Władysław Heller. Brygada Bombowa była podporządkowana w całości Naczelnemu Dowódcy Lotnictwa, on znał wszystkie tajne lotniska polowe, decydował o zmianie lotnisk i mógł dysponować Brygadą Bombową jako całością, a także poszczególnymi jej dywizjonami czy eskadrami. Dowódca Brygady Bombowej mógł użyć we własnym zakresie jedynie dywizjon a najwyżej trzy eskadry.

Brygada Bombowa dysponowała 36 samolotami PLZ P-37B „Łoś" i 50 samolotami PZL P-23B „Karaś". Przy użyciu jednorazowym całej Brygady można było zrzucić na cel 70 ton bomb. Niestety — we wrześniu 1939 roku ani razu nie użyto Brygady Bombowej w całości.

Na Brygadę Bombową składały się:

— 211 i 212 eskadry bombowe, które w chwili wybuchu wojny przemianowano na 11 i 12 eskadrę bombową, i które weszły w skład X Dywizjonu Bombowego; obie stacjonowały na Okęciu, a w chwili wybuchu wojny przeniesione zostały na lotnisko polowe Ułęż koło Dęblina; dysponowały po 9 „Łosi" każda;

— 216 i 217 eskadry bombowe, przemianowane na 16 i 17, które stacjonowały na Okęciu, dysponowały po 9 „Łosi" każda i zostały przeniesione na lotnisko polowe Podlodów koło Dęblina; wchodziły w skład XV Dywizjonu Bombowego;

— 21 i 22 eskadry bombowe, przemianowane na 1 i 2 eskadrę, stacjonowały w Rakowicach pod Krakowem, dysponowały po 10 „Karasi" każda, zostały przeniesione na lotnisko Sadków koło Radomia i weszły w skład II Dywizjonu Bombowego Lekkiego;

— 64 i 65 eskadry bombowe, przemianowane na 4 i 5, weszły w skład VI Dywizjonu Bombowego Lekkiego, stacjonowały w Sniłowie koło Lwowa, przeniesione zostały na lotnisko Nosów koło Białej Podlaskiej, dysponowały po 10 „Karasi" każda;

— 55 Samodzielna Eskadra Bombowa, która stacjonowała w Lidzie i została przeniesiona na lotnisko polowe Lesiszcze 68 km na wschód od Lidy, dysponowała 10 „Karasiami".

Jak wykazały już pierwsze godziny wojny we wrześniu 1939 roku Luftwaffe miała rozkaz niszczenia wszystkiego, co tylko było ruchome, bez oszczędzania ludności cywilnej. Przeciwnie nawet, ciągłe ataki z powietrza miały zdemoralizować ludność cywilną, zastraszyć ją, a wojsku odebrać wolę walki z najeźdźcą. Niemieckie samoloty strzelały więc nie tylko do żołnierzy, ale uciekającej ludności cywilnej, ostrzeliwały ludzi pracujących w polu, pastuchów pasących bydło, transporty kolejowe, pociągi oznaczone Czerwonym Krzyżem, ostrzeliwano samochody i furmanki na szosach, pojedynczych ludzi szukających schronienia wśród łętów kartoflanych czy w grzędach kapusty. Bombardowano nie tylko transport kolejowy, samochodowy, wojskowy, ale otwarte miasta, wsie, miasteczka, mosty, przeprawy na rzekach, wszystko co mogło stanowić cel dla lotniczego ataku bez względu na strategiczne znaczenie tego. Niemieccy lotnicy strzelali też do polskich lotników ratujących się na spadochronach przed upadkiem wraz z zestrzelonym samolotem. Tę zbrodniczą praktykę lotnicy niemieccy stosowali również później na innych frontach drugiej wojny światowej.

LOTNICTWO POLSKIE

miało wojenne cele wyraźnie określone. Zawarte one zostały w wydanych w lipcu 1939 roku *„Ogólnych wytycznych użycia lotnictwa"*. Cele i zadania zostały określone następująco:

— „działania interwencyjne na polu bitwy i na bliskich tyłach na siły żywe nieprzyjaciela,

— zwalczanie na lotniskach lotnictwa nieprzyjaciela, przede wszystkim bombowego i myśliwskiego,

— zwalczanie transportów kolejowych i samochodowych nieprzyjaciela".

Rozpoznania celów miało dokonywać lotnictwo rozpoznawcze i inne będące w dyspozycji Naczelnego Wodza i poszczególnych armii. Informacje o celach miały być przekazywane najkrótszą drogą do Dowódcy Lotnictwa i OPL przy Naczelnym Dowodzu. Ale — jak wiadomo — system ten nie mógł spełnić swojej roli, gdyż naloty i bombardowanie dróg i tras kolejowych sparaliżowały system komunikacji telefonicznej oparty o przewody napowietrzne zawieszone na słupach. Wybuchy bomb łamały słupy i zrywały druty. Łączność Sztabu Głównego ze sztabami armii została też zerwana już w pierwszych dniach wojny. Pancerne zagony Wehrmachtu i ataki Luftwaffe porwały linie frontu wojsk polskich, armie były w odwrocie na kolejne linie obrony. Toczyły się liczne walki i bitwy, którym lotnictwo bombowe nie było w stanie dać wsparcia.

O wsparcie polskich bombowców dopominali się dowódcy Armii: „Poznań" — gen. Tadeusz Kutrzeba, „Łódź" — gen. Juliusz Rommel, „Kraków" — gen. Antoni Szyling. Przez pierwsze dni wojny dywizjony bombowe stały bezczynnie i oczekiwały rozkazów. Te przyszły dopiero czwartego dnia wojny. Lotnictwo bombowe nie zaatakowało ani jednego wykrytego przez polskie samoloty lotniska Luftwaffe, ani jednego dużego zgrupowania wojsk pancernych czy piechoty, które przygotowywały się do uderzenia na pozycje polskie. Taki atak lotnictwa polskiego na miejsca koncentracji wojsk niemieckich mógłby mieć poważne znaczenie dla skuteczności ataku na polskie pozycje. Lotnictwo polskie nie dysponowało osłoną myśliwców, co pozwoliło na bezkarne ataki myśliwców niemieckich na bombowce krążące nad celem. Wreszcie lotnictwo polskie nie dysponowało samolotami przygotowanymi do wykonywania takich zadań, jakie stanęły przed nimi we wrześniu 1939 roku.

Bombowce PZL P-37B „Łoś" produkowano od 1938 roku, miał on dwa silniki o mocy 920 KM każdy, uzbrojony był w 3 karabiny maszynowe, mógł jednorazowo zabrać 2.580 kg bomb, miał zasięg 1000 km, osiągał pułap 5.900 metrów, jego załoga składała się z 4 osób, osiągał maksymalną prędkość 412 km na godzinę. Żaden polski myśliwiec nie dysponował taką prędkością maksymalną. Najlepszy wówczas polski myśliwiec PZL P-11c osiągał prędkość maksymalną 390 km na godzinę.

Lekki bombowiec, który pełnił też funkcje samolotu rozpoznawczo-bombowego, PZL P-23B „Karaś" miał jeden silnik o mocy 685 KM, uzbrojony był w 3 karabiny maszynowe, mógł zabrać 700 kg bomb, miał zasięg 1.260 km, osiągał pułap 7.300 metrów, jego załogę stanowiły trzy osoby i osiągał prędkość maksymalną 319 km na godzinę.

CZYM DYSPONOWAŁA LUFTWAFFE?

W lotnictwie bombowym Luftwaffe dysponowała kilkoma typami bombowców:

— Heinkel He-111 produkowany był od 1938 roku, miał dwa silniki o mocy 900 KM każdy, uzbrojony był w 2 karabiny maszynowe, mógł zabrać tonę bomb, osiągał prędkość maksymalną 400 km na godzinę, miał zasięg 1.200 km, osiągał wysokość 5.500 metrów, a jego załoga składała się z 4 osób;

— Dornier Do 17F-1 był typem starszym, bo jego produkcję rozpoczęto w 1936 roku, miał dwa silniki o mocy 750 KM każdy, uzbrojony był w 3 karabiny maszynowe, mógł wziąć 500 kg bomb, jego załogę stanowiły trzy osoby, rozwijał prędkość maksymalną 355 km na godzinę, jego zasięg wynosił 1.590 km, wysokość 5.500 metrów;

— Junkers Ju-86 z dwoma silnikami o mocy 845 KM każdy, z obsługą czteroosobową, uzbrojony był w trzy karabiny maszynowe, miał prędkość 385 km na godzinę, zasięg 1.500 km i osiągał wysokość 7.400 metrów, produkowany był od 1936 r.;

— Junkers Ju-87B „Stuka", znany bombowiec nurkujący, z jednym silnikiem o mocy 1.210 KM, z trzema osobami obsługi, uzbrojony w trzy karabiny maszynowe, który mógł zabierać 500 kg bomb, osiągał szybkość 320 km na godzinę, miał zasięg tysiąca kilometrów i wysokość 7.000 metrów, produkowano go od 1938 roku.

Luftwaffe dysponowało więc we wrześniu 1939 roku dwoma samolotami produkowanymi od 1936 roku: Dornier Do-17F-1 i Junkers Ju-86 — oraz dwoma samolotami produkowanymi od 1938 roku: Heinkel He-111 i Junkers Ju-87B „Stuka". W Polsce „Łosie" były produkowane od 1938 roku, a „Karasie" od 1936 roku. Ale polskie lotnictwo bombowe dysponowało w chwili wybuchu wojny tylko 36 „Łosiami" i 50 „Karasiami". Przewaga Luftwaffe była więc nie tylko ilościowa, ale i jakościowa. A mimo to polskie bombowce zrzuciły na maszerujące oddziały Wehrmachtu 188 ton bomb. W czasie walk z atakującymi myśliwcami Luftwaffe zestrzelono 13 samolotów nieprzyjacielskich. Brygada Bombowa wykonała 337 zadań bojowych. Wiele z nich nie było jednak planowanych, a eskadry bombowe same wyszukiwały sobie cele.

STRATY BRYGADY BOMBOWEJ

były ogromne. 1 września 1939 roku gotowych do wykonywania zadań bojowych było 86 samolotów. Jedynie w 216 eskadrze bombowej, która przeznaczona była do drugiego rzutu, samoloty nie były przygotowane do działań bojowych. Niektóre eskadry już w trakcie działań wojennych otrzymywały uzupełnienie. W sumie eskadry otrzymały 31 samolotów: 11 „Łosi" i 20 „Karasi". Jednak nie wszystkie „Łosie", które przychodziły jako uzupełnienie były w pełni przygotowane do walki. Na przykład 212 eskadra bombowa otrzymała 4 „Łosie" dla uzupełnienia jej wyposażenia, ale były to samoloty nie posiadające kompletnego wyposażenia nawigacyjnego i uzbrojenia, a więc niezdatne do lotów.

Można więc założyć, że w pierwszych dniach wojny, od 1 do 17 września 1939 roku Brygada Bombowa dysponowała 117 samolotami — 86 w pierwszym dniu wojny i 31 jako rezultat uzupełnienia — z tego do Rumunii ewakuowano tylko 17 samolotów. Sto samolotów Brygady Bombowej zostało zestrzelonych przez myśliwce Luftwaffe, obronę przeciwlotniczą wojsk niemieckich, a także... przez własną artylerię przeciwlotniczą. Na przykład 15 września 1939 roku polska artyleria zestrzeliła „Łosia" 217 eskadry, 10 września uszkodziły transportowego Fokkera 22 eskadry, raniąc pilota, 5 września mimo wystrzelenia przez załogę kodowych rakiet obrona Okęcia uniemożliwiła lądowanie tam „Karasia" 64 eskadry bombowej. Samolot, mając uszkodzenie, zmuszony był lądować na zrytym bombami lotnisku w Dęblinie i rozbił się. Takich przypadków było więcej.

W walkach, jakie Brygada Bombowa toczyła do 17 września 1939 roku poległo 69 lotników, zaginęło lub dostało się do niewoli — 31, rany odniosło — 25 lotników. Siedemnaście maszyn, piloci, strzelcy, nawigatorzy, obsługa naziemna dywizjonów ewakuowała się do Rumunii. Wielu z nich walczyło później we Francji i Wielkiej Brytanii. Polscy lotnicy walczyli też w odrodzonym lotnictwie Ludowego Wojska Polskiego.

Wśród mogił tych, którzy oddali swe życie we wrześniu 1939 roku w obronie Polski są również mogiły polskich lotników.

Gdy lawiny schodzą z gór

PAWEŁ TOMASZEWSKI

13 listopada 1985 r. w górach spadł śnieg.

W środę, 13 listopada przebywająca na wycieczce grupa uczniów jednej z łódzkich szkół postanowiła wybrać się na Turbacz — najwyższy szczyt w paśmie Gorców. Nie odwiodła ich od tego zamiaru ani niesprzyjająca pogoda, ani nawet zbyt późna pora. Z Nowego Targu wyruszyli około godziny 14. Po trzech godzinach zrobiło się ciemno i — choć trasa nie należy do zbyt trudnych — wędrująca pod opieką nauczycieli młodzież pogubiła się. Ci, którzy dotarli do celu, na pomoc wezwali ratowników GOPR. Poszukiwania trwały aż do północy. Tym razem wszystkich zaginionych zdołano odnaleźć. Nie zawsze jednak podobne historie kończą się tak szczęśliwie. Mimo ciągłych apeli o rozsądek i rozwagę turystów, prasa co pewien czas informuje nas o kolejnych ofiarach gór.

Jak wynika ze statystyk, Górskie Ochotnicze Pogotowie Ratunkowe rocznie interweniuje ponad tysiąc razy. W samych tylko Tatrach odnotowuje się średnio około 200 akcji ratowniczych, w których bierze udział zarówno 30-osobowa grupa ratowników zawodowych, jak ponad 300 ochotników, gotowych ruszyć w góry na każde wezwanie o pomoc. Bez nich liczba tragicznych wypadków z pewnością byłaby wielokrotnie większa.

W siedzibie Tatrzańskiej Grupy GOPR przy ulicy 15 Grudnia 63A w Zakopanem dyżuruje się przez okrągłą dobę. Latem za dnia, od 8 do 20 czuwa tam 4-osobowa „grupa szturmowa". Zimą, gdy turystyka piesza i taternictwo zdecydowanie ustępuje miejsca narciarstwu, ratownicy GOPR pełnią całodzienne dyżury przy wszystkich ważniejszych trasach narciarskich. Zawsze jednak — niezależnie od pory dnia i roku — w zakopiańskiej dyżurce obecny jest ratownik odpowiedzialny, który w razie potrzeby natychmiast organizuje akcję ratunkową i kieruje jej przebiegiem. Taka jest zasada.

20 listopada 1985 r. funkcję odpowiedzialnego za akcje ratunkowe pełnił MIECZYSŁAW KOŁODZIEJCZYK, a że czas był spokojny, mogliśmy porozmawiać:

— Ratownictwo górskie to pana zawód?

— *Tak. W 1965 roku ukończyłem kurs ratownictwa I stopnia i od tej pory nieprzerwanie związany jestem z GOPR-em.*

— Skąd ten wybór?

— *Wie pan, zawsze mnie to pociągało. Pamiętam, że jeszcze jako uczeń szkoły podstawowej w Zakopanem chodziłem z kolegami „na labę" w góry, gdzie między innymi podpatrywaliśmy taterników, a potem sami wspinaliśmy się na skałki. Napatrzyłem się też na wypadki narciarskie, gdyż mieszkałem na Gładkiem obok trasy zjazdowej z Gubałówki, i na pracę goprowców. Podobała mi się. Poza tym naszym sąsiadem był Stanisław Gąsienica-Byrcyn, jeden z pierwszych członków pogotowia górskiego. I to również miało duży wpływ, że zostałem ratownikiem — najpierw ochotniczym, a później już zawodowym.*

— Sam zgłosił się pan do GOPR-u?

— *No, nie tak od razu. Najpierw, jako szesnasto-, siedemnastolatek wziąłem się poważnie za alpinizm — tak powierzchniowy, jak i podziemny, bo — muszę dodać — od najmłodszych lat lubiłem też chodzić po jaskiniach.*

— Co pana ciągnęło pod ziemię?

— *Ciekawość. A co tam jest w środku? W górach od dawna niczego nowego już się nie odkrywa. Można co najwyżej zrobić jakieś nowe przejścia, choć i z tym bardzo trudno. A do jaskiń chodziło się, żeby odkryć nieznane dotąd korytarze, gdyż wiele pozostawało w nich jeszcze do odkrycia. Nie były tak „przegrzebane" jak teraz.*

Oczywiście zaczynało się od rzeczy łatwych, od wchodzenia z latarkami do różnych dziur — pięćdziesiąt, sto metrów w głąb, nie dalej. Dopiero później zabraliśmy się za organizowanie trudniejszych wypraw, już z ekwipunkiem, kilkudniowych, na przykład do Jaskini Zimnej, chociaż i wtedy — zupełnie samodzielnie, bez instruktora. Byliśmy samoukami.

— Ale nie poleciłby pan dziś chyba tego młodzieży?

— *Naturalnie. Właśnie dlatego, że sam przez to przeszedłem. Jaskinie zawsze są bardzo niebezpieczne.*

Parę lat temu zostaliśmy zawiadomieni o zaginięciu pewnego chłopca z Krakowa. Miał iść na wycieczkę z Krzeptówek do Morskiego Oka. Nie znaleźliśmy go tam. Druga wersja mówiła, że mógł też pójść do Doliny Kościeliskiej. Przeszukaliśmy więc i Kościeliską — ani śladu. Po kilku dniach całkiem przypadkowo dowiedzieliśmy się, że chłopak wspominał kiedyś jak bardzo marzy o zwiedzeniu Szczeliny w Dolinie Chochołowskiej i tam go właśnie znaleźliśmy w stanie skrajnego wyczerpania — z zimna, głodu i ze strachu. Co ciekawe, wcale nie był daleko od wyjścia. Stracił jednak światło i to wystarczyło.

Przykład ten wymownie chyba świadczy, jak niewiele trzeba, by mogło dojść do tragedii. Poza tym — podstawowa zasada turystyki górskiej! — należy zawsze powiedzieć komuś dokąd się wybiera, kiedy przewiduje powrót i potem już nie zmieniać trasy. Przecież gdyby nie owa przypadkowa wiadomość, nikomu z nas nie wpadłoby do głowy szukać chłopaka w Chochołowskiej.

— Wróćmy jednak do pańskiej młodości...

— *Dalej doskonaliłem swe umiejętności — już w klubach wysokogórskich, jakie tu, w Zakopanem działały, dobrze opanowałem jazdę na nartach i dopiero wówczas zgłosiłem się do GOPR-u. Byłem z tego bardzo dumny.*

— Czy pamięta pan pierwszą akcję, w której brał pan udział?

— *Tak. Poszliśmy po grotolaza do jaskini w Dolinie Małej Łąki, na Świstówkę, pod próg. Już po wyjściu spadł w dół, złamał sobie rękę i obojczyk. To było jeszcze przed ukończeniem przeze mnie kursu ratowniczego. Akcja ta nie należała do zbyt trudnych, choć był to grudzień i — pamiętam — wszyscy bardzo zmarzliśmy i przemokliśmy. Pamiętam też, że po niej właśnie chyba połowa uczestników kursu wycofała się. Myśleli, że ratownictwo górskie, to tylko wielka przygoda. A to jest również bardzo ciężka praca.*

Nigdy na przykład nie zapomnę akcji w jaskini nad Kotlinami, za Wielką Turnią w masywie Czerwonych Wierchów, która trwała bez przerwy ponad pięćdziesiąt godzin. Wszyscy padaliśmy ze zmęczenia.

— Mógłby pan o niej opowiedzieć?

— *Było to w maju 1971 roku. Czterech grotolazów-wyczynowców wybrało się do tej jaskini pobić rekord. Zabrali ze sobą bardzo mało sprzętu i jak najszybciej, bez biwaków, zamierzali zejść na samo dno — ponad siedemset metrów w głąb ziemi — i równie szybko wrócić. Taka panowała wtedy moda. Dawniej chodziło się w większych grupach, taszczyło dużo sprzętu, robiło biwaki. Ci chcieli szybko, sportowo. No i skończyło się tragedią.*

Już podczas wychodzenia jeden z uczestników poczuł się gorzej, zaczął odstawać od reszty, opadać z sił. Szedł jako ostatni i coraz bardziej tracił kontakt z kolegami, tak że doszło nawet na tym tle do sprzeczki między nimi. To zupełnie normalne, gdyż taki człowiek najpierw ma pretensje do pozostałych, że za szybko idą, potem denerwuje się na nich i na sprzęt, staje się agresywny, aż wreszcie ogarnia go apatia i jest mu już wszystko jedno, co się stanie. I tak też właśnie wtedy było. Po chyba dziesięciu godzinach wspinaczki po linie w strugach lodowatej wody (jest to jaskinia typu pionowego, główny kolektor wody w rejonie Czerwonych Wierchów) coraz częściej mdlał, tracił przytomność i jasne stało się, że o własnych siłach wyjść nie zdoła.

O sytuacji zawiadomił nas jeden z grotolazów, który samotnie wycofał się na powierzchnię. Dwóch jego kolegów zostało pod ziemią, w poziomym korytarzu, a czwarty — zawieszony na linie — pod nimi, w pionowej studni. Gdy po kilku godzinach przybyliśmy na miejsce, zdołaliśmy wyciągnąć tylko tych dwóch. Zejście do studni okazało się niemożliwe mimo wielu prób, gdyż ratowników zalewała woda i było to zbyt niebezpieczne, a nie można było mieć nadziei, że człowiek ten jeszcze żyje. Po tylu godzinach wiszenia na linie...

Drugi raz poszliśmy po niego, a właściwie już po ciało, w tydzień później. Ale i wtedy go nie wyciągnęliśmy. Udało nam się to dopiero w czasie czwartej akcji, na początku lipca, a zatem w dwa miesiące po wypadku. Najpierw opuściliśmy zwłoki na dno, a następnie wyjęliśmy je stamtąd przez Jaskinię Śnieżną, z którą ta łączy się pod ziemią. Teraz obie noszą nazwę Wielkiej Jaskini Śnieżnej.

— Czy zimą również zdarzają się podobne akcje?

— *Znacznie rzadziej. Mniej ludzi chodzi zimą w góry, za to nie brak wypadków wśród narciarzy, i też mamy pełne ręce roboty. Weźmy chociażby okres ferii, kiedy na stokach narciarskich panuje taki tłok, że sam się nieraz dziwię, że tych wypadków, potłuczeń, złamań jest tylko tyle, ile jest.*

Wydaje mi się, iż nie powinno się przysyłać jednocześnie tak dużej liczby młodzieży w góry. Można by przecież podzielić Polskę na kilka regionów i dla każdego z nich organizować ferie w trochę innym czasie. Wszyscy mieliby wtedy możliwość odpoczywać w znacznie lepszych warunkach, a i nam łatwiej byłoby zapewnić na stokach większe bezpieczeństwo.

Przy okazji chciałbym dodać, że wyszło właśnie nowe zarządzenie, mówiące o obowiązku opiniowania przez GOPR wszystkich szlaków turystycznych i tras zjazdowych. Sądzę, że to również może przyczynić się do poprawy bezpieczeństwa. Z tym, że sami niewiele jednak zrobimy. Konieczne jest tu współdziałanie — przede wszystkim ze strony samych turystów, którzy, przyjeżdżając w Tatry, powinni coś już wiedzieć o zachowaniu się w górach. Bo przecież, gdy my wkraczamy do akcji, na naukę najczęściej jest już za późno.

Turystów trzeba kształcić. Są organizacje młodzieżowe, jest PTTK, inne... Ale jak tu nieraz dziwić się młodzieży, że jest lekkomyślna, skoro jej nauczyciele nie są często wcale lepsi. Ilu z nich na przykład wie, jak powstają lawiny? Spadła lawina — co trzeba zrobić?

— A co trzeba?

— *Gdy się widzi lawinę, przede wszystkim należy uciekać z pola jej zasięgu w bok, najlepiej na jakąś wypukłość, i to nie zwlekając. Nieraz bowiem nie sama lawina, ale pędzące przed nią powietrze potrafi przewrócić. Ma wielkie ciśnienie. Pamiętam, zeszła kiedyś lawina z Przełęczy Marchwicznej do Morskiego Oka i choć wcale nie dotarła do schroniska, sprężone powietrze wybiło w nim wszystkie szyby.*

— Dobrze: udało nam się uciec, widzimy jednak, że lawina kogoś porwała. Co wtedy?

— *Najpierw dokładnie obserwować. Starać się zapamiętać, z którego miejsca porwała, zaznaczyć je, nie brać żadnych przedmiotów, które znalazły się w lawinie. Potem — ostrożnie przeszukać lawinisko — może wystaje gdzieś ręka, albo noga, kawałek ubrania, narta. Pokrzyczeć, osłuchać. Jeśli nie da to rezultatu, oczywiście jak najszybciej zawiadomić GOPR. Dokładnie opowiedzieć przebieg wypadków, pokazać zaznaczone miejsca. Dla nas każdy szczegół może być ważny.*

Jeżeli jest większa grupa ludzi, jedna osoba powinna iść po pomoc, a reszta szukać zasypanych. Nie należy przy tym palić papierosów, bo gdy do akcji będą musiały wkroczyć psy, mogą stracić węch.

— A czy nie ma niebezpieczeństwa powtórnego zejścia lawiny w tym samym miejscu?

— *To się czasem zdarza dlatego kiedy my idziemy na lawinisko, stawiamy kogoś wyżej, by obserwował, czy nie idzie druga lawina, a poza tym najpierw jeszcze przedeptujemy drogę ucieczki z zagrożonego terenu.*

— Co się dzieje, kiedy GOPR otrzyma meldunek o lawinie, w której znaleźli się ludzie?

— *Jeżeli jest to w terenie — na przykład na Kasprowym Wierchu, czy na Hali Gąsienicowej — dyżurujący tam ratownik przekazuje go natychmiast tutaj, do centrali, a odpowiedzialny organizuje akcję. Najpierw ściągamy lekarza i psy. Jeżeli pogoda jest lotna, jedziemy pod szpital, gdzie stacjonuje śmigłowiec i stamtąd już śmigłowcem prosto na miejsce akcji.*

— Jak długo to trwa?

— *Przy sprzyjających okolicznościach około pół godziny. Ale bywa, że i dłużej. To zależy od miejsca wypadku, pogody...*

— Oczywiście najlepiej w ogóle unikać lawin...

— *Oczywiście. I dlatego trzeba znać mechanizmy ich powstawania.*

Największe zagrożenie lawinowe występuje wtedy, gdy pada śnieg, jest duży wiatr i stosunkowo wysoka temperatura. Płatki śniegu nie zazębiają się wówczas o siebie, ale łamane wiatrem i topniejące, zbijają się w kulki, które w masie nie są zbyt spoiste. Wystarczy potem mocniej tąpnąć na takim śniegu, a całe jego płaty odrywają się od siebie i lecą w dół po zboczu.

Podobnie wiosną, kiedy śnieg jest mokry, ciężki i na skutek topienia go przez słońce nie przylega ściśle do podłoża, gdyż woda spływa pod nim, drążąc korytarze. Jeżeli leży na przykład na podłożu trawiastym, to także niewiele trzeba, by zsunął się w dół. Trawa jest śliska jak igielit.

W ogóle generalna zasada: unikać zimą płaskich, trawiastych zboczy i żlebów, gdyż tam najczęściej tworzą się lawiny. Należy chodzić miejscami wypukłymi, grzbietami, tak zwanymi żeberkami. I nie dotyczy to wcale tylko jakichś stromizn. Nawet przy niewielkim nachyleniu terenu, powiedzmy około trzydziestu stopni, też może zejść lawina, jeśli na przykład podetnie się jej podstawę.

Był taki wypadek, że dwóch wytrawnych alpinistów przygotowywało się do wejścia na Kazalnicę na zamarzniętej tafli Czarnego Stawu nad Morskim Okiem, a więc na zupełnie płaskim terenie. Wystarczyło, że weszli kilka metrów na stok — też niezbyt stromy — podcięli podstawę lawiny i znaleźli się pod nią. Wydawało się im, że nie ma żadnego niebezpieczeństwa.

— Wielu czytelników „Odgłosów" wybiera się niedługo w Tatry. Czy mógłby pan wskazać miejsca, w których najbardziej mogą spodziewać się lawin?

— *Szczególnie groźne są zimą Tatry Zachodnie, rejon Doliny Chochołowskiej, Starorobociańskiej oraz górna część Doliny Kościeliskiej, gdyż tam właśnie przeważają stoki trawiaste. W Tatrach Wysokich lawiny najczęściej schodzą żlebami, jarami. Jest na przykład taki Żleb Żandarmerii po prawej stronie na drodze do Morskiego Oka. Przy ładnej pogodzie przechodzą przez niego tysiące turystów, a tam lawiny występują bardzo często. Dwa lata temu zasypało w nim kobietę. Należy więc uważać właściwie w każdym miejscu, gdyż nawet w rejonie Kasprowego, który uchodzi za bezpieczny, zasypało kiedyś narciarza. Na szczęście koledzy zdążyli go odkopać.*

— Listopad to okres przygotowań do sezonu zimowego...

— *Tak, robimy właśnie przegląd sprzętu, naprawiamy go, konserwujemy. Bardzo ważne jest też zadbanie o sprawność fizyczną ratowników, gdyż tylko ratownik w pełni sprawny, dobrze wyposażony, nakarmiony może naprawdę skutecznie działać.*

— Jakim sprzętem ratowniczym dysponuje obecnie Grupa Tatrzańska GOPR?

— *Można powiedzieć, że najnowocześniejszym, jaki stosowany jest też w innych krajach. Myślę tu o linach, toboganach, skuterach śnieżnych, śpiworach izotermicznych, aparatach zaciskowych... Problem polega jednak na tym, że tego sprzętu mamy stanowczo za mało, choć i tak więcej niż inne grupy. Wciąż brakuje nam funduszy na zakup dostatecznej ilości ubrań dla ratowników, odpowiedniego obuwia. Teraz stosuje się na przykład buty plastykowe, które kosztują po kilkadziesiąt dolarów za parę. Przydzielane nam środki dewizowe są, niestety, zbyt skromne, aby wyposażyć wszystkich.*

Tragiczna natomiast jest sytuacja z samochodami. Te, które posiadamy, nie bardzo nadają się do naszych celów, a poza tym i tak są już dawno wyeksploatowane. Potrzebujemy dobrych, wytrzymałych i ogrzewanych wozów terenowych. Skąd je wziąć — nie wiadomo. A przecież to także rzutuje na naszą działalność. Mam nadzieję, że nie będzie trzeba wracać do koni.

— I ja tak myślę. Dziękuję serdecznie za interesującą rozmowę. Życzę panu oraz wszystkim ratownikom GOPR, aby jak najmniej musieli interweniować w nadchodzącym sezonie.

Foto: Grzegorz Gałasiński

LOTEM blisko o rzut kamieniem

JOLANTA WROŃSKA

— *„Najmilsi moi. Chyba wreszcie znalazłem swój kąt na ziemi. Pewny, jeśli cokolwiek na tym świecie może być pewnego. Pięć lat to trwało, ale wreszcie, zdawszy wszelkie egzaminy, zdobywszy wszelkie uprawnienia, mogę pracować w swoim zawodzie. Sam się dziwię i wciąż nie wierzę, że to prawda Że nie muszę już biec na nocną zmianę do czterech krosien. Mam dostęp do wspaniałego laboratorium, mam klinikę i zaplecze w całej wiedzy o osiągnięciach tego kraju. Mam wreszcie swój dom — duże wygodne mieszkanie w przyzwoitej dzielnicy, z dala od piekła emigranckiego getta. Jestem już obywatelem tego państwa i mogę pracować. Przesyłam Wam swój adres (nareszcie będziecie mogli pisać). A teraz najważniejsze. Od pięciu miesięcy jestem członkiem ekspedycji lekarzy, wysłanej do Azji dla prowadzenia badań. Dla mnie to duże doświadczenie i cenny kapitał zawodowy. Jednak nie to jest najważniejsze. Według planu pracy, po sześciu miesiącach należy się miesięczny urlop.*

Dzięki przyzwoitym zarobkom mogę sobie pozwolić na bilet lotniczy tam i z powrotem. Kochani, jeśli nic nie zawiedzie, spędzimy razem Święta Bożego Narodzenia. Wszystko wskazuje na to, że już 20 grudnia będę w Polsce. Jeśli do 23 grudnia mnie nie będzie, znaczy, że coś mi przeszkodziło i czym prędzej dam znać. Według rozkładu lotów, skorzystam z LOT-owskiego samolotu z Bangkoku. Przylot jest gdzieś około siódmej rano, ale trzeba brać poprawkę na długość trasy, możliwe problemy z pogodą, a więc i spóźnienie. Dlatego też nie jestem w stanie dokładnie podać terminu. Natychmiast po lądowaniu na Okęciu wsiadam w pierwszy pociąg i przyjeżdżam by jak najszybciej ucałować Wasze ręce. Miejmy nadzieję że już 20 grudnia zobaczymy się. Bądźcie zdrowi. Maciek".

Starszej pani załamuje się głos przy czytaniu listu. Starszy pan nie może uspokoić serca dygoczącego w piersi. Synku. Syneczku... Tyle lat. Pięć długich, samotnych lat czekania... Mój Boże, jak tu przeczekać jeszcze te kilka tygodni? Starsza pani po raz tysięczny przywołuje tamtą rozmowę z synem. Postanowił wyjechać. Ich syn, utalentowany, świeżo upieczony absolwent medycyny. Tacy byli z niego dumni. Tak czekali na dyplom Maćka. A on powiedział, że wyjeżdża z kraju. Na długo chyba na stałe. Dlaczego pytali, synku, dlaczego? Przecież i tu lekarze potrzebni. Tylu ich brakuje.

A on mówił o popieleniu ludzkich ambicji, o nędznych układzikach, od których zależy praca naukowa młodego lekarza. O bezpardonowej walce o zagraniczne kontrakty i stypendia, bo za krajową pensję lekarza w szpitalu, żaden jeszcze lekarz nie utrzymał siebie, nie mówiąc o rodzinie. I krzyczał, że przecież by wolał tu normalnie pracować, żyć z jednej posady, a nie z gonitwy między szpitalem, przychodnią i pogotowiem. Wolałby tu prenumerować zagraniczne pisma fachowe, wyjeżdżać normalnie na stypendia. Uczyć się, rozwijać, tu, a nie gdzieś po świecie. Ale nie widzi perspektyw.

Właśnie, tak powiedział: nie ma perspektyw. I ojciec, bezradnie broniący swoich lat przepracowanych tu, żeby jego dzieciom było lepiej, rzucił mu w twarz obelgę, że chciwy na zachodnie błyskotki, że ojczyznę ma się jedną. A Maciek płakał z bezsiły, bo nie umiał im wytłumaczyć, że nie chce, jak Ewa, starsza siostra, miotać się w pętli. Ona, trzydziestoczteroletnia kobieta, lekarz, matka dwojga dzieci, żona lekarza, zagoniona za groszem wiecznie brakującym, nie odróżnia już trzustki od żołądka. Bo całą energię traci na utrzymanie się przy życiu, a nie na naukę, pracę, która rozwija i wzbogaca. Cóż mogli przeciwstawić rodzice temu zachłannemu apetytowi na życie, na cały świat? Jakież małe były słowa o przywiązaniu do swego kawałka świata na dobre i złe? Jak śmiesznie niecelne były zarzuty pazerności na dolary. Nie umieli poradzić sobie z synowskim pytaniem, czy naprawdę sądzą, że wszyscy młodzi opuszczający Polskę, robią to tylko dla pełnej michy? Czy nie zastanawia ich, że co roku Polskę opuszczają dwie akademie medyczne w pełnym składzie? Czy nie pytają dlaczego?

Potem płakali oboje na dworcu. Córka ich uspokajała, zięć setny raz przypominał Maćkowi o adresach, pod którymi ma szukać pomocy w znalezieniu pracy, a wnuki domagały się przysłania przez wujka paczki z klockami LEGO i z dżinsami, i małymi modelami samochodów, i z...

W końcu pociąg odjechał, a oni zaczęli czekać na listy. Długo ich nie było. Potem ktoś nieznajomy, wracający z zagranicy, przekazał pierwszy list i trochę niepewnych wiadomości. Jakiś kolega Maćka ze studiów, także przebywający za granicą, przez swoich rodziców przekazał informację o Maćku.

Nie wiedzieć kiedy nawiązały się znajomości, a nawet przyjaźnie z rodzicami innych koleżanek i kolegów Maćka. Ktoś powiedział, że właściwie powstał klub rodziców dzieci, które wyemigrowały. Wspierali się wzajemnie, dzielili wiadomościami, tworzyli łańcuszek samopomocy w zdobywaniu książek czy innych drobiazgów, o które prosiły ich dzieci rozsiane po całym globie. To pomagało czekać na listy. Czekać i wierzyć, że ich syn da sobie radę wśród obcych.

Starsza pani dobrze pamięta buńczuczną zuchowatość bijącą z pierwszych listów. Że żyje, co prawda nie jest lekko, ale po kilku ciężkich miesiącach ma niezłą pracę, jako sprzątacz w metrze. Ona czuła, że syn próbuje sam siebie przekonać o sukcesie i bolało ją serce. Dokuczało bardzo, gdy myślami wracała do marzeń o Maćku w lekarskim fartuchu. Z daleka przychodziły okruchy. Że zmienił pracę, że mieszka na spółkę z Hiszpanem i jeszcze jednym Jugosłowianinem Resztę musieli sobie uzupełniać wyobraźnią. Ich dziecko walczyło o swoje miejsce w życiu a oni nie mogli go wspierać nawet dobrym słowem, bo nie mieli adresu. Maciek pisał że zbyt często zmienia lokum, by ryzykować zgubienie listu rodziców.

A teraz przyjeżdża. Ich syn, lekarz w wielkiej klinice członek naukowej ekspedycji. Starszy pan był dumny, cieszył go sukces syna, choć gorzko zapytywał sam siebie, dlaczego nie dane mu jest oglądanie opierzania się młodych ptaków.

Starsza pani, chcąc skrócić dręczące oczekiwanie, sporządziła szczegółowy plan przygotowań świątecznych. Więc najpierw — generalne porządki. Jakoś od pięciu lat nie mieli chęci na wielkie sprzątania i teraz trzeba nadrobić zaniedbania. Potem — precyzyjny przegląd szaf i półek. Następnie — wykaz koniecznych zakupów. Tegoroczna Wigilia ma być uroczysta i piękna. Jak niegdyś, przed laty, gdy dzieci były małe i pragnęły koniecznie przydybać Mikołaja na podrzucaniu prezentów pod choinkę.

Starszy pan, prócz cięższych prac domowych, wziął na siebie zadanie zdobycia dokładnych informacji o terminie i godzinie przylotu tego najważniejszego samolotu. O połączeniach kolejowych z Warszawy, co pozwoli im obojgu wyjść na dworzec po syna wysiadającego z pociągu.

W dniu poprzedzającym spodziewany przyjazd syna starsi państwo nie mogą z niepokoju usiedzieć na miejscu. Żłera niepokój, czy syn jednak przyleci, czy samolot bezpiecznie wyląduje? Postanawiają pojechać do córki, mieszkającej na drugim krańcu miasta. Tam jest telefon. Zadzwonią na lotnisko, dowiedzą się czegoś.

Działanie jest lepsze od tortury biernego czekania Więc zięć z wnukami przenosi się do sypialni, a starsi państwo zasiadają przy telefonie. Najpierw kręcą numer informacji — 913 — by dowiedzieć się jak dodzwonić się na Okęcie. Telefonistka podaje jeden numer telefonu, 46-30-11 — informacja ogólna. Numer nie odpowiada. Jeszcze raz do informacji. I prośba o podanie wszystkich numerów telefonicznych na Okęcie, pod którymi można otrzymać jakieś informacje. Życzliwy głos w słuchawce dyktuje: 46-96-70; 46-96-45; 46-56-03.

Jest godzina dwudziesta i pięć minut. Kolejne cierpliwe wykręcanie numeru kierunkowego do Warszawy, sygnał i sześć cyfr. Cisza. Nikt nie podnosi słuchawki. Więc jeszcze raz, 0-22 do Warszawy, i następny numer. Znów to samo — sygnał niepodnoszenia słuchawki na drugim końcu.

Starszy pan uspokaja żonę. To nic, trzeba pamiętać, że mogą być kłopoty na łączach, albo automat gdzieś mylnie wybrał jedną z cyfr. Nie trzeba się niepokoić, wiadomo, jak jest z telefonami. Jeszcze jedna próba połączenia się z którymkolwiek z podanych numerów. I znowu nic. Niepokój rośnie, starsza pani znowu czuje ostrzegawczy ból w mostku. Córka przygotowała kolację i termos z herbatą, w przewidywaniu dłuższego flirtu z telefonią. Stara się rozładować napięcie żartobliwymi opowiastkami o niespodziankach telefonicznych. Starszy pan metodycznie zapisuje na kartce kolejność informacji, jakich potrzebują. Więc po pierwsze — dokładna godzina przylotu samolotu z Bangkoku. Następnie — czy na liście pasażerów jest nazwisko syna. Jak długo trwa odprawa celna i inne formalności. Czy więc syn zdąży na najbliższy pociąg, czy będzie musiał czekać na następny, dopiero za cztery godziny. A jeszcze trzeba odliczyć czas na dotarcie z lotniska na dworzec kolejowy.

Za kwadrans dziewiąta wieczorem, kolejna próba połączenia, znowu bez rezultatu. Czy to możliwe, żeby nikt nie podnosił słuchawki pod żadnym z numerów? Przecież ktoś musi czuwać?

Córka namawia na zjedzenie kolacji, a ona tymczasem spróbuje się połączyć. Ma szczęśliwą rękę do telefonów. Rodzice przełykają kolację bez apetytu, śledząc palce córki na klawiszach telefonu. Znowu nic. Jeszcze raz odzywa się wykręcony numer informacji. Czy telefonistka nie pomyliła się w podawaniu numerów lotniska. Może mylnie podyktowała jakąś cyferkę? Nie? Wszystko w porządku? To dlaczego nie można się połączyć? Pani w słuchawce tego nie wie. Za to podsuwa pomysł telefonowania do informacji międzymiastowej z pytaniem, czy linia do Warszawy nie jest uszkodzona, lub czy nie ma awarii blokującej numery lotniska. Trzecia próba przynosi rezultat. Odzywa się centrala międzymiastowa. Na pytanie o łącza odpowiada przecząco. Nie ma żadnych zakłóceń, linie, zwłaszcza wieczorem nie są już tak obciążone. Nie powinno być kłopotów z połączeniem.

22.30 — ponowna próba. Znowu żaden z numerów nie odpowiada. Życzliwa pani z informacji, cierpliwie tłumaczy niespokojnej pani, że z pewnością podała prawidłowe numery na Okęcie. Zresztą może jeszcze podać numer do centrali międzynarodowej. Może to coś da. Może stamtąd telefonistki dodzwonią się na lotnisko? Starszemu panu przychodzi na myśl, że zrujnują córkę i siebie, gdy przyjdzie zapłacić rachunek za telefon.

Panienki z centrali międzynarodowej potwierdzają sprawność połączeń z lotniskiem. Po prostu ktoś nie podnosi słuchawki. One mogą jeszcze podać numer informacji międzynarodowej w Warszawie. Tam — znowu potwierdzenie, że telefony Okęcia są sprawne i że absolutnie nie jest możliwe, by były nieczynne. Lotnisko pracuje przecież całą dobę, a jego telefoniczne połączenia ze światem zewnętrznym muszą być tym bardziej niezawodne. Ponadto uprzejme panie z warszawskiej centrali międzynarodowej gotowe są podać kolejne numery telefoniczne na lotnisku. Między innymi numer do informacji o międzynarodowym ruchu pasażerskim, do rezerwacji miejsc na lotach zagranicznych i inne numery operacyjne.

Starszy pan szybko notuje na kartce: 46-17-31; 46-11-43; 46-96-02 i 46-96-54.

Starsza pani przełknęła już swoje ratunkowe kropelki. Córka namawia na spoczynek. Po paru godzinach snu, od świtu ponownie będą dzwonić. Jutro trzeba iść do pracy, nie można całej nocy spędzić w nerwach przy telefonie. Rodzice jednak upierają się przy ponawianiu prób. Córka idzie spać, a oni, co dziesięć minut wykręcają seryjnie wszystkie otrzymane numery telefoniczne. Żaden się nie odzywa. Wygląda na to, że lotnisko śpi snem sprawiedliwych i przepracowanych za dnia, zaś zakłócanie nocnej ciszy należy uznać za zwyczajne nachalstwo i brak szacunku dla personelu. Wydaje się niemożliwym, by jedyny międzynarodowy port lotniczy w Polsce został odcięty od świata za sprawą zepsutych telefonów? Czy jest możliwe by wszyscy spali i nie było komu podnieść słuchawki? A gdyby chodziło o sprawę życia i śmierci, na przykład o informację o samolocie, który ma przywieźć lekarstwo ratujące życie? Zresztą po co aż takie przykłady? Czy po prostu nie można się dodzwonić, by zasięgnąć potrzebnych informacji, nawet najbłahszych?

Starsi państwo nigdy nie byli za granicą, nigdy nie lecieli samolotem, ba, nigdy nawet nie widzieli na własne oczy międzynarodowego lotniska Ale przecież widzieli w telewizji tyle razy, w dzienniku, albo filmach. Pamiętają wielkie, przestronne hale, ruchome chodniki, sprawną i kompetentną obsługę dbałą o wygodę pasażerów. Więc starsi państwo myślą, że skoro — jak pokazują w telewizji — można z budki telefonicznej, tkwiącej samotnie przy pustynnej autostradzie gdzieś w Teksasie bez problemów połączyć się z mieszkaniem w Nowym Jorku — to tym bardziej można dodzwonić się z B. na Okęcie.

Co kwadrans jedno z nich cierpliwie wykręca wszystkie po kolei numery, odczekując dłuższą chwilę przy każdym z nich. Nikt nie podnosi słuchawki. Nikt się nie odzywa. Wszyscy umarli. Nie ma lotniska. Gdyby trzeba przekazać na lotnisko informację, że na pokładzie zbliżającego się samolotu jest ukryta bomba — nie ma szans. Nikogo to nie obejdzie, bo wystarczy lekceważącym milczeniem odgrodzić się od intruzów mających nocny wypoczynek.

W jakiejś nadrannej godzinie, drzemiącej w fotelu starszej pani śni się natarczywy dzwonek telefonu. Starszy pan, prowadzi długie, wyimaginowane rozmowy przez telefon...

O wpół do siódmej wstaje córka i zięć, później wnukowie. Codzienny poranny obrządek mycia, siorbania gorącego mleka, półsennego pogryzania bułki z miodem. Starsi państwo płuczą piasek spod powiek i znowu siadają przy telefonie. Mieszkanie pustoszeje. Zięć podrzuci dzieci pod szkołę w drodze do pracy, córka na odchodnym jeszcze obiecuje zadzwonić jak przebiega batalia z milczącymi telefonami.

Dopiero w kilka minut po ósmej, po dwunastu godzinach nieustannych prób, w słuchawce telefonu odzywa się najprawdziwszy ludzki głos. Damski. Na zadane pytania nie odpowiada kierując pod inny numer telefonu. Tam — znowu szczęście — zgłasza się dama z informacji o międzynarodowym ruchu pasażerskim i majestatycznie podaje dokładną godzinę przylotu samolotu z Bangkoku. Ma niewielkie, kilkuminutowe opóźnienie, zatem szczęśliwie wylądował na Okęciu przed półgodziną.

Dama odmawia jednak podania informacji, czy Maciek przyleciał tym samolotem. Na pytanie, czy tego rodzaju informacja jest objęta tajemnicą — dama administracyjna przeczy, dalej jednakże odmawia odpowiedzi, odsyłając pod inny numer telefonu. Fortuna sprzyja upartym, tak więc i ten telefon wywołuje reakcję. Panienka nie chce powiedzieć, czy na liście pasażerów znajduje się nazwisko Maćka, lub — jeśli nie, to czy mają już listę następnego przylotu z Bangkoku. Następnej listy jeszcze nie ma, co jest taką oczywistością dla panienki, że aż nadyma się protekcjonalnym lekceważeniem kmiotków z prowincji nie mających pojęcia o wielkim świecie międzynarodowego lotniska. Co się zaś tyczy aktualnej listy pasażerów przybyłych dzisiejszym samolotem, to panna nie może podać żadnych informacji, albowiem lista pasażerów została już odesłana do wyświetlarni, gdzie zostanie wprowadzona do lotniskowego komputera. Zatem — z powodu wyższej techniki — niemożliwym jest zadośćuczynienie prośbie petenta. Petent wszakże, doprowadzony do ostateczności całonocnym czuwaniem przy słuchawce, żąda natychmiastowego podania numeru telefonu do dyrektora lotniska. Nie musi, przecież, bo i po co, wiedzieć, że na Okęciu nie ma żadnego dyrektora, o czym panienka informuje z lodowatą flegmą. Więc dobrze, nie dyrektor, ale ktoś, kto jest szefem na lotnisku. Panienka insynuuje, iż wielce zapracowany szef lotniska międzynarodowego, co z naciskiem podkreśla, z pewnością nie będzie miał czasu na rozmowy z nachalnymi intruzami. Starszy pan ostatkiem sił trzyma nerwy na wodzy, zmienia ton, informując panienkę w skrócie, dlaczego tak się domaga wiadomości o locie z Bangkoku, podaje nawet nazwisko syna, by ułatwić panience zadanie. Na ostatek prosi, by ta zechciała mu podać swe nazwisko, gdyż chciałby wiedzieć w razie konieczności ponownego połączenia. Panienka spokojnie replikuje: g... to pana obchodzi i odkłada słuchawkę.

Następny numer, następny głos i znowu to samo. Nie można sprawdzić listy pasażerów, bo powędrowała już do wyświetlarni danych komputerowych, tam zaś, niestety jest zepsuty telefon, nie można więc nic poradzić. Dziecinnie głupie pytania, widocznie skutkiem nieprzespanej nocy, zdaje się prześladować starszego pana. Czy nie ma kopii listy pasażerów? Czy do wyświetlarni jest tak daleko? Czy wreszcie panienka w informacji nie ma przed sobą ekranu czytnika komputera, by od ręki sprawdzić co należy? A w ogóle — czy jest możliwe, by od godziny 20 dnia poprzedniego przez całą noc, aż do godziny ósmej, nikt nie reagował na telefony? Czy ktoś pracuje na lotnisku w nocy, lub czy jest jakiś jeden dyżurny telefon informacyjny? Panienka przerywa ten jazgot, komunikując, że nie należy do jej kompetencji odpowiadanie na takie pytania.

Starszy pan myśli ponuro co by było, gdyby wydarzył się wypadek w powietrzu, albo na lotnisku. Jak dowiedziano by się nazwisk ofiar, jeśli lista pasażerów „poszła do wyświetlarni", kopii nie ma i nikt nie ma pojęcia kto znajdował się na pokładzie samolotu. Jest jeszcze kilka innych możliwości ale po co gdybać...

Maćka jednak w samolocie nie było. Nie pojawił się do późnej nocy, kiedy przychodzi ostatni pociąg z Warszawy. Nie ma go także nazajutrz i następnego dnia. Starsi państwo znowu odprawiają swój rytuał ukrywania rozpaczy i niepokoju. Nie ma żadnej wiadomości. Na darmo przygotowania świąteczne, daremne przygotowywanie serc na radość spotkania Starsza pani, jeszcze raz szósty już, zostawi kawałek opłatka na pustym talerzu dla Maćka.

Szykowanie Wigilii nie cieszy ani rodziców, ani rodziny córki, nawet wnuki nie czekają na zapalenie lampek na choince. I nikt nie rozpakuje paczki z piękną grafiką w aluminiowej oprawie.

Starsza pani odwleka moment zasiadania za stołem nie czekając już, czeka na znajome kroki na schodach. Starszy pan dusi w sobie płytki astmatyczny kaszel.

Na chwilę przed łamaniem opłatka, odzywa się dzwonek u drzwi. Pewno kominiarz z wróżbą na szczęście.

W drzwiach stoi Maciek. Przyleciał dziś rano, próbował bezskutecznie dzwonić z Warszawy. Ale jest. I siada na swoim miejscu przy stole.

Feliks Rajczak

List do Michała Kuny, edytora i erudyty, napisany w sobotę przed Bożym Narodzeniem 1984 roku, w dzień po otrzymaniu egzemplarza pierwszego druku bibliofilskiego wiersza Ziemowita, wydanego waszym sumptem na mój jubileusz

Na papirusie znad Neru (nie Nilu)
Piszę do Ciebie rymem, Bibliofilu.
Poniesie Ci go biały kruk — pocztylion
Nie na Berdyczów i nie na Babilon,
Lecz wprost do Łodzi, w której płyniesz k u
n a m —
Wynurzającym się z leśnego runa
Gnomom i bladym krasnalom bez fletu...
Ileż wydałeś z swej sakwy talentów,
By owocował dziki krzak na bruku?
Spod liści dębu brnąc do Absolutu,
Ot, Ziemek jeden zna może rachunki
Za nieprzespane świty, spite trunki.
Kiedy pod maską unosisz twarz szczerą,
Czytać nie dajesz przeciętnym kurierom
Tego, co w wnętrzu ułożyła duma.
Jakżeby chcieli oni się pokumać
I zbrukać jasne uśmiechu foliały,
Któreś wywołał — aby ocalały.
Przetoć puenta taka na ostatek:
Przyjmij skóreczkę wiersza za opłatek.

22 XII 1984

Ł

Niektórzy nie mają w swym alfabecie
i nie potrafią wymówić imienia
tej litery. I ja nie wysławiam głośno
ukrytego jak w łusce łubinu jej powabu
wywodzącego się z łąki i jedwabiu.

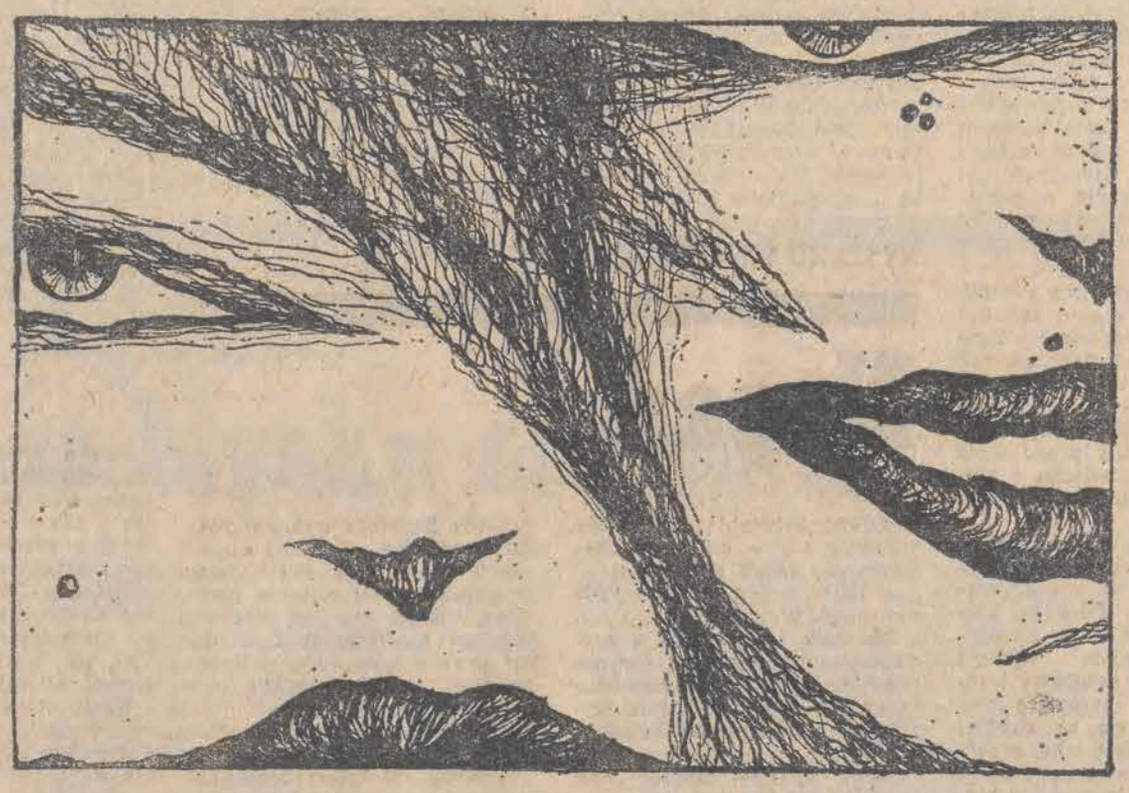

Rys. Zenona Plonk

☆ ★ ☆

Kto wtargnął do mego kraju
kto uciął mi język we śnie

Broń się niewinny
swą bezbronnością

Czy można kłamać
jeśli nie zna się prawdy

Słońce wschodzi
jakby nie było przeszłości

☆ ★ ☆

Zatrzymani na mostach nad wodą
Odcięci od własnych słów
Obojętni — jak śnieg topnieje
Nikniemy nikczemni w milczeniu

☆ ★ ☆

Lecący o poranku gołąb
w świętości niedzielnego nieba
ku swojej ciszy ukojeniu
jakby niósł w dziobie kromkę chleba

Nie witam go ni zatrzymuję
gałązką brzozy znad strumienia
I przelatuje w moich oczach
na krańce czystego sumienia

Szkic odpomniany

Lisi ogon drogi
wylazł z zagajnika
i pomknął pod pagór
za którym wieś stryja
i — niżej — w dolinie
rzeka wśród kaczeńców
jak chłodna przepaska
na spękanych wargach

Dziesięć książek 1985 roku

GRZEGORZ GAZDA

Jeśli jest tak źle, to dlaczego jest tak wcale nie najgorzej? Ta parafraza ulubionego w ostatnich latach przez felietonistów porzekadła pasuje jak ulał do obecnej sytuacji książki i tego wszystkiego od czego ona jako produkt kultury jest uzależniona, a więc artystycznej potencji pisarzy, stanu poligrafii, poziomu edytorskiego, polityki przekładowej, wreszcie dostępności na rynku. O każdym z tych zakresów żywota literatury można pisać źle I ja w tym tonie — zresztą nie pierwszy i nie ostatni — mógłbym zapisać wiele kartek. Przy świętach jednak nie ma co wdawać się w publicystyczne analizy, rozdzierać szat (nielatwo o nowel) i szydzić z optymistycznych statystyk. Sam przecież na wstępie zaproponowałem formułę: „Wcale nie najgorzej" Bo rzeczywiście widać objawy stabilizacji rynku księgarskiego, łatwiej trafić na ciekawą książkę, a wydawcy znów zaczynają dbać o dobry poziom edytorski.

To „wcale nie najgorzej" i koniec roku, a więc czas kiedy warto obejrzeć się do tyłu i zapytać o nasze dokonania, skłoniły mnie do tego, aby zaproponować czytelnikom „Odgłosów" listę dziesięciu osiągnięć literackich i edytorskich 1985 roku. Będzie to — co oczywiste — wybór subiektywny i arbitralny. Nie posługuje się w nim ani jakimkolwiek plebiscytem, ani nie odwołuje się do jakichkolwiek statystyk i badań. Te dziesięć książek proponuje jako uważny (tak mi się przynajmniej zdaje) obserwator literatury i inicjatyw wydawniczych naszych oficyn kierując się własnymi upodobaniami i preferencjami czytelniczymi. Owszem, biorę także pod uwagę jakby obiektywną rangę tych książek, to znaczy przyjęcie ich przez czytelników, oceny recenzentów oraz coś, co można byłoby określić (może na wyrost, ale przyszłość to zweryfikuje) ponadczasowym znaczeniem społecznym, kulturalnym bądź literackim. Mówiąc po prostu: są to książki, którym wróżę długi żywot.

Rozpoczynam od wydawnictw encyklopedycznych i słownikowych, bo też one są najbardziej poszukiwane i wiele w tym zakresie (w porównaniu z innymi krajami) jest do nadrobienia. Lista braków od encyklopedii powszechnych do leksykonów i słowników zbierających wiedzę w określonych dziedzinach jest ogromna. Dlatego też prawdziwym wydarzeniem ostatniego roku jest z całą pewnością

LITERATURA POLSKA. PRZEWODNIK ENCYKLOPEDYCZNY (PWN)

dzieło przygotowywane bez mała przez dziesięć lat, którego około 5 tysięcy haseł biograficznych i rzeczowych opracowało ponad trzystu autorów. Pracami redakcyjnymi kierował Julian Krzyżanowski, a po jego śmierci Czesław Hernas. Teraz gdy ten słownik już jest, widać jak był on niezbędny i potrzebny. Historia literatury polskiej może rzeczywiście się chlubić wieloma osiągnięciami. Długi byłby wykaz nazwisk zasłużonych badaczy i ich dokonań. Jednak — jak dotąd — wciąż brak syntez, które jednoczesnie biorąc pod uwagę współczesne interpretacje historyków literatury, przedstawiłyby całościowy jej obraz. „Przewodnik encyklopedyczny" takiej syntezy nie zastąpi. Jest jednak znakomitym kompendium wiedzy zarówno dla profesjonalistów jak i dla „zwyczajnych" odbiorców literatury. I to kompendium nieomal kompletnym: od haseł poświęconych najważniejszym utworom, poprzez hasła biograficzne, teoretycznoliterackie (rodzaje i gatunki, prądy, epoki, pojęcia poetyki, stylistyki i wersyfikacje etc.), z zakresu geografii literackiej, związków naszej literatury z innymi literaturami narodowymi do haseł z kręgu życia literackiego i jego kontekstów społecznych.

Książką niewspółmierna do tej przedstawionej wyżej ale równie imponującą jest

WŁADYSŁAWA KOPALIŃSKIEGO SŁOWNIK MITÓW I TRADYCJI KULTURY

którego edytorem jest Państwowy Instytut Wydawniczy. Stutysięczny nakład znikał z księgarń w tempie błyskawicznym i od samego początku zyskał entuzjastyczne oceny. I ja do nich się przyłączam, choć zdaję sobie sprawę, iż pomysł autora jako szczególnie ryzykowny nie mógł przynieść dzieła absolutnie doskonałego. Bo cóż to znaczy „mit" i jak należy rozumieć „tradycje kultury"? Jak powinny być wytyczone granice merytoryczne, geograficzne i historyczne dla tytułowych zjawisk. Z jednej strony można by spodziewać się „opisania świata", a z drugiej encyklopedii cywilizacji i kultury. Słownik Kopalińskiego jest po części jednym i drugim. Niekiedy irytuje oczywistościami w rodzaju „Nowych Aten" Benedykta Chmielowskiego (np. Podpiwek — słabe domowe piwo), niekiedy chce być słownikiem etymologicznym albo wyrazów obcych itp. A nie ma np. hasła „krąg" o którego potrzebie żadnego humanisty nie trzeba przekonywać. Nie piszę tu recenzji, takich będzie jeszcze wiele, doceniam trud autora i niezwyczajną wartość jego dzieła wpisując je bez wahania na moją listę.

Z trzeciego tytułu muszę się wytłumaczyć. Książkę

JOHNA REWALDA, HISTORIA IMPRESJONIZMU (PIW)

proponuję do dziesiątki 1985 roku, nie tylko ze względu na jej wartości merytoryczne. Dzieło tego amerykańskiego historyka sztuki, tłumaczone przez Justynę Guze, rzeczywiście należy do wybitniejszych osiągnięć historyczno-artystycznych, które przedstawiają w sposób imponująco-szczegółowy ten ostatni powszechnie akceptowany przez szeroką publiczność prąd w sztuce. Wpisując Rewalda na listę chce uhonorować jej kształt edytorski, a także skuteczne wysiłki PIW, aby w tych zgrzebnych czasach czytelnik nie zapomniał jak wygląda piękna i starannie wydana książka.

Awangarda i sztuka najnowsza, ze względu na swoje skomplikowane ewolucje, palimpsestyczne programy i kontrowersyjne efekty artystyczne wciąż domagają się analitycznych przybliżeń i interpretacyjnych opisów. Rok, który mija przyniósł tu rzecz szczególnie ważną. Jest nią książka

STEFANA MORAWSKIEGO, NA ZAKRĘCIE: OD SZTUKI DO PO-SZTUKI

którą sygnuje krakowskie Wydawnictwo Literackie. Ten zbiór wcześniejszych prac historyka sztuki, estetyka i filozofa, jest doniosłą diagnozą postawioną artystycznym awangardom naszego stulecia.

Innego rodzaju diagnozą, bo odnoszącą się do społeczno-politycznej sytuacji Polski ostatnich kilku lat, jest tom publicystyki

ANDRZEJA WASILEWSKIEGO, WSCHÓD, ZACHÓD I POLSKA (PIW).

Gorzka i mądra to książka. Z racjonalistyczną wnikliwością demaskuje mity naszej przeszłości i teraźniejszości, krytycznie analizuje świadomościowe oszustwa opozycji, jej obłudę i koniunkturalizm. Spośród wielu tytułów, które ukazały się w ostatnim czasie, a które podejmują rozumiejące oceny najnowszej historii naszego kraju, tom Wasilewskiego trzeba uznać za najważniejszy.

I literatura piękna nie stroni od teraźniejszości. Można byłoby podać tu kilka co najmniej przykładów. Ograniczę się do dwóch. Pierwszy to powieść

JÓZEFA ŁOZIŃSKIEGO, SCENY MYŚLIWSKIE Z DOLNEGO ŚLĄSKA (PIW),

która jest, moim zdaniem, najświetniejszym literackim obrazem Polski posierpniowej. To powieść w całym tego słowa znaczeniu polityczna. Znajdziemy w niej ton pamfletu, groteski i tragedii, który sytuuje ją w ciągu najlepszych tradycji tego gatunku: od Kadena-Bandrowskiego do Bratnego. Te dwa nazwiska przywołuję nie bez przyczyny. Mimo stylistycznej swoistości (Łoziński należy do najoryginalniejszych talentów współczesnej literatury) powieść „Sceny myśliwskie..." obu poprzednikom wiele zawdzięcza.

Drugi przykład to pośmiertny tom poetycki

MIRONA BIAŁOSZEWSKIEGO, OHO (PIW).

w którym znajdujemy to wszystko, z czego autor budował swoją poetykę od samego początku. Nie muszę dodawać, że w całej naszej powojennej poezji twórczość Mirona Białoszewskiego zajmuje miejsce odrębne i do końca konsekwentne. Jego wiersze i prozy wyrastając z codziennej rzeczywistości stenografowały ją w każdym przejawie. Z naiwnym zadziwieniem, czasem z ironią, z dowcipem, ale i z egzystencjalną refleksją. Taki też jest i tom ostatni. „Kabaret Kici Koci", który ów tom zamyka, to antypatetyczny, właśnie ironiczny i kabaretowo-absurdalny zapis Polski stanu wojennego.

Kolejną książką mojej dziesiątki 1985 roku jest antologia przygotowana przez Igora Sikiryckiego w Wydawnictwie Łódzkim w serii „Poezja narodów Związku Radzieckiego" pt.:

POEZJA GRUZIŃSKA

Umieszczam ją na tej liście literackich wydarzeń z paru powodów. Po pierwsze dlatego, że właśnie ta seria, imponująco zaprojektowana, starannie i po bibliofilsku przygotowywana, należy do najcenniejszych inicjatyw łódzkiej oficyny. Po drugie dlatego, że dzięki niej otwiera się przed miłośnikiem poezji ogromny a nie znany dotąd obszar artystycznych wartości, które warte są przyswojenia. Po trzecie wreszcie, ów siedmiusetstronicowy tom, w wyborze i z licznymi przekładami Igora Sikiryckiego, jest ważnym spadkiem, który pozostawia po sobie ów zmarły przed rokiem pisarz.

Spośród debiutów 1985 roku chciałbym wyróżnić książkę

ZBIGNIEWA BATKI, Z POWROTEM CZYLI FATALNE SKUTKI NIEWŁAŚCIWYCH LEKTUR (ISKRY).

To pastisz, a jednocześnie rzecz całkiem oryginalna. Książka dla dzieci (krytyka tę literaturę traktuje z reguły per non est), ale dedykowana „byłym dzieciom"; poetycka fantazja, ale nie pozbawiona ogólniejszych refleksji. Ucieczka w świat baśni i znakomity humor. Powieść, której wróżę żywot książki klasycznej w swoim gatunku.

Zamykam tę dziesiątkę tytułem, który w roku 1985 zrobił błyskawiczną karierę czytelniczą. Amerykańską powieść

JAMESA CLAVELLA, KRÓL SZCZURÓW (KSIĄŻKA I WIEDZA)

może wybredny estetа uznać za czytadło, bo też ów ekst, pół-Irlandczyka, pół-Anglika urodzonego w Australii, czyta się znakomicie, co dobrze świadczy także o tłumaczach Małgorzacie i Andrzeju Grabowskim. Sugestywny obraz żołnierzy alianckich przebywających w japońskim obozie jenieckim jest jednakowoż wcale ciekawym dokumentem literackim czasów II wojny światowej.

Taka jest ta dziesiątka. Choć ustalałem ją z całą powagą i przekonaniem, nie będę się przy swoich propozycjach upierał. Wiem przecież, że tego rodzaju list można byłoby sporządzić kilka i wszystkie miałyby swoje racje. Niechaj wiec czytelnicy „Odgłosów" w czasie Świąt mają okazję do przedwieczornej rozmowy.

RYSZARD BINKOWSKI

Napad

Mężczyzna w berecie wysiadł tuż przed stadionem. Znajdował się tam przystanek na żądanie, ale motorniczowie zatrzymywali się z nawyku, nie czekając na sygnał konduktora.

Pasażer z ostatniego pomostu ruchy miał szybkie, energiczne, ale nie nerwowe. Z bandażem na oku i z wypchaną brązową torbą na ekler w ręku, sprawiał wrażenie kombatanta krajowych ringów, który wraca do domu z obozu sparringowego w Cetniewie.

Za stadionem skręcił na wjazd do obejścia Pawelca. Zastukał do drzwi wejściowych, ale nikt mu nie odpowiedział. Pokręciwszy z dezaprobatą głową, podszedł do drzwi piwnicy i pociągnął za klamkę. Niestety, były zamknięte.

Gość rozejrzał się wokół czujnym okiem Cyklopa. Obszedł od tyłu dom i zatrzymał się na podwórzu. W jednym z okienek sutereny paliło się światło. Rama była nieco uchylona. Mężczyzna zapuścił żurawia przez szparę w zasłonce imitującej zużytą kolorową ścierkę. Na stole tkwiły dwie puste musztardówki. Tapczan był rozbebeszony i skopany jakby służył w burzliwą noc do orgii w stylu gwiazda. Ale facet, który leżał na tym seksualnym pobojowisku, nie wyglądał na rozpustnego samca. Chrapał niby zakatarzone niemowlę.

Przybyły naciągnął cienkie gumowe rękawiczki. Podszedł do garażu, pomajstrował przy zamkach i wszedł do środka. Przymknąwszy drzwi, zapalił światło. W suficie tkwiły zabetonowane haki, na których można było wieszać ubite wieprze. Nieco spadzistą posadzkę przecinał kanał ściekowy z drenowym wylotem pod progiem. Na ścianie znajdował się hydrant ze zwojem plastykowego węża, którego używano zapewne do mycia auta oraz do urabiania zaprawy w betoniarce. Zimna woda bieżąca pozwalała także na instalację chłodnicy do pędzenia samogonu.

Wszystkie te urządzenia świadczyły, iż pomieszczenie służy jako garaż-myjnia, ubojnia i nielegalna bimbrownia. No cóż, uniwersalność zawsze była główną zaletą praktycznych mieszkańców R.

Nieproszony gość obejrzawszy sobie wszystko dokładnie, rozpanoszył się w garażu niczym prowincjonalny aktor w cudzej garderobie. Najpierw zdjął beret, płaszcz i zerwał opatrunek. Uczynił to odwrócony do ściany, jak gdyby nie chciał ujrzeć własnej twarzy w szybie albo w lusterku samochodu. Uwolnione z bandażu oko zamknęło się w zetknięciu ze światłem, a kiedy się otwarło, było takie samo jak drugie — niebieskie i niewinne.

Następnie niedawny Cyklop wyjął z torby foliowy woreczek z kłębkiem uwłosienia w kolorze rudoblond. Przylepił sobie brodę z wąsami, założył ciemne okulary w plastykowej oprawce, wcisnął na głowę czarny ortalionowy kapelusz z szerokim stebnowanym rondem. Przyjrzawszy się sobie w lusterku nabrał przekonania, że przy nim pan Szpicbródka to plewa i żul, najbardziej pospolity szmontak, chwilowo bezrobotny.

Potem zdjął półbuty, wciągnął szerokie drelichowe spodnie i założył gumowce, wsuwając nogawki w cholewy. Na koniec ubrał popelinową kurtkę z głębokimi kieszeniami, w kolorze blue, co najmniej o dwa numery za dużą. Wyjął z torby dwa dziwne przedmioty, nieznane tak zwanej literaturze pięknej poważnej i wsunął je do kieszeni.

Wreszcie rzucił na siedzenie syrenki coś na kształt pasa ratunkowego. Ale przypominało to raczej workowaty rękaw długości około metra i szerokości trzydziestu centymetrów. Rękaw miał z obu stron konopne troki, przy czym z jednego końca był zaszyty.

Szpicbródka zgasił światło, odemknął drzwi i wyjrzał na podwórze. Nabrał trochę błota w dłonie i na wszelki wypadek zamazał tablicę rejestracyjną. Skuteczność tego zabiegu kosmetycznego była znikoma, gdyż bez przerwy lał deszcz. No, ale w drodze pryskające błoto mogło na dobre zachlapać tablicę. Umył ręce pod hydrantem, usiadł za kierownicą i za pomocą kabelka uruchomił silnik poza stacyjką. Warkot tłumiła ulewa, w porywach szumiąca niczym Niagara w okresie suszy.

Wyprowadziwszy auto, zamknął drzwi na klucz i wyjechał bez pośpiechu z podwórza.

Syrenka podskoczyła na szynach tramwajowych i przy skręcie w prawo wpadła w poślizg na mokrej kostce. Koła przecięły rynsztok udający wzburzony potok i auto omal nie zwaliło z nóg mężczyzny z workiem na głowie. Bryzgi mulistej wody oblały go od stóp po szpic worka.

— Ożesz ty, prezesiku! A żebyś tak wpadł do rzeki, skubańcu! Co za menda traktorowa! Namoczony od rana! — wywrzaskiwał mężczyzna grożąc pięścią syrence, która już znikała za mostem, przesłonięta szarą płachtą deszczu.

Był to Krzywy Ignac, który z braku oszczędności na przelew wlókł się smętnie do Babich, gdzie miał robić tynkowanie do spółki z murarzem Górskim. Ignac niósł w sercu pewną nadzieję, albowiem Górski miał talent nie tylko do kielni. Grał pięknie w orkiestrze kościelnej i potrafił wspaniale dyrygować toastami na glejchach.

Tymczasem kierowca zwolnił, wjechawszy w ciasno zabudowaną ulicę Tuszyńską. Okna po prawej znajdowały się tak blisko linii tramwajowej, że pasażerowie znali na pamięć wzorki na bieliźnie, intymne znamiona męskich przydatków oraz pojemność wdechu i wydechu co piękniejszych Rzgowianek.

Minąwszy pusty rynek i most na Nerze, Szpicbródka zatrzymał się niemal na wprost bramy cmentarnej, która sto metrów w lewo od szosy straszyła swą fantazyjnie wygiętą kratą. Wysiadł, przebiegł jezdnię, zawrócił i zaraz za mostem zsunął się ze stromej skarpy na bagnistą łąkę, porośniętą gęsto krzewami, olchą i topolami. Pod butami zaczmokało błoto, ale mężczyzna sunął żywo, jakby się bał, że na deszczu puści mu rudoblond zarost.

Przemknął obok stodoły, okrążył bajorko gnojowicy pośrodku podwórza, dopadł schodków i wszedł do ciemnego korytarza. Przez chwilę nasłuchiwał, wyrównując świszczący oddech. Poruszył klamką drzwi na prawo. W porządku, mieszkanie Strzałkowskich puste i zamknięte...

Zamknął na klucz frontowe drzwi, wychodzące na Pabianicką. Przetarł okulary, odwrócił się i stanął przed drzwiami obitymi blachą. Wzdłuż futryny wisiała na haku żelazna sztaba, z której wyłamaniem miałby trochę kłopotu najsprawniejszy ciągnik prezesa Pawelca.

Pomieszczenie, w którym się znalazł, miało trzy zakratowane okna. Pod sufitem płonęły dwie stuwatówki, rozjaśniając półmrok sączący się przez zalane szyby. Miejsce dla personelu odgradzała kabina telefoniczna i ścianka z grubego, pomalowanego na biało szkła. Między kabiną i szybą znajdowało się wąskie przejście z wiszącym ruchomym blatem.

W głębi, za otwartymi drzwiami ciasnego pokoiku, siedziała przy centrali przeraźliwie chuda brunetka z łopatkami sterczącymi niby złamane sztachety w płocie. Pod ścianą na lewo segregowało pocztę dwoje doręczycieli: koślawa, gapiowata kobieta około trzydziestki oraz mały mężczyzna z twarzą Chińczyka skrzyżowanego z albinosem.

Przy oknie pracował sam naczelnik, otyły i dostojny, o nalanej twarzy i gładko przylizanych ciemnych włosach. Tuż za szybą z wyciętym kwadratowym okienkiem pochylała się nad jakimiś papierami panna Jadzia, młoda dziewczyna z prostym piegowatym noskiem i jasnymi włosami ściągniętymi na karku w koński ogon. W blasku żarówek wyraźnie odcinały się od blatu jej małe dłonie ze zwinnymi palcami o łagodnie sklepionych paznokciach.

Ponieważ nikt nie zwrócił uwagi na petenta, co było tu chyba zjawiskiem zwyczajowym, ten dotknął palcem ebonitowego kontaktu przy drzwiach. Cichy trzask i nagły półmrok sprawiły, iż załoga jak na komendę podniosła głowy i zamrugała powiekami jak zerwana ze snu. Przybyły odchylił wąski blat, wszedł za szybę i zatoczywszy półkole narzędziem, którego raczej nie pokazuje się w miejscach publicznych, rzucił półgłosem:

— Dzień dobry państwu. Proszę wstać. Wszyscy!

Podnieśli się ociężale, z rozdziawionymi ustami, z oczyma utkwionymi w lufie pistoletu, który mierzył do nich z wysokości piersi niespodziewanego petenta...

— Ty też! — huknął na brzydką telefonistkę, która usiłowała manipulować jakąś wtyczką. — Ręce na kark i pod ścianę! Tam, gdzie listonosze, jasne?

Nie spuszczając z nich wzroku sięgnął lewą ręką pod biurko naczelnika. Wymacał ostrożnie przycisk i cienki przewód do dzwonka alarmowego na posterunku milicji, który sąsiadował przez ścianę z pocztą. Przeciął nożem drut, po czym wyjął spod biurka trzy worki z czerwonym paskiem: dwa były puste, trzeci zapełniony do połowy i zaplombowany.

— Ty! — wskazał lufą naczelnika. — Co to jest?

— To? To... renty, emerytury i... i pensje nauczycielskie — wybełkotał grubas.

— Dużo?

— No, jakieś trzysta tysięcy...

— Ile? — warknął mężczyzna.

— Trzy — trzysta...

— A utarg z geesu?

Naczelnik zbladł, poczerwieniał i znowu zbladł.

— Prawie dwieście — wyszeptał tonem faceta w stanie agonalnym.

Na ściągniętej irytacją twarzy okularnika odmalowało się rozczarowanie.

— Gdzie?

— W... w biurku.

— No to ładuj do jednego worka! Migiem, szefie!

Wydawało się, że naczelnik jest bliski apopleksji. Wykonał jednak polecenie bez sprzeciwu, szybko i sprawnie.

Długonoga telefonistka w kitlu z czarnego jedwabiu zacisnęła w kreche cienkie blade wargi. W oczach miała zwątpienie, rezygnację.

Mały listonosz drapał się kciukiem po karku, jakby zamiast strachu nawiedziła go jakaś złośliwa wesz.

W zielonych oczach Jadzi czaiło się przerażenie. Ale w pewnej chwili zamigotało w nich coś niebezpiecznego, jakiś błysk determinacji.

Kiedy naczelnik wrócił pod ścianę, napastnik rzucił pusty worek pod nogi głupawej listonoszki. Spojrzała z takim zachwytem, jakby oczekiwała zbiorowego gwałtu albo przynajmniej oświadczyn filmowego gangstera.

— Załaduj pocztę! — rozkazał sztuczny brodacz. — Pomóż jej, Chińcu! Jazda, to nie psie figle na ambonie!

W piętnaście sekund paczki listów trafiły do worka.

— Zawiąż! — głos mężczyzny przeszedł w falset. — Dobra, stary. A teraz przywiąż do worka z forsą.

Kiedy listonosz wykonał rozkaz, okularnik zarzucił sobie worki na ramię w ten sposób, że jeden zawisł mu na piersiach, drugi zaś na plecach. Spojrzał na zegarek. Był tu już prawie trzy minuty. Krótko jak na czas załatwiania rzgowskich petentów, ale ciut za długo jak na wizytę towarzyską z bronią w ręku.

Wycofał się tyłem przez lukę między szybą i kabiną telefoniczną. W jego lewej dłoni pojawił się karbowany granat.

— Posłuchaj, szefie! Przez pięć minut stać pod ścianą — wycedził drżącym z emocji głosem. — I ostrożnie z drzwiami, panowie poczta. Zawieszam to na klamce...

Nacisnął łokciem klamkę, pchnął barkiem ciężkie drzwi. Odwracając się w prawo dostrzegł kątem oka powolny ruch ręki panny Jadzi... Palce ujęły przycisk do papieru, dłoń uniosła się mierząc w okno.

Strzelił bez namysłu przez ramię, jak gdyby trzask tłuczonej szyby mógł zrobić więcej hałasu niż pistolet, i nie czekając na efekt wyszedł na korytarz. Założył sztabę na wmurowaną żelazną podkówkę i przetknął zakrzywiony pręt.

Pobiegł tą samą drogą, którą przybył na pocztę. Tym razem jednak wolał nie ryzykować, toteż zamiast wspinać się po śliskiej skarpie, wszedł do wody i wyrzucił plastykową atrapę granatu. Popłynęła z prądem do upustu w Gospodarzu.

Brodząc pod mostem wyszedł na łąkę za kościołem. Przesunął się jakieś czterdzieści metrów pod osłoną skarpy, wszedł na pobocze toru tramwajowego i po chwili siedział już w samochodzie. Pomyślał z uśmiechem, że ucieczka z poczty zajęła mu pięćdziesiąt sekund. Włączył silnik, uruchomił wycieraczki i przeciąwszy skręt szyn ruszył drogą do Starowej Góry.

Na wysokości przystanku tramwajowego „Gospodarz" skręcił w lewo. Pokonawszy stumetrowy odcinek polnej drogi wjechał na cmentarz wojenny i zaparkował pod osłoną krzaków. Padał deszcz, na budowie wiaduktu stały tylko opuszczone maszyny. Na przystanku nie było żywej duszy.

W ciągu trzech minut przełożył pieniądze do workowego rękawa, dopiął paczkę listów i zaszył otwór cienkim miedzianym drutem. Skończył akurat w chwili wjazdu na przystanek tramwaju z Łodzi. Miał teraz pewność, że nikt go nie zobaczy, ponieważ tramwaj z Tuszyna powinien nadjechać dopiero za kwadrans.

Wycofał syrenkę i pojechał wzdłuż szyn w stronę Łodzi. Zatrzymał się na skraju kamiennego muru zwieńczonego daszkiem z czerwonej dachówki. Wjazd na cmentarz świecił pustką. Po chwili jednak w głębi dzikiej, zapuszczonej alei pośród ociekającego wodą listowia poruszyła się sylwetka mężczyzny w zielonym płaszczu z kapturem. Kierowca wbiegł za mur, rzucił w krzaki wypchany rękaw, wrócił do auta i odjechał z maksymalną prędkością do Łodzi.

Ściana dzieląca posterunek od poczty była dość gruba, jednakże huk rozległ się tak nagle i tak blisko, że sierżant spadł z krzesła. Legł sztywno, jak martwy, ponieważ razem z wystrzałem w głowie błysnęła mu śmiertelna myśl, iż popełnił niezamierzone samobójstwo. Tak się bowiem złożyło, że czyścił akurat służbową broń.

Kiedy stwierdził z radosnym zdumieniem, że jednak żyje, odkrywcza myśl rozjaśniła mu umysł.

— Wstań sierżancie — wyszeptał — bo jak cię zobaczy Kulik, pęknie ze śmiechu. No, wstawaj! Nie ma dzwonka, a więc na poczcie spokój. To chyba ten pieprzony odrzutowiec! Znowu przekroczył barierę dźwięku...

Naraz mury przebił potężny ryk listonosza Paterki!

— Aaa, gadzina! Dobiera się do listonoszki...

Bury porwał swój gwizdek i zawtórował z taką mocą, że pękła szyba w oknie!

Niestety, pękła na poczcie, a sprawcą jej wybicia był Paterka, o czym Bury nie wiedział.

Sierżantowi zjeżyły się wąsy, gdyż nagle dzwonek alarmowy zaczął popiskiwać wesoło niczym kopnięty w słabiznę jąkała.

— O, a teraz naczelnik! Znowu robi złośliwe spięcia w przewodach!

Zaterkotał telefon. Bury rzucił się brzuchem na biurko i pochwycił słuchawkę, z której dobywały się takie dźwięki, jakby telefonistka rodziła w mękach za ścianą. Jej zdławiony głos przyprawił go o palpitację serca.

— Wyraźniej! — wrzasnął.

— Jezus Maria, sierżancie...

— Co jest, do cholery?!

— Dwa trupy...

— Gdzie?

— Na poczcie, sierżancie! Był napad...

Komendant wypadł z bronią w ręku na ulicę. Usiłował z rozpędu staranować drzwi na pocztowy korytarz, ale nie puściły, cholera. Ramię trochę puściło, na szczęście lewe. I Bury całkiem przytomnie zaczął strzelać w zamek. Tyle że broń miał właśnie rozładowaną...

— Drzwi zamknięte — wrzasnął Peterka — a na klamce granat!

Sierżant zebrał się w sobie i gwiżdżąc jak szalony puścił się galopem dookoła posterunku. Dopadł węgła murowanej obory, przecisnął się pod metalową barierką na skarpie i zjechał w krzaki dzikiego bzu. Podniósł się, przesadził w bród gnojówkę, wtargnął z impetem do korytarza i uwolnił pocztowców. Była to jego ostatnia bohaterska czynność służbowa, ponieważ telefonistka zawiadomiła już pogotowie i komendę powiatową milicji. Nie przeszkodziło mu to jednak w pełnieniu komendanckich obowiązków.

— Nie ruszać się! — krzyczał mierząc do skazańców z rozładowanej broni. — Nie oddychać i ani kroku!

— Wybawca nasz — szepnęła nabożnie listonoszka — nie bał się granatów...

— Milczeć! Nie było granatów! Precz z paniką! Nie deptać śladów!

— Kiedy my już zdeptali — wymamrotał Paterka.

— Stać i nie gadać! Naczelnik też trup?

— Eee, jeszcze zipie...

— Co mu jest?

— Taki wrażliwy, komendancie — wyjaśniła telefonistka.

— Aha! Tak, on z wrażenia — wyrwał się listonosz.

— Stać! — ryknął Bury. — Co było z tym dzwonkiem?

— Facet przeciął kabel. Paterka próbował połączyć — powiedziała chuda brunetka.

— A niech was szlag! Niczego nie dotykać! — jęknął z rozpaczą sierżant.

— Szyba już poszła...

Bury spojrzał z wściekłością na Paterkę. Potem nie ruszając się z miejsca otrzepał trochę mundur ze śladów swej wędrówki przez krzaki i gnojówkę.

— No, dobra. Jak on wyglądał? — zapytał spokojniejszym tonem.

— O-o! Ta-ki chłop! Do sufitu... A piękny jak kapitan Kloss — wybełkotała zachwycona listonoszka.

— Srata-tata! Przebieraniec — rzuciła z pogardą telefonistka. — Z brodą i w ciemnych okularach, a na nogach gumowce.

— Dużo wziął?

— Prawie pół miliona. A w drugim worku pocztę...

— Hm... Czemu strzelał do Jadźki?

— Chciała stłuc szybę, komendancie.

— Ta-ak. Z tym granatem to lipa. Nie było żadnego granatu.

— Ale on go nam pokazał! — stwierdził Paterka. — Powiedział, żeby przez pięć minut nie ruszać się z miejsca.

— Chciał was zastraszyć. Nie, to nie nasz człowiek — mruknął Bury.

— Jasne — powiedziała brunetka.

— Co jasne?

— Mam wyczulone ucho. Swojego poznałabym po głosie.

— No, wiecie, mógł zmienić głos — bąknął bez przekonania sierżant. — Tylko te pięć minut, psiakrew! Na co mu było tyle czasu?

— Na ucieczkę! — wypalił Paterka.

Sierżant uciszył go niecierpliwym gestem.

— Nie, bracie. Taki przebieraniec nie pokazałby się na ulicy z workami na plecach. Myślę, że pobiegł za stodołami do strumienia. Potrzebował te pięć minut na dotarcie do mostu na Pabianickiej. Tam mógł czekać na niego wspólnik w samochodzie...

Rozmyślania sierżanta przerwało wycie syreny. Lekarz wziął naczelnika do karetki i zawiózł na oddział reanimacji.

Do akcji przystąpił porucznik Lech Kański z komendy powiatowej. Puściwszy do roboty ekipę techniczną, uciął sobie wstępną pogawędkę z Burym. Sierżant przyznał się do wszystkiego.

— Fa-atalnie — ocenił Kański. — Wstyd i hańba, sierżancie.

— A cóż ja mogłem zrobić?

— Brak operatywności, sierżancie! To się przecież stało za waszymi plecami.

Bury milczał. Czuł się tak, jakby mu się naraz zwaliło na łeb pięć pozwów alimentacyjnych, wyrok za kazirodztwo i pluton komorników z nakazem zajęcia szafy z telewizorem.

(fragm. powieści pt. „Wiatraki")

Rys. Janusz Szymański-Glanc

JACEK SAWASZKIEWICZ

Agonia w błysku stu słońc

38 kilometrów od punktu „0".

Tu, w motelowej łazience ten nikły, konający przyśpiew syren alarmowych w ogóle nie był słyszalny, zagłuszał go szmer wody. Lucy obróciła się przodem do natrysku i na miseczkach dłoni uniosła swoje piersi — nadal jędrne, chociaż od dwudziestu lat czerpali z nich pociechę liczni mężczyźni, na co pozwalała mi szczodrze i ochoczo, od kiedy głupiutko, ale skwapliwie i z przyjemnością pozbyła się cnoty w szesnastym roku życia.

Każdą porą skóry chłonęła zimno spływających po niej strumyczków wody i spłukiwała z siebie pot i kurz drogi przebytej Chargerem: szybkim sportowym kabrioletem, żeby podkreślić swoją przynależność do świata i żeby każdy widział, że prowadzi go kobieta niezależna i z temperamentem. Kobieta atrakcyjna, całkiem seksowna i stosunkowo młoda. Trzydziestoletnia — bo na więcej nie wygląda.

„Pa, pa, Ronnie. Zostań zdrów ze swoją Connie".

Po prostu pożegnalny liścik o błahej, żartobliwej treści i bez podpisu. Radykalne cięcie przez krępujące ją pęta i nowy rozdział w jej życiu. Nowy salon mody, nowa koncepcja reklamy, nowe podejście do klienta, nowy personel, nowe zamki i nowe systemy alarmowe i ta dzisiejsza wyprawa po nowego przyjaciela. Właśnie, wyprawa. Dlaczego zaraz urządzać wyprawę? Wprawdzie w tym motelu zatrzymała się na krótko, tylko po to, by wziąć odświeżającą kąpiel i trochę odsapnąć, zanim rozpocznie łowy, ale zapłaciła za dobę z góry, więc może by warto spędzić tę dobę tutaj w całości? Jaki jest sens jechać w nieznane, kiedy nieomylne oznaki świadczą, że przyległe pokoje i sąsiednie domki pełne są mężczyzn szukających przygody? I ten bar obok recepcji wygląda na obiecującą stajnię ogierów.

Kciukami musnęła koniuszki piersi i wtedy pod prysznic wdarła się jasność — przez uchylone drzwi do łazienki i przez plastykową zasłonę w seledynowe rekiny. Trupiosine światło przeszyło powietrze na przestrzał, a potem buchnęło nabierając barwy jaskrawożółtej. Strumyczki wody tryskające z sitka zamigotały jak sznury drobnych brylantów i Lucy zmrużyła oczy. Z jedną ręką na piersiach, z drugą niedorzecznie zakrywającą czarne, welniste włosy między udami, postawiła krok do tyłu, jakby w obawie, że wraz z tymi światłami wedrze się tutaj sfora kamerzystów, by ujawnić telewidzom jej bezwstyd.

26 kilometrów od punktu „0".

— Ogłaszam alarm atomowy — powiedział ponownie pułkownik Dowd.

Powiedział to do siebie, by w całym majestacie dramatycznej sytuacji oszacować wartość tych słów, kiedy jego wnuczek w punkcie dowodzenia prawdopodobnie wybierał już numer telefonu Normana — zgodnie z wydanym mu rozkazem. Z rozkazem chyba zbędnym. Bo jakich to informacji może udzielić kapitan McLorren nie mając konkretnych danych? Wiadomo, że wybuchom jądrowym towarzyszą przepięcia; przy uderzeniu o mocy stu kiloton sięgają one pięćdziesięciu tysięcy woltów w promieniu półtora kilometra i chociaż ich wielkość szybko maleje w miarę wzrostu odległości od punktu „0", to wystarczy jak coś takiego gruchnie w pobliżu bazy wojskowej, żeby zakłócić pracę komputerów sterujących wyrzutniami. A przecież rakiety tamtych cechuje duża celność i oni nie będą się z nami bawić w kosi, kosi łapci, tylko od razu wyślą nam swoje megatony, więc jeśli bodaj jedna sztuka przeniknie naszą zaporę, otworzy na początek co najmniej parę furtek do samych czeluści piekieł, otworzy je przed nimi na oścież i w ciągu trzech godzin zapanuje na świecie demokracja, do psiej nędzy.

— W ciągu trzech godzin! — zapewnił białą drewnianą dzwonnicę kościoła na horyzoncie.

— W ciągu trzech godzin... sir? — spytał ze schronu mały Eddie.

Trzymając słuchawkę przy uchu, z regulaminowym opanowaniem czekał, aż zgłosi się wujek Norman, co mogło długo potrwać, zawsze długo trwa, nim wujek Norman podejdzie do telefonu, a już szczególnie długo, kiedy wyją syreny, bo on w tym czasie siedzi na werandzie i patrzy w kierunku miasta, „żeby zobaczyć, czy łyśnie, czy nie łyśnie", i nie rusza się stamtąd, dopóki syreny nie przestaną wyć. Może więc lepiej, jak przestaną. Ale wtedy dziadek, o jeny, mógłby odwołać ten alarm atomowy, strasznie emocjonujący.

— W ciągu trzech godzin — potwierdził pułkownik Dowd. — W najgorszym razie aż tyle.

Eddie zadarł głowę i podniósł na niego wzrok pełen rozterki. Ze słuchawką przyciśniętą do ucha siedział na niskim, składanym taborecie, podczas gdy dziadek stał na nasypie, plecami do ich domu, sapiąc i rozmyślając, z pustą szklaneczką w dłoni. Ich dom tam w tyle, bliżej dziadek w bluzie munduru zroszonej kroplami whisky, u jego stóp łagodnie opadający wykop, nad nim sferyczny błękit pogodnego nieba — wszystko to, ujęte w prostokątne ramy stalowej ościeżnicy, wypełniało główne wyjście ze schronu i raptem wszystko to znikło, cały ten obraz. Jakby pod wpływem zwarcia w aparacie projekcyjnym eksplodowała lampa i od tej eksplozji taśma filmowa pękła, a jej oba końce zwinęły się w przeciwne strony i tylko rażący blask, który bił od rozsadzonej wewnętrznym ciśnieniem lampy, jaśniał jeszcze na pustym prostokącie ekranu.

Blask ten padł na betonowe ściany, strop, posadzkę, wypłukał z półmroku każdy element, podkreślając jego kontury z agresywną ostrością, wniknął w każde zagłębienie, w każdą szparę, odsłonił każdą nierówność. Słuchawka zaskrzeczała piskliwie, ze zgrozą i umilkła po nagłej agonii. Wypuściwszy ją z ręki Eddie zakrył oczy i skulił się na taborecie. Podobnie skulony, cztery przecznice od tego schronu, siedział na huśtawce pod zadaszeniem werandy Norman McLorren, kapitan wojsk lądowych. Wsłuchiwał się w wycie Patience, zainstalowanej dwa kilometry stąd na dachu sądu federalnego swojej ulubionej syreny, której aksamitny alt niespodziewanie zaczął opadać, zanim zdołał wspiąć się na tony najwyższe.

Łysnęło — mógłby pomyśleć, gdyby zdążył — łysnęło, do jasnej cholery, łysnęło, jak mi Bóg miły.

Jeszcze nie wiedział, czy jest to powód do radości, czy rozpaczy.

17 kilometrów od punktu „0".

No, omal nie rąbnął się kolanami w brodę kiedy na szorstkim ręczniku rozłożonym nad basenem, podparty na wyprostowanych rękach jednym wyuczonym, energicznym ruchem wsunął pod siebie zgięte nogi, żeby z pozycji leżącej przejść do przysiadu, a następnie — do pełnego wyprostu. Omal się nie rąbnął (co niezawodnie spotkałoby wymoczka Coppermana, gdyby to on był na jego miejscu), na szczęście jednak w porę poderwał głowę.

Równie dobrze wyuczonym, energicznym ruchem Adam rozluźnił mięśnie barkowe i wygiął ramiona do tyłu, jakby strząsał z siebie jedwabny płaszcz z napisem „Mistrz Świata" na plecach. Zbliżając się do schodów prowadzących na szczyt wieży zauważył, że Linda Tossey przystaje obok stolika zajętego przez te dwie nieznajome dziewczyny w jednakowych kostiumach i w słomkowych kapeluszach, coś do nich mówi, a one odpowadają jej ze śmiechem. No — pomyślał kładąc dłoń na rozgrzanej barierce i wstępując na pierwszy stopień — zdaje się, że wychowanica szkółki niedzielnej przezwyciężyła wewnętrzne opory i nawiązuje znajomość z ekskluzywnym burdelem. Jeżeli ona kiedykolwiek miała jakieś opory. Bo w szkółce niedzielnej raczej nie uczono jej noszenia mgielnych bikini, wypinania piersi i rozchylania nóg pod pozorem, że się wystawia ciało na słońce. Ale teraz ty się pilnuj, dziewczyno. Ten okularnik, wymoczek siedzący na leżaku pod parasolem oderwał wzrok od książki, od swoich małych przyjaciół paragrafów i wlepił go w ciebie, jakby wreszcie odebrał sygnały, które każdym ułamkiem kwadratowego centymetra wysyła twój kąpielowy kostium. Pilnuj się, żeby on nie zobaczył, ile dziur jest w płocie odgradzającym posesję szkółki niedzielnej od terenów należących do Towarzystwa Kalifornijskich Burdeli Ekskluzywnych. Pilnuj się, bo jak on zobaczy wszystkie te dziury, jak je sobie policzy, to dla ciebie też może być koniec, koniec twoich ambitnych planów matrymonialnych.

Na szczycie wieży Adam podciągnął slipy i przewentylował płuca gęstym nieruchomym powietrzem. Górował nad tymi ludźmi pocącymi się w skwarze dokoła basenu. Kilku z nich już go spostrzegło i zwróciło ku niemu ciekawe twarze, ocieniwszy je rękoma: pani Klein, jej finansowy doradca Hal Hennesy, obie córki Cyrusa Folsoma, Bass ze swoją nową dziewczyną Ezrą, starsi, szacowni i wdzięczni losowi za nagromadzone bogactwo państwo Jarvis... Adam znowu rozluźnił mięśnie, po czym napiął je, opierając się pokusie sprawdzenia, czy Linda także patrzy na niego, na młodego mężczyznę o wysportowanej sylwetce i wspaniałej muskulaturze, dzisiaj mistrza okręgu, a w przeszłości członka drużyny olimpijskiej. A co, może nie?

Na usztywnionych nogach podszedł do krawędzi wieży, gdzie stanął wyprostowany w blasku słońca i zamknął oczy, by skoncentrować się przed skokiem. Dobiegły go głosy amatorów kąpieli, którzy dziesięć metrów poniżej odpływali na boki z wesołym zgiełkiem, robiąc mu miejsce w basenie, ostrzegając się wzajemnie i kierując na niego spojrzenia. Zgiełk ten z wolna ucichł i Adam poczuł, że ściąga na siebie uwagę wszystkich obecnych, staje się postacią centralną wśród tych ludzi tutaj i zaczyna nad nimi panować. Znał to uczucie z poprzednich imprez sportowych, w których brał udział, ogarniające go w kulminacyjnych momentach zawodów.

Powtórzył w pamięci kolejne fazy skoku, izolując się od świata i pozwalając, by inne myśli oddaliły się od niego i pierzchły. Zachowywał tylko obraz Lindy, bo to dla niej miał wykonać swój popisowy numer; obraz jej włosów rozsypanych na ramionach, leniwego uśmiechu, wypiętych piersi i rozchylonych nóg, które przedziela pasek materiału.. Jakieś dziwne właściwości ma ten kostium bikini, wytwarza własną grawitację, jest bladoniebieski i połyskuje w słońcu jak powierzchnia wody w basenie, aż człowiek ma ochotę rzucić się głową naprzód w te wabiące go otchłanie.

W ciszy modulowanej słabym i przytłumionym wyciem syren, metr po metrze spadał Adam w dół, wykonując poszczególne ewolucje prawie mechanicznie. I w ostatniej sekundzie, kiedy po kończącym skok skręcie wyciągnął się na całą długość, zapragnął śmierci. No bo jaki sens ma dalsze życie, skoro wszystko diabli wzięli? Harvard, Linde, jej bladoniebieski kostium, obłapki w samochodzie za miastem, coraz mocniejsze, coraz bardziej zdyszane i wilgotne... wszystko. Ona stąd wyjeżdża nieodwołalnie zaraz po wakacjach, żeby zostać panią Wymoczkową Copperman i zmieniać pieluchy małym Paragrafom, więc co ją obchodzi reszta? Co ją obchodzi jakiś tam facet, z którym się ściskała przez dwa lata i omal nie poszła z nim do łóżka? Popisywał się przed nią, skakał dla niej z wieży jak małpa, był zabawny. A byłoby jeszcze zabawniej, gdyby teraz chlupnął na dno basenu i więcej nie wypłynął — co daj Boże, amen.

Oślepiająca łuna rozlała się gwałtownie w jego czaszce i Adam zanim zniknął pod wodą, pomyślał, że to posłuszny jego woli system nerwowy w porywie samodestrukcji przepalił za jednym zamachem wszystkie bezpieczniki na tablicy rozdzielczej mózgu.

11 kilometrów od punktu „0".

Ta trzpiotowata Sarah Jefferson — a to dopiero! Ma męża przystojnego, że dech zapiera. Ukrywa go przed kobietami, ale trudno mieć jej to za złe. Chyba my wszystkie z Sacri-fer jesteśmy o swoich mężów zazdrosne, zwłaszcza teraz, kiedy nie możemy poświęcić im tyle uwagi co dawniej. Biedny Quent!

Z torebką pod pachą Rebby Courgan weszła do schronu i rozbrzmiewająca w nim wrzawa odcięła ją od hałasu ulicy i tego alarmu tam na zewnątrz. Ścienne ideogramy wskazały jej drogę do kafeterii, gdzie gwar przelewał się z jednego końca sali w drugi, od szafy grającej do telewizora, w który nikt nie patrzył. Sympatyczny młody człowiek ustąpił jej miejsca przy barze i razem ze swoją szklaneczką odsunął się w bok, żeby mogła wygodnie usiąść na stołku. Dziękując uśmiechem Rebby posłała mu spojrzenie promienne i ciepłe, cieplejsze niż tego chce konwenans. Ale tym wszystkim ludziom coś się należy za ich życzliwość i serdeczność, jakiś znak, że się docenia okazywaną nam troskę.

— Życie ma swoje prawa — przemówił ten młody człowiek i Rebby spostrzegła, że jego stan daleki jest od trzeźwości. — Na świecie szaleje przemoc, wojna wisi na włosku, a my się rozmnażamy.

— No, ten alarm to zwykłe...

— Tak, ten alarm. Moja żona też jest... To znaczy leży w szpitalu i jeszcze dzisiaj zostanę ojcem. Może nawet w tej chwili doktor Volser wymierza klapsa mojemu dziecku. I co za dźwięk Chris II... nazwiemy je Chris II, czy będzie to chłopiec, czy dziewczynka.., i co za dźwięk usłyszy jako pierwszy?

Rebby zastanowiła się, o co temu mężczyźnie chodzi. Nieważne. I dosyć już tych wyrażających wdzięczność uśmiechów i raczej nie ma powodów, żeby przedłużać tę rozmowę.

— Dziękuję za to miejsce. Teraz, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, zamówię sobie coś do picia.

— Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu. Tylko powiem pani, co Chris II usłyszy. Wycie syren. Na powitanie, na dobry początek przyszłego życia każdy dostaje w tyłek, żeby od razu porzucił wszelkie złudzenia i wiedział, jak będzie tu traktowany przez resztę swoich dni. Tu, na pokładzie tej tratwy szaleńców. Więc wycie syren jest stosownym ostrzeżeniem. A gdybym był doktorem Volserem, to zaglądając w tę rozwartą furtkę między światami, doradzałbym każdemu kandydatowi na noworodka, żeby się wczołgał z powrotem i z całych sił trzymał pępowiny, dopóki ci faceci, którzy rządzą tą planetą, nie otrzymają pomocy psychiatrycznej.

Rzeczywiście sympatyczny i życzliwy jest ten młody człowiek, ale po co mówi takie okropne rzeczy? Rebby postanowiła go ignorować i zająć się wyłącznie sobą. Sobą i Szkrabulkiem. Pan Tomashek... Och, Michael zachwalał serwowane tutaj koktajle owocowe. Wygląda na wybrednego smakosza i chyba można zawierzyć jego podniebieniu. Szkoda jednak, że nie wymienił jakiejś nazwy. Nie, to powinno być coś oryginalnego, coś, co wymyśli sama, żaden z tych napitków gotowych, sporządzonych według ustalonych receptur. Mus brzoskwiniowy, lód, plasterek cytryny i bita śmietana na wierzchu? Galaretka pomarańczowa w mrożonym soku z granatów, przykryta czapeczką kremu i posypana bakaliami? Rebby położyła dłoń na swoim kulistym brzuchu, by zasięgnąć opinii Szkrabulka, który buntowniczym kopnięciem wyraził... no właśnie, co on chciał wyrazić?

— Dla pani, proszę? — To był barman. Ściereczką przetarł przed nią gładki kontuar, w którym odbijały się wątłe światła żarówek oprawionych w kanałówki pod sufitem i wyczekująco spojrzał jej w oczy.

— Chciałabym napić się czegoś... czegoś...

— „Owocowa Galaktyka" — wtrącił młody człowiek. — „Owocowa Galaktyka" dla tej pani. Ja płacę.

— Och! — zanim Rebby zdążyła sprostować, barman przyjął zamówienie i odszedł. Zdetonowana i nad wyraz niezadowolona obróciła się z pretensją do tego mężczyzny. — Nie sądzi pan, że to gminne? — stanowczo za daleko posuwa się on w swoich opiekuńczych zapędach, zbyt już natarczywych.

— „Owocowa Galaktyka"? Z pewnością jest gminna. Ale ma mnóstwo składników odżywczych i witamin. W sam raz dla ciężarnych kobiet, żeby rodziły duże, zdrowe i silne dzieci. Z dużych, zdrowych i silnych dzieci wyrosną duzi, zdrowi i silni żołnierze i trzeba będzie na nich więcej tych cennych bomb atomowych.

Rebby rozejrzała się za innym wolnym miejscem. I wtedy gładki kontuar, lustro za barem, butelki na półkach, ludzie i w ogóle całe wnętrze zapłonęło ostrym, diamentowym blaskiem, przemieniło się w fantasmagoryczną komnatę bajkowego zamku. Wydając cichy okrzyk strachu i mrużąc powieki Rebby odwróciła twarz, ale ten blask jaśniał wszędzie; przez szeroko otwarte drzwi na obu końcach korytarza bił z ulicy i rozlewał się po kafeterii, po załomach schronu. Żarówki zgasły w kanałówkach, szafa grająca, zabeczała głosem murzyńskiej wokalistki, której sopran poprzez trzy i jedną dziesiątą oktawy oraz szerokość obu rejestrów wkrótce opadnie do basu i uciehnie, jednocześnie nad telewizorem blade, anemiczne płomienie ognia zakwitły w siwej mgiełce dymu, a głośnik aparatu zacharczał kanconą przepalanych tranzystorów.

Dokładnie w tym samym czasie Michael Tomashek stracił wzrok prowadząc swojego Pontiaca, który po środkowym pasie pustoszejącej jezdni poruszał się z prędkością niedozwoloną. Jeszcze przez dwie sekundy oślepły pan Tomashek trzymał nogę na gazie, potem cofnął ją, ale nakryty falą rozpłomienionego powietrza nie zdążył już wcisnąć hamulca.

5 kilometrów od punktu „0".

Cat ruszył w głąb hali, by zagonić Gary'ego do roboty, a William Frankley włożył biały laboratoryjny fartuch i podszedł do pulpitu rozrządu. Ten biały fartuch, ten pulpit i ta cisza wokół — przypominało to tamtą sytuację sprzed tygodnia, kiedy ubrany w szpitalny kitel stał razem z pielęgniarką w separatce i patrzył na aparaturę reanimacyjną czuwającą przy łóżku, na którym leżała martwa Olie, wciąż jeszcze zaintubowana. Zaintubowana... Cat powiedział to o „Couggiem". „Tkwi zaintubowany w tunelu". Dziwnym językiem posługują się technicy.

— Cat — rzucił Frankley w stronę, gdzie toczyła się nieskładna rozmowa obu jego współpracowników.

— Tak, Billy-Frank?

— Sprawdziłeś dysze?

— Ja to zrobiłem — odezwał się z półmroku Gary. Mówił powoli, z czułą, narkotyczną intonacją. — Przedmuchałem je lepiej niż kiedykolwiek swoją dziewczynę. I wiesz, co ci powiem, Billy-Frank? Przy takiej prędkości przepływu strumienia nawet kamień będzie szybować, więc pomyślałem sobie, żeby zamiast „Couggiego" wpakować do tunelu własny tyłek, rozpostrzeć ramiona i przerodzić się w Ognistego Ptaka.

Frankley nie chciał tego słuchać.

— Cat — warknął.

— Tak?

— Który to już dzisiaj?

— Co który, Billy-Frank? — Cat wyszedł zza bocznej ściany tunelu i zbliżył się do pulpitu.

— Skręt — wyjaśnił Frankley, po czym spytał: — W jakim on jest stanie?

I nie dając Catowi czasu na odpowiedź poszedł to sprawdzić osobiście. Nie miał nic przeciwko Gary'emu, w pewnym stopniu nawet go lubił, piekielnie dużo miał jednak przeciwko jego przechwałkom, w których miłosny podbój poganiał miłosny podbój, erotyczna zdobycz poganiała erotyczną zdobycz, a łóżkowy sukces poganiał łóżkowy sukces — choć w rzeczywistości żadna dziewczyna nie wytrzymała z Garym dłużej niż do drugiej randki. Kłopoty seksualne — pomyślał Frankley — ten chłopak może sobie mieć i to jego sprawa, w jaki sposób z nimi walczy, nawet jeśli sięga po narkotyki, ale nie pozwolę, żeby z tego powodu ucierpiały badania.

Gary siedział w półmroku na ziemi, pod boczną ścianą tunelu i oszczędnie zaciągał się skrętem. Prawą rękę opierał o kolano zgiętej nogi, a rudawy, żarzący się punkcik oświetlał jego stuloną dłoń i część twarzy, uwydatniając poprzez grę cieni wypukłości policzków i kształt łuków brwiowych. Olie lubiła odpoczywać w takiej pozie; siadywała wtedy na swoim szezlongu meridienne i paliła cienkie papierosy o długich filtrach z węglem aktywowanym.

— Dasz radę wstać o własnych siłach? — zapytał Frankley.

— Dam radę fruwać — odparł Gary. — Chcesz macha?

— Wolałbym, żebyś to zgasił. Weź się w garść i idź do komory. Otwórz główny zawór.

— Dooobra, dooobra — Gary dźwignął się z posadzki jak podniesiona za sznurki marionetka i z wypalonym do połowy skrętem podryfował w kierunku metalowych drzwi, za którymi w równych rzędach stały stłoczone butle ze sprężonym powietrzem. — „Te syreny nawołują nas do bardziej wytężonej pracy", tak? Tak powiedział komandor Shepard? A wiesz, co ja ci powiem, Billy-Frank? Że te syreny to są chóry anielskie Królestwa Niebieskiego. I szczam na to, co powiedział komandor Shepard.

Frankley poczekał, aż Gary zniknie w komorze i wrócił do pulpitu rozrządu. Sprawdził temperaturę w podgrzewaczu i włączył monitory kontrolne. Aerodynamiczna sylwetka „Couggiego" widniała na nich w różnych ujęciach.

— Goootoweee! — ryknął Gary zza metalowych drzwi komory. — Puma pręży się do skoku między krzaki kosmicznej sawanny.

— Jest — potwierdził Cat schylony nad aparaturą pomiarową. — Ciśnienie na wejściu: dziewięćdziesiąt... sto dziesięć... sto trzydzieści... sto czterdzieści... sto pięćdziesiąt. Stabilne. Możemy zaczynać.

Zaczynać... co? — pomyślał Frankley. — Ciśnienie sto pięćdziesiąt niczego nie zaczyna. Ono wszystko kończy. Takie ciśnienie, ciśnienie rozkurczowe, miała Olie.

„Wiesz, ile mam? — spytała miesiąc temu. — Doktor Oughterso powiedział, że dwieście na sto pięćdziesiąt. Czy coś koło tego".

„Tylko tyle?".

„Hmmm?".

„Powiedział ci tylko tyle? A nie powiedział ci, że...".

„Och, wiem, co masz na myśli — Olie usadowiła się na swoim szezlongu. — Powinnam bezwzględnie przestać pić i palić, hmmm? Ale tak się składa, kochanie, że akurat mam straszną ochotę na jedno i drugie. To znaczy na papierosa i szklaneczkę szkockiej. Przygotujesz mi coś do picia, Bill, kochanie? Jestem skonana".

Nie mógł trzymać jej w rygorze, karcić i napominać, częste perswazje też nie skutkowały, więc nalał jej tego drinka — tak jak zawsze to robił i tak jak robiłby to do dzisiaj, gdyby... Owszem, powinna była rzucić palenie, ograniczyć picie, ale przede wszystkim powinna była wycofać się z pracy zawodowej. Na dłuższą metę niepodobna przecież żyć w ciągłym napięciu, stale dręczyć się obawami i zamartwiać, czy projekt kreacji koktajlowej „Gwiazda Wezyra" znajdzie uznanie w oczach wyrafinowanych snobów od Braci Donner, albo czy linia sukien wieczorowych zaproponowana Darryl i Darryl na ten sezon jest przy całej swojej awangardowej śmiałości dostatecznie nobilwa, albo też, czy szkice ubiorów wypoczynkowych wysłane na konkurs, któremu patronuje redakcja „House and Garden", zdobędą Główną Nagrodę.

— Możemy zaczynać — powtórzył Cat z lekkim naciskiem.

Ale Frankley nadal tonął we wspomnieniach. Znów nawiedziła go kabalistyczna refleksja — „wkrótce się spotkamy, kochanie".

— Coś nie w porządku, Billy-Frank?

— Co? Ach, nie. Zaczynajmy.

I jakby wypowiedział zaklęcie — całą halę na poziomie trzecim pod hangarem F spowiły ciemności. Zgasły wszystkie światła i w tym samym ułamku sekundy z pulpitu rozrządu wytrysnęły z trzaskiem żagwie iskier.

(Fragment powieści)

■

Psychoterapia

JACEK MACIASZEK

Labirynty szpitali, labirynty biur i urzędów, labirynty szkół, magiczne sześciany, molochy. Błądziłem jakiś czas, aż znalazłem się przy właściwych drzwiach. Białe drzwi z napisem DOKTOR Z. Trzymałem w ręku moje tajne akta, mojej chorej sprawy, rozpoznania i diagnozy. Koperta była zalakowana i mogłem sobie tylko wyobrazić nazwę schorzenia, a wszystko kończyło się na — izm, lub na — ja (ia). Stałem przed gabinetem i patrzyłem na ściany, czytałem napisy PSYCHOTERAPIA WSTĘP WZBRONIONY PALENIE WZBRONIONE PROSIMY NIE ROZMAWIAĆ, dając dowód na to, że wariatem nie jestem, a potem kiedy przyszła moja kolej, zapukałem i wszedłem. Do białej sali. Biel uspokaja. Podałem zalakowaną kopertę, tak jakbym podawał list polecający, a potem zacząłem. — Mam problem — trochę zmieszany, coraz bardziej rozprężałem się i mówiłem jak bardzo nie mogę siebie odnaleźć, o lękach i kompleksach, bo mam, co tu ukrywać (mówiłem), kompleksy, jesteś chodzącym kompleksem, powiedział ktoś kiedyś o mnie. Anna? Może Marlena? Nie pamiętam. — Czy pan dużo pije? — spytał doktor Z. i zaczął temperować ołówek. — Tak, piję — odpowiedziałem zgodnie z prawdą bo piję, chlam, chleję, upijam się permanentnie i metodycznie. Upijam się w sztok, a gdzie mnie zmoże, tam legnę — czasem na schodach, przed drzwiami, na ławce, nie czekając na wiosnę i ciepło.

— Co robić? — doktor patrzył na mnie, a właściwie patrzyły oczy — sowy. — Co robić? — odpowiedziałem, zapytałem, nie wiem co robić, w końcu przyszedłem do niego po odpowiedź, a jemu za to płacą żeby mi powiedział co robić, co należy robić i jak. — A co pan chciałby robić. Kim chciałby pan być? Zamknąłem oczy i zacząłem liczyć do dziesięciu — 1, 2, 3, 4, 5... Kiedy byłem mały, chciałem zostać milicjantem.: Mój brat marzył o zawodzie marynarza. Jego marzenia chyba się już nie spełnią — został budowlańcem. Ja jeszcze mam szansę.

— Ja, panie doktorze mam dość tej walki, tej rywalizacji, potrzebuję spokoju, lecz nie chcę wyjeżdżać na wieś, już nie chcę zabiegać o prestiż, o pieniądze, o kobiety, w ten sposób zaludniając armię neurasteników, ciągle układy i wciąż nowe układy, układanki i ten strach: co jutro?...

— No i... Chciałem, a właściwie chciałbym — kontynuowałem — się wyłączyć z tej gry, mieć stałe źródło utrzymania np. rentę i żyć skromnie i spokojnie, rozumie pan?, jak emeryt. Wie pan, rano, ale nie za wcześnie, kiedy już hordy dotrą do fabryki, budzę się. Śniadanie w barze mlecznym. Spacer, partia warcabów ze znajomym rencistą, później kino — film w kinie NON STOP, bo jak pan zapewne wie: „Klient płaci zryczałtowaną opłatę i może pozostać w kinie jak długo zechce". Ławeczka w parku — moja ławeczka, gołębie, dla których zawsze mam trochę okruszków. Kolacja — ekspresowa herbata i chleb z serem topionym. Czasem spotykam kogoś z tamtego świata — sfrustrowanego wojownika — i uśmiecham się uprzejmie. Pomagam mu dźwigać tarczę i wracam do parku.

Mój psychoterapeuta był zdruzgotany, a jego oczy, oczy sowy były zmęczone. — Życie rentiera panu imponuje. A przecież pan jest młody, życie przed panem. A zresztą jak to pan sobie wyobraża? Przecież ma pan żonę, dziecko... — No właśnie — zamyśliłem się. Milczeliśmy przez około dwie minuty. Za oknem tramwaje wiozły ludzi, płakały dzieci, a słońce świeciło tak mocno, jakby chciało spalić wszystko... Doktor wziął ołówek i zaczął wypisywać receptę. — To na uspokojenie, to na zasypianie, gdyby były jakieś kłopoty i... proszę wpaść do mnie za jakiś czas. — Czy nie uzależnię się — spytałem z przestrachem. — Nie ma obawy...

Odwiedzałem mojego lekarza jeszcze kilkakrotnie. Nasze rozmowy zawsze kończyły się na tym, że roztaczałem przed nim nęcącą wizję życia emeryta, a on miał coraz mniej argumentów... Ostatnim razem mówił coś o organizacjach społecznych. O walorach psychoterapeutycznych wiary, kościoła, świetlic i klubów karate. Zauważyłem, że był coraz bardziej rozdrażniony. Jakoś przestałem bywać w poradni. Tak jak dawniej piłem (chlałem itd.), udało mi się zrobić kilka dobrych interesów, poznałem pewną piękną kobietę, która miała zostać moją kochanką, a co najważniejsze przyszła wiosna. To wszystko tak mnie uskrzydliło, że poczułem się zdrowy, a przynajmniej podleczony. „Wstęp do psychoanalizy" i „Neurotyczną osobowość naszych czasów" wyniosłem do antykwariatu i poszedłem na piwo. Kiedyś przechodząc obok poradni zapragnąłem zobaczyć mojego psychotera... Zdziwiłem się bardzo, bo na drzwiach gabinetu, białych drzwiach (bo biel ciągle uspokaja) wisiała inna wizytówka. W recepcji jakieś dziewczę piłowało paznokcie. Wyjąłem paczkę carmenów i poczęstowałem ją. Oto czego się dowiedziałem: z doktorem Z. stało się coś dziwnego, coś o czym do dziś cały ZOZ mówi, komentuje... Doktor porzucił swoje stanowisko pracy i związaną z nim karierę naukową. Porzucił żonę i dwoje dzieci. Wygodne mieszkanie i czerwone auto. Podobno prowadzi życie emeryta. Widują go czasem w barze „SMAKOSZ", gdzie się stołuje. Jego ulubione danie — pierogi leniwe a 35 zł. Kupił psa i nowe warcaby. Podobno jest szczęśliwy. Spotkałem go kiedyś potem w parku. Patrzył na chmury, jakby potrafił przepowiedzieć pogodę. Uśmiechnął się do mnie, ale chyba mnie nie poznał. Wtedy poczułem się naprawdę wyleczony.

Wasz sąsiad z dołu

ZBIGNIEW BATKO

Od jak dawna tu jestem? Nie wiem. Nie liczę godzin, dni, tygodni. Czas przestał dla mnie istnieć. Nie mam nawet zegarka. Może zresztą jest gdzieś, ale nie chce mi się go szukać. Po co? Nigdzie mi się nie śpieszy, nikt na mnie nie czeka i ja nie czekam na nikogo. Szare światło, czy raczej półmrok wypełniający mój mały pokoik, ma zawsze jednakowe natężenie, nie odróżniam więc nocy od dnia i wcale mi na tym nie zależy. Nie sypiam, ale też stan, w jakim trwam od — powiedzmy — niepamiętnych czasów, trudno nazwać jawą. Najczęściej leżę na wznak z otwartymi oczami i patrzę w sufit. Chwilami wydaje mi się, że strop mnie przygniata a czasem jest tak odległy, że nie mogę go dostrzec i leżę jak na dnie studni. Nie robi to na mnie wrażenia. Jestem spokojny.

Jedzenie, seks, rozrywki? — Dziękuję, już jadłem, nie jestem głodny. Ambicje, pragnienia? Kiedyś na pewno były, pamiętam. Pamiętam, ale nie rozpamiętuję. Samotność. O co tyle szumu? Wolę tak trwać w letargu, bezpieczny w szarym kokonie światła-nieświatła, niezależny, doskonale obojętny. Czy taka wegetacja nie przygnębia? Bynajmniej. Przygnębienie to uczucie negatywne — ja takich nie doświadczam. Co prawda nie mogę też powiedzieć, że jestem szczęśliwy. Może apatia byłaby tu właściwym słowem, apatia pozbawiona jednak zwykłej domieszki melancholii.

Obcuję wyłącznie z teraźniejszością, a ta nie jest groźna. Zanim zdąży okrzepnąć, obumiera, paruje, znika. Ciągle się odradza, ale też ciągle jest zbyt słaba, by poważnie zaatakować. I ja jej nie ruszam. Szanujemy się.

Czasem myślę, że być może to wszystko wygląda zupełnie inaczej. Może cierpię, tęsknię, lękam się czegoś, na coś czekam. Może jem, śpię, czytam, piszę, spotykam się z jakimiś ludźmi. Rzecz w tym, że natychmiast o wszystkim zapominam. Jestem pozbawiony pamięci — nazwałbym ją — bieżącej. Tak.

O czym to ja.. Mniejsza z tym. Na górze coś się poruszyło. Słychać jakieś szelesty, stukoty, odgłosy krzątaniny. Jest to coś tak tutaj niezwykłego, że dosłownie zamieram. Nagle przypominam sobie: już to raz słyszałem, przed rokiem może, o ile to słowo ma dla mnie jakiś sens i wymiar. Po raz drugi wkrada się do mojej samotni niepokój: najwyraźniej chce się zadomowić. Czekam z nadzieją, że hałas ustanie i jak zwykle o wszystkim zapomnę. Na próżno. Już wiem, że będę musiał wyjść i zobaczyć co się tam na górze dzieje. Nie mogę tego tak zostawić. Z drugiej strony — myślę — cóż w tym niepokojącego? Mieszkają tam jacyś ludzie, moi sąsiedzi, to naturalne, że ich słyszę. Dziwne nawet, że tak rzadko dają znać o sobie.

Uspokajam się. Postanawiam nie ruszać się z legowiska — i nagle ze zdziwieniem stwierdzam, że stoję przed wyjściowymi drzwiami. Naciskam zaśniedziałą klamkę, drzwi ani drgną. Napieram ramieniem, całym ciężarem ciała — nic. Ciągnę za klamkę do siebie i drzwi ustępują z przenikliwym jękiem zardzewiałych zawiasów. Brutalnie przebudzone zmysły protestują. Zatykam uszy, mrużę oczy, podkurczam palce bosych stóp. Mam oto po raz pierwszy opuścić mój azyl, naruszyć niezmienny dotąd porządek rzeczy. To ryzykowne. Ale ten kiełkujący niepokój, to coś czego nie można zignorować. Należy pójść, ustalić co się tam dzieje i wrócić do siebie już bez dokuczliwego brzemienia tajemnicy.

Spodziewałem się, że będą tam jakieś schody. O ile są, to nie widać ich spod rumowiska wznoszącego się stromo niemal od samego progu. I prowadzą donikąd: kończą się pod stropem. Mimo to lezę pod górę — coś tam być musi. Z góry pełznie mi na spotkanie jakiś robak. Pierwsze żywe stworzenie od bardzo, bardzo dawna. Dokąd ci tak śpieszno, mój robaczku? Podnoszę i opuszczam kamień — to rozwiązuje wszystkie jego problemy. Znowu jestem sam nie licząc tych tam na górze. Idę do nich.

Odgłosy słychać coraz wyraźniej. W sklepieniu jest szczelina, przez którą sączy się światło. Przykładam do niej oko, ale na razie nic nie widzę: oko łzawi odwykłe od ostrego światła i przeciągów.

Dopiero po chwili dostrzegam tuż przed sobą pryzmę ubitej ziemi, wokół której krząta się z dziecinną łopatką i grabkami kobieta w czerni. Płoną jakieś lampki. Na drugim końcu dziwnego kopca stoją kwiaty w słoiku po kompocie, a jeszcze dalej, w głębi, bieleje jakby zawieszona w powietrzu tabliczka, na której czarnymi literami wypisano jakieś imię i nazwisko. Zaraz, zaraz...

De gustibus non est disputandum

czyli dwa opowiadania w jednym

Pierwszy raz zupełnie uczciwie obeszły się ze mną robaki, które nie brnęły w uzasadnienia — nie tłumaczyły mi swojego postępowania. Ponieważ miałem czas na medytację, wytłumaczyłem je sobie, jako troskę o moje ciało, które niestety utraciło świeżość.

A w tej chwili od kilkuset lat zastanawiam się nad tym, że azot krąży w przyrodzie.

Co jest niewątpliwe.

Kiedy wrzeszczałem, aż drżał cały dom, bo nie mogłem znieść swoich narodzin, moi rodzice zastanawiali się, gdzie tkwi niezrozumiała mądrość tego świata. Matka nazywała mnie „małym szczęściem", czego nie mogłem ścierpieć, ale jej przynosiło to mnóstwo radości.

Ze swoim przyjściem na świat długo nie mogłem się pogodzić i, dopóki nie nauczyłem się mówić, oznajmiałem to nieustającym krzykiem.

Jednak już w okresie niemowlęctwa pogodziłem się z losem, na który i tak nie mogłem wpłynąć.

W okresie przedszkolnym manifestowałem swoje niezadowolenie w sposób milczący, nie mniej jednak złośliwy: robiłem szkody podczas wizyt u znajomych, w domu prowadziłem uporczywy strajk głodowy.

Abym mógł odnajdować szczęście w rozumieniu rzeczywistości, wysłano mnie do szkoły, chociaż nie chciałem niczego wiedzieć, a już najmniej zgłębiać przyczyn ogólnego nieporozumienia.

Począwszy od szkoły podstawowej zaczęto mi wszczepiać maniakalny optymizm i umiejętność konstruktywnego spekulowania. Tego zaś, skąd się wziąłem w sposób szczegółowy i wyczerpujący nigdy mi nie wytłumaczono. Zaczynałem nie rozumieć. Coraz bardziej, coraz bardziej.

Kiedy wszedłem w wiek poborowy, wypożyczono mnie do wojska, chociaż nie na tyle interesowałem się innymi, aby zabijać ludzi. Właśnie wtedy, za pomocą doskonale inscenizowanych podchodów i manewrów, próbowano mnie podżegać. Przekonywano mnie o niższości innych powołanych do życia nie przez siebie i że właśnie może się dobrze złożyć, gdyż będę mógł znaleźć satysfakcję w pozytywnych metodach emocjonalnego wyżycia i pożytecznego sadyzmu, oraz, o ironio, mogę zyskać bohaterską po śmierci nieśmiertelność.

Kiedy nie okazywałem radości, będąc zwolnionym do rezerwy, przetłumaczono mi, że powinienem być zadowolony, gdyż ćwiczono mnie ze względu na mnie i to dla mojego dobra, abym w pełni mógł się stać mężczyzną.

Potem, dla mojego dobra, zajmowano się mną w dalszym ciągu. Przekonywano mnie, że szczęście polega na wyrzeczeniach. Traf chciał, że urodziłem się w takiej epoce, że prawdziwą radość można było czerpać z posiadania tylko jednej kobiety. Kiedy pojawił się kryzys gospodarczy, mówiono, że pieniądz niweczy szczęście. Wtedy właśnie, troskliwie, aczkolwiek przymusowo, ubezpieczono wszystkich od wszystkiego. Traf chciał, że nie nadarzyła się okoliczność, abym mógł otrzymać odszkodowanie i nie wiadomo, czy cieszyć się z tego, czy raczej ubolewać. Do chwili, kiedy przeszedłem na emeryturę kradziono mi ustawicznie wartość dodatkową, proponując pozytywne rozumienie tego procederu. Kiedy cierpiałem, pisarze stworzyli koncepcję szczęścia opartego na cierpieniu, teologowie zaś głosili ascezę. W międzyczasie, wdając się w ogólny wir życia, zapomniałem się kilkakrotnie, czym sprowadziłem na świat kilkoro potomstwa.

I to by było na tyle.

Aha — kiedy złożyło się, że umarłem, sprawiono mi pogrzeb, którego obserwacja przyniosła mi sporo refleksji, a przede wszystkim: rzekomo ze względu na mnie zmarzło na mrozie kilku znajomych, klnąc w duchu i trapiąc się, że ich także to może spotkać, dzięki czemu mnie współczuli a martwili się o siebie. Tutaj muszę zwrócić uwagę na zupełnie autentyczne łzy moich dzieci i szkoda, że ja nie mogłem już zapłakać, bo zrozumiałyby, że byłem dobrym ojcem.

KRZYSZTOF SKUDZIŃSKI

Moi rodzice z małego miasteczka postanowili być pochowanymi w dużym mieście. W małym miasteczku leżeć niewygodnie i nieprzyjemnie. Czystością charakterów wzbudzali zbyt wiele niechętnych uczuć wśród ludzi i myśl, że ci właśnie ludzie byliby przechodniami obok miejsca ich spoczynku, nie była miłą. Fakt, że ja od lat ponad dwudziestu mieszkam w dużym mieście i że podróż do nich raz w roku po śmierci mogłaby być dla mnie fatygą, przesądzał sprawę.

Kiedy więc ukazywali się w drzwiach mojego domu, trzymając w rękach teczki z prowiantem, wiedziałem, że główną rzeczą, która ich do mnie ciągnie (nie byłem najlepszym synem) był grób. Oczywiście chciałem im wyperswadować ponure zajęcie szukania miejsca spoczynku, jednakże praktyczność była dominującą motywacją ich czynów.

Tutaj muszę powiedzieć dwa słowa o sobie. Jestem absolwentem akademii sztuk pięknych i, gdyby udało mi się żyć ze sztuki, nie bałbym się wobec innych nazywać artystą. Słowem nie idzie mi najlepiej, gdzieżby tu jednak myśleć o grobie. Wyobrażenie grobu, jak również jego pojęcie, było czymś, czego nie lubiłem, wobec tego unikałem rozmów z rodzicami na temat motoru ich działania.

Pewnego dnia jednak dałem wyciągnąć się na cmentarz, ponieważ chodziło o poradę. Trudno było o miejsce (bez adnotacji w dowodzie o stałym zameldowaniu). A więc, aby zamiar wprowadzić w życie, należało w jakiś sposób obejść trudne przepisy, bądź to za pomocą wybiegu, bądź to za pomocą łapówki. Tymczasem okazja, która się nastręczyła, była prosta: ktoś chciał zrezygnować z wykończonego już grobu i transakcja handlowa byłaby pewną możliwością, aby wkraść się tutaj. Grób wyglądał nieźle. Znajdował się na małym wzniesieniu, co wykluczało ewentualność wilgoci, dół obmurowany był solidnie, płyta robiła dobre wrażenie. Jednak cena była dość wygórowana:

— Czy jednak ktoś nie chce nas naciągnąć?

— Czy grób ten, aczkolwiek przyjemny, wart jest tyle?

— Gdybyż tak można wiedzieć, kto go sprzedaje...

Znać sprzedawcę wydało mi się słuszne. Dzisiaj nie wystarczy już obejrzeć kota w worku, trzeba wiedzieć, kto za nim stoi.

Kierowniczka cmentarza nie była chętna do spotkania sprzedającego z kupującym. Postanowiłem dowiedzieć się samodzielnie o adres zbywającego, aby uniknąć ewentualnego naciągnięcia przez pośrednika sprzedaży. Jakież było moje zdumienie, gdy właścicielem grobu okazał się dawny znajomy, absolwent wydziału filozofii na tutejszym uniwersytecie. Kiedy byłem z nim bliżej przed piętnastu laty, był szokującym indywidualistą w poszukiwaniu oryginalnej filozofii. Skąd tu grób? Pomyślałem: choroba jakaś lub, być może, owoc zbyt dosłownego myślenia o sprawach ponadczasowych?

W rozmowach z rodzicami pojawiło się czysto formalne zagadnienie: dlaczego właściciel rezygnuje z grobu? I czy fakt rezygnacji nie jest tu wskazówką, aby nie nabywać?

Wtedy właśnie urodził mi się synek i rodzice, bawiąc wnuczka, zapomnieli o śmierci. Kiedy przypadkowo spotkałem absolwenta filozofii, nawiązałem rozmowę o grobie.

— Dlaczego go zbudowałeś? — zapytałem.

— Ten grób jest owocem nazbyt wielu filozofii razem.

— Dlaczego się go pozbywasz?

Absolwent filozofii machnął ręką.

— Teraz mam już jedną...

Historia ta służy mi do dzisiaj jako dowód przewagi jedności nad wielością, ale być może jest w niej jeszcze kilka innych dowodów.

Judasz

MAREK CZUKU

Przechadzałem się po ulicy. Bez celu. Nie miałem zegarka, ale była chyba pierwsza w nocy. Zaspany radiowóz przeoczył zataczającego się faceta. Był z tych co to nie mają wieku. Policaje! — krzyknął tonem przypominającym zgrzyt skręcającego tramwaju. Radiowóz zignorował wroga klasowego i majestatycznie potoczył się w ciemność. Facet, nie rezygnując z próby nawiązania kontaktu interpersonalnego, zwrócił uwagę na jedyną żywą istotę w okolicy. To znaczy na mnie. Spotkanie było nieuniknione, toteż nie próbowałem przejść na drugą stronę ulicy. Twarz faceta przybliżyła się do mojej, podczas gdy reszta ciała wykonywała ruchy przypominające chorobę świętego Wita albo figury kung-fu. Poczułem zapach konserwowych ogórków, mirindy, vistuli i czegoś tam jeszcze. Policaje — to było przeznaczone tylko dla mnie — i biją — dodał filozoficznie. Nie wiedząc co odpowiedzieć na tak jednoznaczne stanowisko mojego interlokutora, bąknąłem pod nosem — pan to trochę... tego... zmęczony. Mogę odprowadzić pana na postój taksówek — zaofiarowałem się. Facet właśnie zmieniał ustawienie nóg i widocznie zajęcie to nie pozwoliło mu docenić mojej dobrej woli. Nie ma już Pana — wygarnął. Mnie? — zapytałem nic nie rozumiejąc. Nie pana, ale Pana naszego — próbował wyjaśnić. Coś mi zaczęło świtać w głowie. Usiłowałem uporządkować wiadomości zdobyte na lekcjach religii. To jasne — wtrąciłem niepewnie — Pan umarł na krzyżu za nasze grzechy. — Pan mnie nie zna — warknął nie na temat. Oczywiście, że nie. Nie przedstawił się pan jeszcze — rzuciłem zaczepnie. Pan mnie nie zna — powtórzył z naciskiem na „mnie". Ale oni mnie znają, te policaje, cholera, zgarnęli mnie wczoraj pod Pewexem — powiedział z łagodnością ekshibicjonisty: To pan jest waluciarzem? — zapytałem wykazując spostrzegawczość. To nie tak, panie — sprostował — mam tylko trzydzieści srebrników, a nikt ich nie kupuje. I na dodatek nie wiem po jakim kursie je sprzedawać. A może pan wie? — wyraził nadzieję. Nie wiem — odparłem krótko i oddaliłem się szybko w kierunku swojego domu. Facet przypominał bowiem stryja z Ameryki, który jeszcze nigdy nie przysłał mi dolara. Swołocz — pomyślałem — i to jeszcze srebrniki, srebrniki, cholera.

GOŁĘBIE SĄ BEZCZELNE

Operują w stadach. Operują, bo to, co robią, trudno nazwać beztroskim lataniem ku ozdobie bądź zamanifestowaniu niewymuszonej więzi miasta z przyrodą. Stadne operacje gołębi są najwyraźniej terrorystyczne i dwa cele mają na względzie: zdobycie pożywienia oraz obsranie możliwie największej powierzchni dachów, gzymsów, balkonów, wykuszy, rzeźb, attyk, portali, kolumn, krużganków, maszkaronów, żygulców. W ogóle całego inwentarza prezydenta Salwy i jego zacnych mieszczan.

Cel pierwszy realizowany jest nie tylko poprzez jałowe wyczekiwanie na staruszkę z okruszkami. Taką staruszkę, zanim zdąży wyjąć torebeczkę, już bestie obsiądą — na kapelusiku, na ramionach — i podniecone swym pierwszeństwem w walce o okruszek, naturalnie obsrywają staruszce starą kapotkę. Rytualne karmienie zamienia się w paniczną ucieczkę staruszki. Pojedyncze, bardziej wyćwiczone osobniki stosują naloty w stylu Hitchcocka — wystarczy, że dźwigasz w dłoni tzw. zapiekankę, czyli wczorajszą bułę z przedwczorajszymi pieczarkami i zeszłorocznym keczupem, a możesz mieć pewność, że któryś szaropióry bezczelnik zapikuje i spróbuje się z sobą podzielić turystycznym obiadem.

O obsrywaniu już nawet wspominać nie chcę — wystarczy popatrzeć na najszacowniejsze zabytki. W rozkładaniu kamienia, cegły i zaprawy, przezeraniu miedzianej blachy gołębie gówna skutecznie współzawodniczą z wyziewami Huty. To gołębie są odpowiedzialne za zawleczenie kąśliwego obrzeżka na mariacką hejnalicę, ergo: za wspólnictwo w pogryzieniu trębaczy. A już jakbym dorwał tego, który na Rynku Kleparskim w samo południe napaskudził mi na nową czapkę...

ZACZAROWANY KOŃ

Ostatnie dwa słowa z tego sławnego telegramu, który niegdyś otrzymał mistrz Konstanty Ildefons. Reszta się odczarowała — dryndziarz miał w dorożce ruchomą melinę i kantorek wymiany walut, poszedł więc na dłuższy urlop, a buda się rozeschła. Tylko koń został... Ostatnio ciągnął rolwagę z koksem przez skrzyżowanie ulic Rabina Meiselsa i Bożego Ciała. Taki już los...

Ale to niemożliwe skrzyżowanie Rabina Meiselsa z Bożym Ciałem może zdarzyć się tylko tutaj — na krakowskim Kazimierzu, wśród zaułków o architekturze ex Oriente, albo jakby żywcem z gett Wormacji czy Spiry. Mieszkańcy tego starego miasta wywędrowali stąd czterdzieści pięć lat temu — najpierw przez most na Wiśle do getta na podgórskich uliczkach, potem przez lager w Płaszowie, przez kominy w Brzezince — w swoją Himmelfarth, podróż do nieba, do Ziemi Obiecanej. Jak niewiele, prawie nic, po nich zostało...

W starej synagodze przy placu Bawół jest muzeum, a w nim te resztki — skarby: Tora w pokrowcu, stare druki, jakaś menora, chanukowe lampki, balsaminki, talerze do koszernych posiłków, jarmułka specjalnie na szabas. Tego milczącego zbioru pilnują dwie znudzone i zziębnięte dziewczyny — jasnowłose, niebieskookie i perkatonose, gdzieś z Bronowic czy spod Miechowa Ironia losu, jakby znak, że to wszystko wokół to już etnografia. Nie ma jednak tak, żeby po Yom Kippur nie przyszedł Rosz Ha-szana, nowy rok, więc nie płaczmy, dzieci Izraela, narodzie wybrany.

ŚNIEG MA ZBAWIENNY WPŁYW NA KRAKÓW

Dopóki go ludzie nie zadepczą, kominy nie zapylą na czarno — miasto jest czystsze. I jakby odrealnione; nawet liszaje odpadających tynków nie rażą, bo wyglądają jak wymyślone przez jakiegoś wielkiego scenografa. A co jest pod spodem, tylko domyślać się można. Chyba, że się wejdzie do takiego pałacyku Pugetów na przykład, gdzie sławny prezes Klimczak i jego Venus Ingerencji sił nadprzyrodzonych tylko możemy zawdzięczać, że się to wszystko jeszcze nie zawaliło, grzebiąc nie tylko „gole" fotogramy, ale i bezcenne zbiory starych klisz i ubiegłowiecznego sprzętu fotograficznego.

A jeżeli już, to przy okazji i jakąś wycieczkę licealistów z Kozichgłów albo innego zacnego grodu. Herod to był wielki król. Tak sobie wzdycham, obserwując igrce uliczno-muzealno-kawiarniano-hotelowe małolatów. Ale cóż — młodość na szczęście jest chorobą w pełni uleczalną, a z rozbisurmanionych gówniarzy pici obojga wyrastają pół na pół: stateczni mężowie i nieruchawe matrony albo sfrustrowani neurastenicy i pyskate anarchistki...

Na szczęście śnieg głuszy nieco unoszący się nad Krakowem ryk tysięcy zdrowych, młodych pysków przybyszów. Jest cicho i błogo, a golizna murów tak nie straszy — murów czekających w kolejce na nieruchliwą rewaloryzację.

Z wysokości wawelskiego wzgórza obramowana śnieżnymi bulwarami Wisła wygląda jeszcze czarniej niż zwykle. O tym, co właściwie w niej płynie, przypominam sobie każdego wieczoru, gdy wbrew uprzejmemu zakazowi dyrekcji mojego hotelu gotuję sobie grzałką „wodę" na herbatę. Oleista na brunatno zabarwiona ciecz mętnieje natychmiast po zetknięciu się z woreczkiem „chińskiej", jest słona i wydziela zapach tak specyficzny, że jego bukietu nie podejmuję się zanalizować i opisać przy pomocy dostępnych wyobraźni porównań. I oni muszą to pić całe życie... Mili krakowianie, zapraszam na prawdziwą herbatę, jeżeli ktoś z was zabłądzi przypadkiem do Łodzi.

DOTKNĄŁEM TRUPA

Trupa teatru... To brutalne, ale najprawdziwsze wrażenie ogarnęło mnie podczas spektaklu w Teatrze im. Juliusza Słowackiego Grał akurat „Małego biesa" Fiodora Sołoguba z aktorem genialnym, „idącym na mistrza" — Janem Fryczem w roli Ardaliona Pieriedonowa. Ale ja nie o tym... zresztą nie jestem recenzentem.

Ten trup — to nie był trup konkretnej sztuki, nie trup dramatu w ogóle, ani teatru, jako filozofii postrzegania świata, ani pewnej konwencji. To był trup teatru w sensie najzupełniej dosłownym — budynku ze sceną, widownią, galeriami lóż, foyer, szatniami, pompatyczną klatką schodową. Odrapany, podarty, brudny, śmierdzący; tylko kurtyna Siemiradzkiego tkwiła w tym wszystkim jak barwna firmowa nalepka.

Nie wiem, dlaczego tak mi to przeszkadzało. Przecież oglądałem już teatralne przedstawienia w stodole, na dworcu, w piwnicach, na ulicach, na brudnych stadionach, w strażackiej remizie w prywatnym zagraconym mieszkaniu. Ba, w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych w tym samym Krakowie, tylko w innym teatrze, w Starym, który był wtedy autentyczną ruderą, spędziłem wiele wieczorów, siedząc na jakichś skrzypiących strapontenach czy zgoła na podłodze. I nigdy dotąd żadne, nawet najprymitywniejsze warunki techniczne nie przeszkadzały mi w odbiorze dzieła. Może byłem mniej odporny na magię Sztuki? A może aż tak się zestarzałem?

Gdy w końcu opadająca kurtyna ścigała się z anemicznymi oklaskami, po prostu zwiałem pierwszy do szatni i za drzwi. Z uczuciem ulgi i jednocześnie zażenowania i czułem się jak okradziony — teatrze Słowackiego, oddaj mi moją wiarę w potęgę i iluzje Sceny!

Dwa dni potem przeczytałem w „Gazecie Krakowskiej" relację z sesji Rady Narodowej, podczas której uchwalono, że teatr wstawi się do kolejki obiektów czekających na rewaloryzację i może już na jego stulecie (w 1993 roku) remont zostanie ukończony. Chciałbym być — w formie zadośćuczynienia — na inaugurującej nową „setkę" premierze...

CI, KTÓRZY MNIE ZNAJĄ,

mogą powątpiewać w szczerość niniejszej deklaracji, ale to prawda. ja, niewierzący, „osobisty nieprzyjaciel Pana Boga", kocham kościół. Mówiąc ściślej: jeden jedyny taki kościół w Polsce, mianowicie świętą Katarzynę na krakowskim Kazimierzu — potężną gotycką nawę, surową i piękną, ze swą małą, jak przylepioną wieżyczką sygnaturki na wyniosłym dachu, płynącą nad podskalecznymi ogrodami i domkami.

Ale tym razem mogłem sobie popatrzeć na Katarzynę tylko z zewnątrz. Zaraz za drzwiami zatrzymała mnie kobieta myjąca

TOMASZ SAS

Zaczarowany koń

nieskazitelnie czystą posadzkę krużganku w poklasztornym wirydarzu, zamienionym na prowizoryczną kaplicę. W środku remont — i nie wiadomo kiedy się skończy. Wejścia nie ma.

Chcąc sobie powetować zawód, poszedłem na pobliską Skałkę — ale i tu potężna kłódka na kracie przed grobami zasłużonych. Tylko na dziedzińcu, jakiś chłopak, który wybiegł z sąsiedniej szkoły, celnie walił kulami ze świeżego śniegu w infułę i głowę statui świętego Stanisława pośrodku sadzawki. Czyżby zwolennik Bolesława Śmiałego i silnej władzy królewskiej? Ale zanim zdążyłem go spytać o ocenę zgładzonego biskupa krakowskiego, wyniesionego na ołtarze, nad którego posągiem chłopak tak się pastwił, zwiał przez dziurę w murze ku Wiśle.

„TEATR LUDOWY KUPI STRUSIE PIÓRA

Zgłoszenia przyjmuje Dział Techniczny, Kraków — Nowa Huta, osiedle Teatralne 23. K-9319". Takie ogłoszenie ukazało się w „Gazecie Krakowskiej" 19 listopada..

Ludowy i strusie — to już pawie pióra nie wystarczają? Oto znak czasu — symbolem ludowej rozrywki staje się gola girlaska z pękiem strusich piór w tyłku. Kraków, ten solenny, a jeśli już na luzie, to i na poziomie, Kraków też się poddał. Na ulice wypełzła tandeta, plastyk, szołbiznes i imitacje.

Cafe „Alvorada" na rogu Rynku i Szewskiej imituje, skutecznie zresztą, Wiedeń (dobra kawa, gorąca i smaczna czekolada, pyszne ciastka...). Pod „stacyą omnibusów" na Floriańskiej przy Rynku zaparkował żółty fiacik oblepiony plakatami „Błyskawicy" i tłumkiem trzydziestozłotowych hazardzistów. Między skarpami Szarej Kamienicy obrotne kupcowe posługujące się gwarą nowotarską wciskają publice po cztery pięćset swetry „góralskie" z wełny pół na pół z watą. Cygańskie duo (harmonia i skrzypce) w Sukiennicach różnie na zmianę szlagiery Lady Pank i Eleni.

Piękne dziewczyny przebiegają przez to miasto we wszystkich kierunkach z taką częstotliwością, że wystarczyłoby na kilka aglomeracji, ze stolicą włącznie: nie tylko studentki i „artystki" — kelnerki, dziewczyny z małych sklepików, „salowe" w muzeach. Ale i one wpadły w młyn tandetnego naśladownictwa —

Rys. Janusz Szymański-Glanc

co druga w płaskim kapeluszu i jakimś worku najdokładniej maskującym kształty; a w każdej szanującej się knajpie kelnerki przyobleczone w niby to stylowe habity do pięt. Na przekór temu chałaciarstwu błyszczą ładne buzie. Tylko.

No i jeszcze ten Denysenko.. Krakus podobno rodowity, ale już z Warszawy, pokazuje tu swoje „Panienki" — kolekcję fotografii „kalendarzowych" dziewczyn, rzekomych atrybutów silnego mężczyzny, obok szybkiego samochodu, zbioru płyt pop i świerszczykowej literatury. Kawałki gołych cycków w czerwononiebieskim sosie... Z pół godziny stałem przed galerią ZPAF na ulicy świętej Anny, obserwując, przez mocno oświetlone okna, jak o swoich „atrybutach" marzą tabuny kandydatów na atletów: szczupłe zgarbione okularniki, zakutane szalikami po dziurki w nosie. Za piętnaście złotych.

PRZED TANDETĄ MOŻNA UCIEC

tylko na Wawel, ale nie do biodrzastej, otoczonej wieńcem kaplic jak koszykami katedry świętego Wacława — na drugie piętro zamku, do królewskich komnat. Tam, jeśli potrafisz się odizolować od różnojęzycznych, mechaniczno-ochryple odbębnianych gadek przewodników, jeśli umiesz przystosować się do kroku żywowego w złachmanionych filcowych kapciach, do podejrzliwych i niechętnych spojrzeń strażniczek, jeśli nie masz ochoty przymierzyć tylko do królewskiego tronu ani wyszarpnąć nitki z arrasu — tam naprawdę odpoczniesz.

Ale ostrzegam — szanse masz niewielkie. Mnie wprawdzie udało się na pięć minut odskoczyć od bezceremonialnej trzódki poganianej w bezbłędnym dialekcie berlińskim, przez gadatliwego i głośnego guide'a, ale gdy zostałem sam w sali balowej, gdzie wisi mój ulubiony cykl arrasów o wynalazcy Noem, natychmiast zostałem poddany niemej inwigilacji przez dozorcę. A to barierkę przesunął niedostrzegalnym muśnięciem, a to kolumienkę podtrzymującą zasieki ze sznurka poprawił — ale cały czas czułem na karku jego czujny wzrok. Bo kto to widział, żeby przed jednym arrasem stać dziesięć minut, obejść salę parę razy dookoła — ani chybi wandal albo terrorysta.

Zwiewałem z Wawelu jak niepyszny i tak się skończyła próba ratowania się przed tandetą.

KRAKÓW MA JEDNĄ BEZCENNĄ ZALETĘ

— można tu bezpiecznie jeść. Od „Wierzynka" po przydworcowy bar „Smok' i pijalnię mleka na Grodzkiej. Bywałem na szczytach i pod dnem tutejszej gastronomii, więc wiem, co piszę.

U „Wierzynka" za drzwiami stoi portier w operetkowym mundurze, szatniarze mają czarne kamizelki w paski i muszki, a rozprowadzająca hostessa beżowy mundurek z płaskim „dropsem" i woalką na głowie oraz pelerynką nie wiadomo po co... W pijalni mleka krzątają się dwie panie w białawych fartuchach i robią wszystko: gotują mleko, kawę i kakao, kroją bułki na kanapki z serem, sprzątają. U „Wierzynka" każdy ma ściśle określoną funkcję, a personelu pewnie więcej niż gości...

Obyczaje u „Wierzynka" zapewne szokują gości spoza Kaiserlich und Königlich Galicji i Lodomerii. Na miłość boską, rodacy, nie dawajcie po sobie poznać, że peszy was, gdy na kelnera nie czeka się nawet sekundy, gdy wszystko to, co w karcie, może natychmiast zjawić się na stole o każdej porze dnia, gdy wódkę podają zmrożoną, piwo świeże, a wino dają do spróbowania, gdy kelner nie używa idiotycznych zdrobnień (w rodzaju: „pieczywko"...), tylko od razu pyta czy chleb ma być ciemny, czy pszenny (a może też być razowiec), gdy sam oberszef podejdzie do stolika, by zapytać, czy smakowało i osobiście poda wam ogień nawet do fajki (bo na różnicę między papierosem a fajką z góry jest przygotowany). A już na pewno nie dziwcie się, gdy za wszystko będziecie płacić... mniej niż gdzie indziej, co już zgoła graniczy z fantasmagorią, ale jest najrzetelniejszą prawdą. Taką, jak nieskazitelne są tam obrusy...

Doświadczeń „Wierzynka", jak sądzę, nie należy upowszechniać na siłę, przy pomocy szkoleń, pokazów i kursokonferencji ani zarządzeń. Bo nic i tak z tego nie wyjdzie. Jedynym nauczycielem w gastronomii jest interes i konkurencja. Konkurencji u nas nie ma, a interesy obywatele gastronomicy lokują w chrzczeniu wódy, dopisywaniu do rachunków, odejmowaniu od wagi i pichceniu byle jak z byle czego.

„Z ULICY WENECJA DO SUKIENNIC

prowadził mnie Artur i Ronard..." — tak się zaczyna allegro sostenuto z „Zaczarowanej dorożki" mistrza Ildefonsa. Przypadkiem wracałem tędy z wieczornego seansu w kinie „Kijów". Nad ulicą Retoryka świecił niesamowity księżyc. Zaraz, którędy oni mogli iść od tej Wenecji? Może Krupniczą do Szewskiej i Rynku. Albo Garncarską, Ziają, Gołębią i Wiślaną?

W każdym razie na ulicy Wenecja nie ma już baraku, w którym było sympatyczne, choć śmierdzące schronisko turystyczne, konkurujące jakością usług tylko z hospicjum Norbertanek na Salwatorze. Ile razy tędy chodziłem, ile razy tu nocowałem — nie pamiętam. A łóżko kosztowało dwa złote.. Po baraku ani śladu, po tamtych cenach jeszcze mniej.

Za to zaraz za rogiem Garncarskiej sklep „Para-medium. Od radiestezji do makrobiotyki" — głosi szyld. A w środku za ladą śliczna czarnowłosa dziewczyna i tłumek facetów z rozdygotanymi rączkami, grzebiących w stosach jarmarcznej literatury o parapsychologicznych niezwykłościach, w stosach piramidek i wahadełek, kupujących makrobiotyczną sól albo bób i ziemniaki wyhodowane na naturalnych gównach. To nowość..

Zresztą zmienił się nocny Kraków. Nie ma już szyldów z „Zaczarowanej dorożki" — gorsetów Kolumbia, kursów stenografii, wypychania ptaków. Są cepelie, butiki, hot-dogi, galerie, para-media, peweksy.

GŁĘBOKO POD PŁYTAMI RYNKU

w piwnicach kawiarni „Ratuszowej" ukryło się centrum krakowskiego libertynizmu i rozwiązłości uładzonej - Teatr „Maszkaron" Brunona Rajcy. Górą koło ratuszowej wieży przechodzi na minutę zapewne najwięcej sutann i habitów w Polsce, dołem — aktorki w kostiumach odsłaniających piersi, aktorzy z doczepionymi do portek płóciennymi imitacjami organów płciowych w stanie, hm — erekcji. I tekst „Dekamerona" — sześć scenek najodważniejszych z możliwych do przyjęcia w sklerykalizowanym Krakowie. I pani Izabella Lipka — niegdyś miss Juvenaliów. Uroda i poniekąd figura zostały jej do dziś prawie takie same. Gdybyż jeszcze dobra bozia obdarzyła ją talentem do śpiewania i w ogóle aktorstwa, to by dopiero było...

W ogóle Kraków jest miastem schizofrenicznym. Koegzystencja rzeczy niemożliwych gdzie indziej, tu pojawia się i to w postaci skondensowanej. Nie tylko seks współżyje z adoracją ducha świętego, bo to się udaje tu i ówdzie, nie tylko katolicy kłaniają się marksistom z wzajemnością, ale i niezłomni wrogowie polityczni z obu stron barykady (często wyimaginowanej...) nie przechodzą na swój widok na drugą stronę ulicy — ba, na wódkę razem chodzą. Może nad tym wszystkim unosi się jeszcze opiekuńczy, koncyliacyjny patronat dobrego cesarza Franciszka Józefa i nie całkiem jeszcze wyparowała atmosfera liberalnej tolerancji z karpacko-bałkańskiej monarchii „wiernych ludów"...

Przyznaję, że jestem zafascynowany pokrętnymi dziejami i dziedzictwem austro-węgierskiej cywilizacji. I może dlatego kocham Kraków nawet wtedy, gdy powoli homogenizuje się z resztą Polski.

„Dekameron" pod Ratuszową wieżą skończył się tuż przed północą. Te kilkadziesiąt osób publiczności, aktorzy i obsługa szybko wyszli z piwnic i gdzieś poznikali w przyrynkowych ulicach. Zostałem sam jeden na pustym, zaśnieżonym i jako tako oświetlonym Rynku.

MIEJSCE I PORA NIEZWYKŁE

Bije mariacki zegar. Zaraz hejnał — już gra... Pierwsza sekwencja trąbki leci gdzieś w stronę świętej Barbary i Małego Rynku, druga już wprost na mnie. Stoję i słucham. Z budki przy ulicy świętego Jana wychodzi milicjant. Też słucha, ale i patrzy na mnie. Dookoła wszystko srebrne — ściany, dachy, wielka płaszczyzna Rynku. milicjant też robi się srebrny. Księżyc znika, mróz z dziesięć stopni, śpiące gołębie trzepią się gdzieś za attykami Sukiennic, zaczyna prószyć śnieg i robi się jeszcze ciszej.

Nagle, wprost od Sławkowskiej czy Szczepańskiej — nie zauważyłem — idzie na mnie ostrym szpurtem jakiś facet i konspiracyjnie rzuca: — nie masz pan flaszki do odstąpienia? Nie mam, sam bym się teraz napił... A niech go szlag najjaśniejszy trafi!

Do hotelu pięć minut drogi przez Floriańską, Basztową, Pawią...

ze str. 1

chciałbym nikogo urazić, brakuje nam jednak kogoś takiego, jak na przykład Rozborski, który umiał pokierować grą. Mamy dobrą obronę, atak od biedy, ale pomocy brakuje.

— Przydałby się dobry transfer.

— To nie takie proste. Każda drużyna chce mieć u siebie dobrych zawodników. Trudno komuś zabrać.

— Uważa pan, że w Polsce jest dużo dobrych zawodników?

— Owszem, jest dużo. Rzecz tylko w tym, że nie każdy dobry zawodnik pasuje do każdej drużyny. Nie każdy na przykład pasowałby do „widzewskiego charakteru".

— A kto by pasował?

— Pasowałby nam Tarasiewicz. Chodzą nawet takie słuchy, że możliwe jest jego przejście do nas. Ale myślę, że zupełnie nierealne. Uzupełnienie jest konieczne, ale myślę, że nie będzie to łatwe.

— Dziś już nie ulega wątpliwości, że Dariusz Dziekanowski nie pasował do Widzewa.

— Zupełnie.

— Czy wpłynęło to na atmosferę w zespole?

— W Widzewie dobra atmosfera była, jest i będzie. Niedobrze się stało, że pewne sprawy roztrząsano publicznie.

— Jest pan zwolennikiem prania brudów we własnym gronie?

Chcę grać jak najlepiej

— Tak jest!

— To jak pan wytłumaczy fakt, że 1 października 1985 roku w katowickim „Sporcie" ukazał się pana list w sprawie Dariusza Dziekanowskiego?

— Po pierwszym wywiadzie, jakiego Dariusz Dziekanowski udzielił „Sportowcowi" nie odezwałem się. Pomyślałem sobie, że chłopak jest młody, może jeszcze zmądrzeje. Drugi wywiad udzielony temu samemu tygodnikowi uraził mnie osobiście. Jestem silnie związany z drużyną i klubem, i nie lubię, jak ktoś o Widzewie mówi źle. W końcu w klubie nie dzieje się tak źle jak to niektórzy mówią lub piszą. Jeśli komuś z zawodników coś się nie podoba, to mówi o tym głośno w klubie, jak bywało do tej pory, a nie sieje ferment. Gdyby to była inna drużyna, to Dariusz Dziekanowski nie grałby w niej już po pierwszym wywiadzie dla „Sportowca". Koledzy uparli się, że musi nam pomóc. Ale on wychodził na boisko z nami, a grał jakby inny, swój mecz.

— Pana list opublikowany w „Sporcie" wzbudził nieprzychylne panu komentarze w „Piłce Nożnej" i „Szpilkach". Niesmak wzbudził ten fragment listu, kiedy pan pisze, że w związku z niesportowym trybem życia Dariusza Dziekanowskiego nie mógł on długo jeździć swoim samochodem. Czyżby to był pierwszy i jedyny przypadek niesportowego życia w klubie?

— Czy jedyny? Rzecz nie w tym. Broniłem chłopaków, bo uważam, że było już tego wszystkiego za dużo. Wplątani zostali ludzie, którzy nic nie byli winni.

Otóż swego czasu Dariusz Dziekanowski powiedział publicznie i to zostało opublikowane, że jak kupił sobie nowy samochód, to musiał wyłożyć go folią, aby koledzy z klubu mu go nie pobrudzili, gdy ich wozi. I to oświadczenie jakoś nie wzbudziło żadnych komentarzy. Kiedy ja napisałem prawdę, niektórzy mają mi to za złe.

— Wspomniał pan też w liście, że dochodziło do rękoczynów.

— Nawet w małżeństwie dochodzi do kłótni. Tu bywało tak samo, tylko ostrzej. Dariusz Dziekanowski na boisku zachowywał się nie fair.

— Dlaczego swego listu nie wysłał pan do „Sportowca", jak to bywa w zwyczaju, ale do katowickiego „Sportu"?

— Bo „Sport" ma większy nakład.

— „Przegląd Sportowy" też ma duży nakład.

— Ale wychodzi w Warszawie.

— Czy to źle?

— Nie, ale mogliby z tego powodu nie wydrukować mego listu, w Katowicach sytuacja wyglądała zupełnie inaczej.

— Jak koledzy zareagowali na pański list?

— Najlepiej ich o to zapytać. Myślę, że byli zadowoleni, że ktoś się jednak odezwał, ujął za nimi.

— W reprezentacji gra pan razem z Dariuszem Dziekanowskim. Jak się pan zachowuje?

— Na boisku normalnie. Jest jedna drużyna, jeden cel i wszyscy muszą się temu podporządkować. Dariusz Dziekanowski umie grać w piłkę nożną. Ten chłopak ma duży talent. Potrafi, jeśli chce, dać z siebie wiele. Nie zawsze mu się jednak chce. Ale to zdarza się nie jemu jednemu.

— A poza boiskiem?

— Nie istnieje dla mnie, nie muszę przecież z nim rozmawiać.

— Gra pan w reprezentacji Polski. Czy zdaniem pana jest tu już ta drużyna, która zagra w Meksyku w mistrzostwach świata?

— Trener Antoni Piechniczek wybrał do meczu z Włochami tych zawodników, którzy byli najlepsi w Polsce. To nie znaczy, że to już jest drużyna w swoim najlepszym składzie. Parę poprawek jest koniecznych. Mecz z Włochami trener potraktował prestiżowo. To był jego jubileusz, a dla nas rewanż z mistrzami świata za mecz przegrany w Hiszpanii. Wygraliśmy i ten fakt został zapisany w historii piłki nożnej.

— Nie boi się pan ciężkich warunków klimatycznych w Meksyku?

— Nie. Graliśmy przecież w Hiszpanii, gdzie były wysokie temperatury i nic się nie stało. Jeśli człowiek jest dobrze przygotowany do sezonu, to może grać w różnych warunkach.

— Jak pan sądzi, jakie szanse ma polska drużyna na mistrzostwach świata?

— Czwarte, a może i trzecie miejsce!

— Jest pan optymistą.

— Zawsze byłem.

— Czy równie optymistycznie ocenia pan polską ligę?

— Dla mnie rewelacją jest Górnik Zabrze. Drużyna ta strzeliła najwięcej bramek. Zresztą w ogóle strzelono w minionym sezonie dużo bramek. Można wnosić, że podniósł się poziom ligi.

— Lepiej się teraz gra, czy trudniej?

— Najtrudniej gra się ze słabymi drużynami. Jak się drużyna broni przed spadkiem z ligi, to na boisku broni się 9 zawodnikami i trudniej im strzelić bramkę. Ale rzecz nie tylko w tym. Trenerzy tak ustawiają taktykę, żeby wyeliminować z gry najgroźniejszych zawodników u przeciwnika. Wtedy są niestety kontuzje. Sędziowie — szczególnie teraz, przed mistrzostwami świata w Meksyku — powinni zwracać na to uwagę i nie dopuszczać do takich polowań na najlepszych, bo to są kadrowicze i powinni zdrowo doczekać spotkań w Meksyku.

— Czy po mistrzostwach świata myśli pan o zmianie klubu na któryś z zagranicznych?

— Po mistrzostwach świata w Hiszpanii miałem taką propozycję, ale PZPN nie zgodził się.

— Można wiedzieć skąd?

— Z Włoch.

— Żałuje pan, że nie doszła do skutku?

— Żałuję i sądzę, że działacze PZPN też żałują. Wówczas można byłoby wziąć więcej pieniędzy, bo i na Zachodzie kryzys.

— Ile pan ma lat?

— Dwadzieścia osiem.

— Byłby już czas coś postanowić.

— To nie tylko ode mnie zależy. Co jakiś czas chodzą pogłoski o moim przejściu za granicę, ale ja o tym nic nie wiem.

— A gdyby istotnie takie propozycje padły, to skąd by pan najchętniej ich oczekiwał?

— Najbardziej odpowiadałyby mi propozycje z Włoch, Francji i Holandii.

— Nie zazdrości pan Zbigniewowi Bońkowi, że sobie zyskał takie uznanie we Włoszech?

— Nikomu nie zazdroszczę, bo wiem, ile potrzeba pracy włożyć w to, aby utrzymać się w dobrej formie w zagranicznej drużynie. Mogę tylko brać przykład z niego i innych zawodników, którzy grają w zagranicznych klubach.

— Sądzę, że pana odejście z Widzewa, tak czy inaczej, stanie się w przyszłości faktem. Kogo widzi pan na swoje miejsce w drużynie?

— Trudno mi o tym mówić. Nie ma ludzi niezastąpionych.

— Jest pan skromny.

— Zawsze taki byłem.

— Pomówmy trochę o pieniądzach. Przez pewien czas była na ten temat cisza, teraz znów zarobki piłkarzy stały się bulwersującym tematem. Mówi się, że piłkarze zarabiają miliony, a grają nadal słabo.

— Lepiej zarabiają zawodnicy tych drużyn, które są na czele tabeli i wygrywają mecze. To chyba naturalne. Widzew przegrał tylko dwa mecze i nie dostaliśmy za nie żadnych pieniędzy. Premie są tylko za wygrane i zremisowane mecze.

— Remis bywa nierówny remisowi. Można zremisować po ciężkiej walce i zremisować dlatego, że mecz potraktowało się ulgowo.

— Regulamin takich subtelności nie uwzględnia.

— A co uwzględnia?

— Na przykład taką sytuację, że po remisie, który zadecydował o awansie drużyny zarząd klubu może podjąć decyzję o wyższej premii dla zawodników.

— Czy zawodnicy są zadowoleni z systemu finansowania piłkarzy?

— Trudno dać jednoznaczną odpowiedź, gdyż nie wszędzie jest to jednakowy system. Na przykład u nas w Widzewie obowiązują stypendia, a na Śląsku etaty. Dyskutowaliśmy natomiast nad możliwością wprowadzenia dla piłkarzy konta W. Płacimy teraz — zgodnie z obowiązującymi zasadami finansowymi — podatek wyrównawczy. Im więcej zarobimy, tym wyższy jest podatek. Konto W byłoby lepsze. Trzeba przecież pamiętać, że my nie mamy wolnych sobót i w niedzielę jest dla nas normalny dzień pracy. Wielu zawodników zapomniało o wyuczonym zawodzie i po zakończeniu kariery będzie się musiało jakoś adaptować do innych warunków życia.

— Czy zadowolony pan jest z długoterminowych kontraktów?

— Regulamin powinien być twardy, tak jak u zawodowców. U nas ciągle nie jest to ani zawodowstwo, ani amatorstwo. Za zerwany kontrakt zawodnik powinien płacić karę. Sądzę, że jednak kontrakty powinny być zawierane na krótszy okres, na dwa — trzy lata i następnie — jeśli odpowiada to zawodnikowi i klubowi — odnawiane i przedłużane. Byłoby to z korzyścią dla stosunków w drużynie i klubie.

— Dziękuję za rozmowę i życzę panu takiego przygotowania do wiosennej rundy ligowej i do mistrzostw świata, żeby to był najbardziej udany dla pana sezon piłkarski. Co niewątpliwie ucieszy kibiców i zadowoli dziennikarzy.

— Dziękuję, postaram się!

Rozmawiała:
BOGDA MADEJ

Wiedeńska miłość w barszczu z uszkami

TERESA JERZYKOWSKA

1.

Najpierw były naczynia gliniane i drewniane, potem także metalowe. Na dworach władców używano zastawy srebrnej i złotej, uboższym wystarczyć musiały cynowe kubki. Naczynia stawały się coraz ładniejsze, rozwijała się też sztuka wytwarzania ceramiki. Starożytni Persowie i Babilończycy opanowali technologię produkcji fajansu, używanego niemal w niezmienionej formie do dzisiaj, wreszcie, w pierwszej połowie VII wieku w Chinach po raz pierwszy wypalono porcelanę.

Do Europy porcelana trafiła w XI wieku, wraz z rycerzami, powracającymi z wypraw krzyżowych. Od początku XVII wieku zaczęła być masowo importowana z Chin, jednocześnie wielu ówczesnych ceramików podejmowało próby odkrycia jej sekretu. Udało się to w niespełna sto lat później. Na przełomie XVII i XVIII wieku powstało wiele manufaktur, produkujących porcelanę we Francji. Choć już znacznie łatwiej dostępna — porcelanowa zastawa była nadal tak droga, że używać jej mogły jedynie najwyższe, najzamożniejsze warstwy ludności.

Obecnie, choć mamy do wyboru naczynia z najrozmaitszych tworzyw, odkryto porcelit — nadal uważamy zastawę porcelanową za najlepszą i najbardziej elegancką. Porcelana wytwarzana jest masowo, przez wielkie zakłady, łatwo dostępna i każdy, kto troszczy się o estetykę stołu może jadać równie ładnie, jak arystokrata sprzed kilku wieków.

Do polskich porcelanowych potentatów należą zakłady w Ćmielowie (najstarsza z produkujących dotychczas fabryk tej branży) i w Chodzieży — fabryka nieco młodsza, lecz obecnie nie ustępująca ćmielowskiej pod względem estetyki wyrobów, a przewyższająca ją wielkością produkcji.

2.

Na starych, przedwojennych zdjęciach widać równy kwadrat murów — to dawna fabryka porcelany. Dziś mieści się tu zakład nr 2 Chodzieskich Zakładów Porcelany i Porcelitu. Z zewnątrz wygląda niemal dokładnie tak samo, jednak w wyniku kolejnych remontów, przeróbek i modernizacji pozostały ze starej fabryki jedynie zewnętrzne ściany i... część wyposażenia. Ponadto, w porównaniu z okresem swej młodości, fabryka powiększyła się o dwa, położone w sąsiedztwie zakłady, rozszerzył się znacznie asortyment produkcji.

W 1852 r. powstała w Chodzieży manufaktura fajansowa. W kilkadziesiąt lat później nowy właściciel uruchomił również produkcję porcelany i właśnie od tego czasu, tj. dokładnie od 1877 r. liczy się historia fabryki porcelany w Chodzieży. Obecnie, obok zastawy stołowej, produkuje się tu również porcelanę laboratoryjną i techniczną oraz zastawę i galanterię porcelitową.

3.

Przejście przez zakład — to jakby lekcja historii produkcji ceramiki stołowej. Na kolejnych stanowiskach obejrzeć tu można wszystkie urządzenia, od najstarszych (a ściśle — prawie najstarszych, brak bowiem koła garncarskiego, które przed wiekami było pierwszym i jedynym urządzeniem ułatwiającym wyrób talerzy i garnuszków), gdzie wszystko zależy od kwalifikacji robotnika, aż po najnowsze automaty.

Jest więc stanowisko formowania ręcznego, na którym robotnik (a właściwie robotnica, bowiem ponad 70 proc. zakładu stanowią kobiety) musi ułożyć miękki, porcelanowy placek i — ręcznie dociskając specjalny szablon — nadać mu odpowiedni kształt. Tu formuje się wyroby największe — salaterki, półmiski, talerze o średnicy przekraczającej 28 cm.

Nieco nowsza historia — to półautomaty. Przy ich obsłudze także trzeba się jeszcze sporo napracować. I wreszcie automatyczne urządzenia, gdzie rola obsługującego sprowadza się do nadzoru nad bezawaryjną pracą maszyny.

Podobnie, pełny przegląd metod można obejrzeć przy następnym etapie produkcji — przy wypalaniu. Z początków wieku pochodzą piece węglowe wyposażone w osiem palenisk, gdzie jedynym wskaźnikiem temperatury wewnątrz jest pochylający się stożek.

Do którego paleniska i ile węgla podsypać, kiedy wygasić, po jakim czasie otworzyć piec i wyjąć wyroby — o tym wszystkim decyduje palacz. Od jego kwalifikacji i doświadczenia zależy w tym przypadku, czy z pieca wyciągnie się zgrabne, białe i błyszczące dzbanki i talerze, czy też pokaźną porcję szarego, popękanego i zdeformowanego złomu.

Znacznie łatwiejsza jest obsługa pieców tunelowych, wózkowych, wyposażonych w odpowiednie urządzenia kontrolujące temperaturę i wskaźniki, pozwalające bez otwierania pieca sprawdzić, co dzieje się wewnątrz. Cykl wypalania w piecach tunelowych trwa 24 godziny, a więc dosyć długo, obecnie jednak one właśnie są podstawowym rozwiązaniem technologicznym.

Najnowsze urządzenia, to gazowe, automatycznie regulowane piece do szybkościowego wypalania. Cykl trwa zaledwie 4 godziny. Wykorzystuje się je do produkcji filiżanek, małych dzbanuszków, drobnej galanterii. Wynika to przede wszystkim z rozmiarów pieców, ale także z faktu, że porcelana nie bardzo lubi, aby ją „poganiać" i przyspieszanie niektórych procesów powodować może zwiększenie ilości odpadów i wyrobów w niższym gatunku.

4.

Niektóre wyroby zdobi się całkowicie lub częściowo przed wypalaniem, inne — po, przy czym część z nich, dla uzyskania pożądanego efektu, musi być powtórnie wypalana.

Tak więc każdy porcelanowy talerzyk czy dzbanuszek, zanim trafi do magazynu wyrobów gotowych a stamtąd do handlu przechodzi przez co najmniej kilka maszyn i urządzeń oraz — w co trudno wprost uwierzyć — przez ponad 40 par rąk. Na każdym ze stanowisk pracy w jakimś stopniu rozstrzyga się, jaka będzie jakość gotowego wyrobu.

Uważa się — i słusznie — że o urodzie porcelanowych naczyń, a więc i o jakości decydują cienkie, niemal przezroczyste ścianki. Wyposażenie zakładu w Chodzieży i kwalifikacje załogi pozwalają na produkcję naczyń cienkich jak przysłowiowa bibułka, ale... Ich cena musiałaby być znacznie wyższa niż obecnie a czas użytkowania, ze zrozumiałych względów, skróciłby się znacznie. Trzeba więc było opracować w tym przypadku wskaźnik optymalny, ustalić grubość wyrobów tak, aby nie tracąc urody i lekkości jednocześnie nadawały się do celów, do jakich są przeznaczone czyli po prostu do serwowania potraw.

5.

W Chodzieży do najwyższej grupy kwalifikuje się 40 proc. wyrobów. Taki wskaźnik wysokiej jakości przyprawiłby o zawał każdego dyrektora zakładu odzieżowego czy obuwniczego, w tej dziedzinie produkcji jest to jednak wynik bardzo dobry.

To, co opuszcza zakład jako gatunek trzeci trafia do stołówek i innych zakładów żywienia zbiorowego, a bywa, że również — po bardzo niskich cenach — do handlu. Na takie okazje poluje wielu prywatnych rzemieślników. Wykupują oni białą (wyrobów w III gatunku nie zdobi się) porcelanę, następnie zdobią jak potrafią, przeważnie dosyć brzydko i sprzedają po bardzo wysokich cenach, przekraczających ceny renomowanych zakładów państwowych.

Na każdej filiżance czy talerzyku „upiększonym" przez rzemieślnika pozostaje wypalony w sposób trwały znak firmowy Chodzieży. Niejednokrotnie już zdarzało się, że trafiały do zakładu przesyłki z reklamacjami takich państwowo-prywatnych wyrobów i trzeba było udowadniać, że klient choć merytorycznie miał rację, skierował swoje pretensje pod niewłaściwy adres.

Wyroby II gatunku — zdobione skromniej od tych najlepszych — choć również ładne i nieco tańsze, trafiają na rynek krajowy, podobnie jak część wyrobów I gatunku. Pozostała ilość — około 10 proc. całej produkcji — przeznaczona jest na eksport.

6.

Historia zdobnictwa jest równie stara jak sama porcelana. Już pierwsze naczynia zadziwiały bowiem nie tylko swym kształtem, ale i bogactwem kolorów i wzorów. Pierwsze europejskie naczynia porcelanowe zdobione były na sposób chiński i japoński. Później pojawiły się sceny rodzajowe w typie J. A. Watteau, kwiaty, owady, ptaki, postacie historyczne, pejzaże.

W Polsce pierwsza manufaktura porcelany w Korcu czerpała wzory początkowo z Miśni, Sevres i Wiednia, następnie wypracowano własne motywy — kwiaty, widoki Wołynia, tła imitujące marmur oraz złote ornamenty.

Najstarsze i najbardziej znane fabryki w Europie, obok nowego, do dziś utrzymują tradycyjne, charakterystyczne dla siebie wzornictwo. Dawniej wszystkie obrazki i ornamenty na porcelanowych wyrobach wykonywane były ręcznie — stąd ich niesłychana pracochłonność, a wraz z nią i cena sprawiająca, że były dostępne jedynie najbogatszym. Dziś nikt już nie maluje kwiatów czy scenek rodzajowych na talerzach (zdobi się w ten sposób wyroby nieseryjne, o charakterze dzieł sztuki). Zastąpiono je kalkomanią. Mimo to nadal zdobnictwo jest sztuką dość trudną, wymagającą nie tylko kwalifikacji, ale i pewnych zdolności. Pracy ręcznej w tej dziedzinie nie dało się bowiem wyeliminować całkowicie.

Co podobało się nam w niezbyt odległych czasach i co najchętniej kupują krajowi i zagraniczni odbiorcy obecnie — obejrzeć można w dwóch salach, stanowiących mini-galerię. Ekspozycję rozpoczyna nie prolukowany już fajans: misy i dzbany, niegdyś stanowiące wyposażenie umywalni, obecnie chętnie kupowane na targach staroci jako przedmioty ozdobne, pięknie malowane pojemniki na przyprawy, kubeczki w kształcie pyzatej mordy.

Dalej — rozmaite fasony obiadowych, śniadaniowych, kawowych i w ogóle przeznaczonych na rozmiate codzienne i specjalne okazje kompletów porcelanowych produkowanych w kolejnych powojennych już latach.

Swego rodzaju łącznik między tradycją a współczesnością zakładu stanowi serwis, ozdobiony wizerunkiem wdzięcznie upozowanej pary w stylowych strojach — wzór o nazwie „Wiedeńska miłość". Serwisy takie były modne już przed wojną. Produkowano je w zakładach w Ćmielowie. Pó-

śniej okazało się, że „Wiedeńska miłość" jest nadal poszukiwana i wdzięczna parka wróciła do produkcji i na stoły. Część z nich produkowano w Chodzieży — ale ze znakiem firmowym Ćmielowa, bowiem zakłady pozostawały wówczas w kooperacyjnych związkach. Gdy spółka rozpadła się — a moda nie przeminęła — tak zdobione komplety wytwarzają oba zakłady.

7.

W najnowszej części ekspozycji zwraca uwagę bogato dekorowany, pełen zabków, złoceń, różyczek fason „Iwona" Produkowany już od kilku lat i ciągle — mimo wysokiej ceny — bardzo poszukiwany „Iwona" wytwarzana jest w pełnym zestawie, a więc zarówno serwis obiadowy, jak i garnitur do kawy, oprócz tego lichtarze, patery i inne elementy służące do ozdoby stołu Jej bogate, kwiatowe dekoracje, błyszczące złocenia, tak rzucają się w oczy, że dopiero po chwili zauważa się skromniejsze, o prostszych formach zestawy „Roman" i „Berni" oraz najnowszy, opracowany w zakładzie fason — subtelnie zdobioną, o wykwintnych kształtach „Klaudię".

Największym powodzeniem na naszym rynku cieszy się „Iwona". Podobne do naszych gusty mają odbiorcy z ZSRR i Anglii — wybierają przeważnie tradycyjne, kwiatowe wzory łączone ze złoceniami. Dużo złota lubią również Turcy. Wybierają przeważnie filiżanki i talerze, na których spod gęstych, bogatych wzorów niemal nie widać tła. Odbiorców skandynawskich natomiast interesują fasony bardzo proste, białe lub udekorowane jedynie cieniutką srebrną, czerwoną czy granatową linią, takie, które wielu klientów naszych sklepów uznałoby po prostu za brzydkie.

Różne są także wymagania co do ilości naczyń w komplecie. Podczas gdy w Polsce i niektórych innych krajach tradycyjnie sprzedaje się komplety sześcio- i dwunastoosobowe, odbiorca kanadyjski życzy sobie serwisów dla 8 osób, a skandynawski kupuje często zestawy 4-osobowe.

Wszystkie wzory naczyń, sprzedawanych w zestawach, produkowane są również oddzielnie. Podobnie — dodatkowe elementy, jak np. nie wchodzące w skład serwisu bulionówki, tak samo zdobiona galanteria. Praktycznie jednak odtworzenie stłuczonej sztuki jest niemożliwe, bowiem w jeden koniec Polski jedzie serwis, w drugi — talerze luzem, a w środku znajdują się świeczniki i patery.

8.

Na zakończenie parę słów o cenach. Co prawda porcelana nie jest już towarem dostępnym jedynie dla wybranych, mimo to jej cena sprawia, że mając już porcelanowy serwis obchodzimy się z nim bardzo ostrożnie.

Komplet obiadowy na 12 osób w najbardziej poszukiwanym fasonie „Iwona" kosztuje około 30 tys. zł. Dalsze 17 tys. wydać można na zdobiony tak samo garnitur do kawy. I jeszcze sporo pieniędzy na komplet platerowych sztućców z porcelanowymi trzonkami o tym samym wzorze — także produkowanymi w Chodzieży dla fabryki sztućców. W tym ostatnim przypadku nie wystarczą zresztą tylko pieniądze — trzeba mieć jeszcze dużo znajomości w handlu lub bezpośrednio w zakładzie bowiem tego rodzaju noże i łyżki nigdy nie pojawiają się na półkach sklepowych.

Serwis czy komplet talerzy dostać znacznie łatwiej — choć i w tym przypadku potrzeba trochę szczęścia lub cierpliwości do wędrówek po sklepach Pozornie bowiem zastawy stołowej jest nadmiar w części jest to jednak brzydactwo odpowiednie co najwyżej do codziennego użytku. Najładniejsze wyroby renomowanych zakładów — do których należy także Chodzież — na ogół sprzedawane są w dniu dostawy.

I trudno się dziwić, bowiem świąteczny barszcz z uszkami — nawet, jeśli przygotowała go nie najlepsza kucharka — smakuje znacznie lepiej, jeśli wiemy, że po zjedzeniu ostatniej łyżki ujrzymy na dnie talerza „Wiedeńską miłość".

Rys. Zenona Plonk

Ślubna suknia

EUGENIUSZ IWANICKI

Zapadł wczesny, grudniowy zmrok. Milionowe miasto jeszcze żyło swoim codziennym handlowym życiem ale było wiadomo, że już niedługo za godzinę, za dwie uspokoi się. Tylko od czasu do czasu wypłynie z zamieci widmowy kształt autobusu, by zniknąć w gęstej czerni przedświątecznej nocy.

Karol Czyżak, lat 34, właściciel taksówki odbył właśnie swój ostatni kurs i teraz wolno jechał aleją Mickiewicza Nie śpieszył się, choć w domu czekano nań z wieczerzą a dzieci coraz sprawdzały pod choinką czy święty Mikołaj nie położył już dla nich podarunków.

Skręcił w aleję Kościuszki i ruszył ku północnej części miasta. Czuł się świetnie nawet radośnie. Zatrzymały go czerwone światła na skrzyżowaniu. Niemal w tym samym momencie ktoś szarpnął prawe drzwi, gwałtownie je otworzył i do środka wraz z wirującymi płatami śniegu wcisnęła się młoda dziewczyna.

— Skończyłem na dzisiaj — powiedział Karol Czyżak. — Zjeżdżam do domu.

— Tak mi zależy na czasie...

— Kochana, ja od rana za kółkiem i do tego w taką pogodę! Jestem skonany. Widzi pani co się dzieje na świecie?

— No to, co ja mam robić?

— Jeszcze chodzą tramwaje i autobusy.

— Właśnie czekałam na autobus, ale nie przyszedł.

— Proszę wysiąść, zmienia się światło.

— Ja tak pana proszę, jutro mam ślub i właśnie wiozę suknię od krawcowej...

Taksówka powoli ruszyła. Karol Czyżak klął w duchu na siebie, na pogodę, na swój parszywy zawód, na kobiety, które akurat teraz muszą wychodzić za mąż.

— Ja pana bardzo przepraszam, ale naprawdę nie mam wyjścia. Zapłacę podwójnie...

— Niech pani przestanie bo mnie i bez tego krew zalewa. Każdy myśli, że taksówkarz nie musi spać, jeść, odpoczywać, że nie ma domu rodziny. Gdzie pani właściwie chce jechać?

— Na Tatrzańską.

— Co?

— Tam mieszka narzeczony. Moi rodzice już tam są i czekają aż przywiozę suknię.

— Ależ kobieto, dojeżdżamy do Bałut, a pani mi każe jechać aż na Widzew!

— O, Boże... — Dziewczyna zaczyna nagle chlipać. — O, Boże słodki, co teraz będzie!

Karol Czyżak zjeżdża do prawego krawężnika, a właściwie wjeżdża na chodnik, zatrzymuje się, choć nie wyłącza silnika. Dziewczyna siedzi pochylona, tuląc twarz w dłoniach.

— Już dobrze — mówi Karol Czyżak. — Dowiozę panią do autobusu linii „J". Za parę minut będzie pani na Tatrzańskiej.

Kobieta łkając i zanosząc się coś chce mu powiedzieć, czego Karol Czyżak w żaden sposób nie może pojąć.

„Wpadłem — myśli Karol Czyżak. — Jakaś histeryczka"

Wreszcie poprzez bełkot, przez te wszystkie „uuuu" „iiii", przez świst wciąganego powietrza, dochodzi do niego, że kobieta zgubiła ową suknię ślubną. Owszem, pamięta jak wsiadała do taksówki, ale nie wie, co się stało z pudełkiem, które przez cały czas trzymała przed sobą.

— Proszę sobie przypomnieć — mówi zrezygnowany Karol Czyżak. — Kiedy stała pani tam na przystanku, miała pani pudło?

— Nie wiem... — chlipie.

— A gdzie pani była zanim znalazła się na przystanku?

— Wpierw u krawcowej i ona mi wszystko zapakowała jak należy, potem u fryzjera potem pojechałam do „Centralu", potem na Piotrkowskiej wstąpiłam do jubilera...

— Z pudłem?

— No, chyba.

Karol Czyżak podejmuje decyzję.

— Gdzie mieszka krawcowa?

— Na Retkini.

— Coraz lepiej. Ale to będzie panią kosztować, niech mnie diabli wezmą. Na jakiej ulicy?

— Na Allende.

Karol Czyżak zaklął szpetnie i ruszył.

Wizyta u krawcowej niczego nie wyjaśniła: suknię zapakowała i pani Mariola — tak okazało się ma na imię pasażerka — zabrała ją jeszcze w południe. Teraz jest już siódma wieczorem i pani krawcowa wraz z rodziną spożywa kolację.

Potem pojechali do „Centralu", ale był już zamknięty. Sklep jubilerski także był zamknięty. Podobnie zakład fryzjerski. Noc na dobre panowała miasto sprowadzając nań ciszę, ciemność i bezruch.

Zatrzymali się na Zachodniej Karol Czyżak oparł się wygodniej na fotelu i przymknął oczy.

— Nie mogę tak do nich jechać — powiedziała dziewczyna. — Nie mogę się nikomu pokazać w takim stanie

— A wie pani, ile wybił licznik?

— Co mi liczniki! Tu chodzi o moją przyszłość!

— Mimo to powiem pani: 875,50. Co pani na to? Nie licząc nie zjedzonej przeze mnie kolacji, niedania dzieciom prezentów, a także niepokoju rodziny, czy mi się coś nie stało.

— A ja? — krzyknęła nagle dziewczyna. — O mnie pan pomyślał?

— Nie moja sprawa — powiedział zmęczonym głosem Karol Czyżak. — Odwiozę panią na tę Tatrzańską i koniec na dzisiaj.

— Tam nie, za nic. Proszę zawieźć mnie na Gnieźnieńską.

— Trzeba było tak od razu, a nie włóczyć się przez całą noc bez sensu.

Taksówka ruszyła.

— To ten budynek — odzywa się dziewczyna. — Tu mieszkam. — Zaczyna szukać pieniędzy w torebce. — Przykro mi, ale mam tylko sto złotych.

Nagle olśniewa ją pomysł:

— Wie pan co, skoro stracił pan i tak już sporo czasu, to przecież kolację może zjeść pan ze mną. Ja także dziś już nie zdążę na wieczerzę wigilijną u mojego narzeczonego. No, co zgoda? W domu zapłacę resztę za ten zwariowany kurs.

Karol Czyżak czuje głód i zmęczenie. Właściwie już nie czuje do dziewczyny wrogości ani żalu. Wypełnia go tępa rezygnacja.

W mieszkaniu, do którego wchodzi, jest ciepło, pachnie ciastem, grzybami i czymś ostrym, drażniącym, ale miłym.

— Proszę dalej.

Na dźwięk głosu uniósł głowę. W pełnym świetle ujrzał dziewczynę młodą, może nie piękność, ale o miłej twarzy, trochę tęgawą, czy raczej mocno zbudowaną, która zapraszającym gestem wskazywała mu wejście do pokoju.

— Zaraz coś przygotuję, — powiedziała z uśmiechem. — Wie pan, jak się szykuje do wesela, to jest to i owo. Kawa czy herbata?

— Wszystko jedno.

— Mieszkam z rodzicami, ale jak mówiłam, są u przyszłych teściów i czekają na mnie z suknią ślubną. Nie sądzi pan, że to istny pech? Jeśli się nie znajdzie, to koniec. Koniec ze wszystkim. Panna młoda, która gubi suknię ślubną, nie powinna iść przed ołtarz. Moja mama na ten temat ma całą teorię.

Mówiła i rozstawiała talerzyki, filiżanki rozkładała noże, widelce i łyżeczki. Pojawiły się śledzie, grzybki, ryby w galarecie, sałatki, ciasto.

— Trzeba koniecznie się rozgrzać — odezwała się, gdy już siedzieli. — To swojej roboty tata robi to z wiśni i jęczmienia. Za pańskie zdrowie!

Karol Czyżak nie zastanawiając się wypił. Miłe ciepło zalało pusty żołądek. Dopiero po chwili pojął, że to alkohol, że on, zawodowy kierowca popełnił błąd nie do naprawienia.

— Ale mnie pani urządziła — powiedział z rozpaczą.

— Przecież już pana przepraszałam, ale proszę postawić się w mojej sytuacji...

— Mówię o wódce. Jestem kierowcą, a piję...

— Och! — krzyknęła. — Zupełnie zapomniałam. Widzi pan, co znaczy dobre serce. Chciałam by się pan rozgrzał, nic więcej. Daleko ma pan do domu?

— Mieszkam na Helenówku.

Dziewczyna szczerze się zmartwiła.

— Co teraz?

— Pójdę na piechotę.

— Tak mi przykro.

Karol Czyżak nalał. Teraz już nie było sensu sobie żałować.

Jedzenie okazało się wyśmienite, nalewka jeszcze lepsza. Karol Czyżak w pewnej chwili stwierdził, że takiej nalewki to nigdy w życiu jeszcze nie pił, że tatuś tej dziewczyny, czarującej dziewczyny jest istnym geniuszem w dziedzinie przyrządzania alkoholi, a sama dziewczyna warta jest najpiękniejszego ślubu, jaki kiedykolwiek odbył się w tej milionowej metropolii.

— Za ślub i wesele!

— Bez sukni nie będzie ślubu, ale wypić możemy.

— Co znaczy nie będzie? — protestował Karol Czyżak — Z taką dziewczyną, to ja nawet i bez sukni...

— Michał nie zechce, jego starzy to straszna konserwa.

— Nie cierpię konserw.

— Mówię o starych.

— Nie cierpię starych Jak masz na imię?

— Mariola.

— Karol jestem i nie znoszę niczego. A ty, tak w ogóle, to jesteś fajna, wiesz? Pomyśl jeździłem z tobą tyle godzin, a dopiero teraz widzę, że masz szare oczy.

— Ty też masz szare.

— Ja to ja, a ty to ty.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, że każdemu z nas jest pisany inny los.

— Niby prawda.

— Nalej jeszcze.

Mariola jednak nie nalewa. Wstaje ze swojego miejsca, podchodzi do Karola i pochyliwszy się całuje go mocno i długo. Potem przydusza go ciężarem swojego ciała, wcale nie lekkiego, przechyla na oparcie fotela.

— Posłuchaj — mówi. — Nie mogę w ciągu jednej nocy stracić naraz wszystkiego.

Karol coś mruczy, choć wcale nie jest pijany, czuje tylko tak jakby wcale nie miał ciała. Jest mu dobrze, miło, radośnie. Pozwala się całować, nie protestuje, kiedy Mariola ściąga z niego koszulę... Już goły, nie zwracając uwagi na zrzucającą z siebie ubranie dziewczynę, uparcie chce sięgnąć do butelki. Zostaje ściągnięty na podłogę, na szorstki i kłujący dywan. Dziewczyna nie pozwala na odpoczynek, na przymknięcie powiek, bodaj na moment bezruchu.

— Tego, nauczył mnie Michał — mówi.

Karol śmieje się, rozpiera go beztroska, światła w pokoju to zlewają się w jedną ogromną kulę, to dzielą się na cztery pojedyncze, ściany wirują odpływają i wracają na swoje miejsce meble. Nie wie jak długo to trwa, bo czas przestał mieć jakiekolwiek znaczenie.

— Jeszcze tylko ten raz — prosi dziewczyna. — I spać.

Zasypia na dywanie, goła, podłożywszy piąstkę pod policzek.

Karol Czyżak pokonując słabość i zawroty głowy wlecze się do łazienki, długo trzyma głowę pod kranem, potem się ubiera i nie patrząc na śpiącą wychodzi na schody, zatrzaskując drzwi za sobą.

Na ulicy jest biało, mrok wycofuje się przed nadciągającym dniem. Jego fiat przypomina śnieżny pagórek. Ostrożnie otwiera drzwi wyjmuje szczotkę i zaczyna zgarniać biały puch z dachu, z maski silnika, z szyb. Potem wsiada i zapuszcza motor.

„Co to?" — dziwi się nagle widząc jakieś pudło wciśnięte między tylną kanapę a przedni fotel. „Co to może być?"

Nagle wszystko sobie przypomina: i tę okropną noc i jazdę po całym mieście, i mieszkanie, z którego wyszedł przed chwilą. Ostrożnie bierze pudło, wchodzi na trzecie piętro długo dzwoni do drzwi, za którymi śpi wycieńczona dziewczyna, w końcu stawia pudło na wycieraczce, z notesu wydziera kartkę i pisze długopisem „Marioli — od świętego Mikołaja".

Horoskop komputerowy na rok 1986

Horoskop niniejszy nie jest dziełem podejrzanej wróżki, chiromanty ani innego astrologa. Uzyskaliśmy go przy użyciu specjalnego urządzenia własnoręcznie skonstruowanego. Nie będziemy zdradzać tajemnic, ale do produkcji naszego komputera użyliśmy między innymi klawiatury maszyny do pisania marki „marica", zregenerowanego kineskopu telewizora „neptun" i gaźnika malucha. Wynik jest rewelacyjny, sprawdźcie sami.

Uwaga! Korzystając z naszego horoskopu należy wyzwolić się z przesądów, związanych z datą urodzenia. Znak zodiaku wybieramy sobie sami, według indywidualnych upodobań!

HOROSKOP OGÓLNY

Rok 1986 będzie rokiem ogólnie pomyślnym. Wydaje się wysoce prawdopodobne, że będzie się składał z czterech pór roku następujących po sobie kolejno. Uwaga wszyscy zatrudnieni w gospodarce uspołecznionej! Pobory będą wypłacane co miesiąc, co daje wynik — 12 pensji w ciągu roku nie licząc trzynastki! Dobry rok! Tym niemniej koszty utrzymania wzrosną o kilka procent więcej niż płace realne! Oszczędzaj w PKO! Latem większość populacji wyjedzie na wakacje. Niesłusznie! Góry są zaśmiecone, Bałtyk brudny, na Mazurach też nie lepiej. Zachęcamy do spędzenia urlopu w domu... Pij wodę tylko przegotowaną!

Dobry rok dla zakochanych! Niektórzy zawrą związki małżeńskie, inni zerwą narzeczeńskie śluby, inni jeszcze odłożą ważne decyzje na rok następny. Każde z tych wyjść ma swoje dobre strony.

Nie wiemy, co się stanie w polityce. Niestety, nie zależy to od nas a od fanaberii różnych prezydentów, premierów itp. Wszystko może się zdarzyć.

HOROSKOP SZCZEGÓŁOWY

KOZIOROŻEC — Jak wiadomo, pod naszą szerokością geograficzną takie zwierzę nie występuje. U nas są, owszem, kozy. Tych, którzy wybrali znak kozy przestrzegam: w roku nadchodzącym przysłowie o kózce, która złamała nóżkę będzie w pełni aktualne! Panom spod znaku kozy zalecamy zapuszczenie bródki tzw. hiszpanki. Nie dotyczy to niestety, przedstawicieli świata przestępczego — i tak trafią do kozy...

WODNIK — Światowa nauka nie wypowiedziała się ostatecznie czy Wodnik istnieje, a jeśli tak, to czy jest to gad, płaz czy ssak. Na wszelki wypadek wszystkim spod znaku Wodnika zalecamy kąpiele, zwłaszcza w sobotę i w przeddzień ważniejszych świąt państwowych i kościelnych. Ponadto bicze wodne i wszelką hydroterapię. Brak dopływu wody w osiedlach spółdzielczych i komunalnych będzie się w roku 1986 zdarzał nadal, współczujemy Wodnikom!

RYBY — Ze rozozumiałych względów Ryb dotyczą te same wskazania, co Wodnika. Osobom spod znaku Ryb proponujemy przerwać wreszcie milczenie. Być może wypłyniecie na szersze wody! Zachowajcie zimną krew w każdej sytuacji, nie dajcie się wziąć na byle jaką przynętę i przestańcie wreszcie wytrzeszczać oczy!

BARAN — Jak wykazują badania, również komputerowe, jest to znak skupiający liczną resztę zwolenników. Baranów nie brakuje, gdzie się tylko rozejrzeć... Rok 1986 będzie dla Baranów korzystny pod każdym względem. Niestety, jak co roku będą strzyżone! Polecamy Baranom letni wypoczynek na Podkarpaciu. Baranom na stanowiskach kierowniczych zalecamy unikanie podejmowania decyzji, i tak, drodzy moi, prochu nie wymyślicie...

BYK — Dobry rok zarówno dla starych jak i młodych Byków! Przewidywane wskaźniki wzrostu wydajności pracy nie są oszałamiające, panowie Byki, byczymy się nadal! Szczególnie dobrze zapowiada się Bykom rok w dziedzinie Erosa — wzrosło pogłowie cieląt! A z tych cieląt, proszę Byków, wyrosną nam jałówki! Byczo jest!

Uwaga Byki! Unikajcie koloru czerwonego i wyjazdów do Hiszpanii. Stanowczo lepiej do Indii...

BLIŹNIĘTA — Jak wiadomo, rozróżniamy bliźnięta jednojajowe, dwujajowe, trzyjajowe itd. Jak makaron. Oprócz tego są tzw. rodzeństwa syjamskie. Wszystkie Bliźnięta przestrzegamy przed wyjazdem do Francji, gdzie może spotkać je los pań Magore (dawniej Tlałkówny) zamieszkałych w Grenoble (dawniej Zakopane). Szczęście rzadko uśmiecha się do Bliźniąt, ale jak się już uśmiechnie to podwójnie (potrójnie, poczwórnie itd. (niepotrzebne skreślić). Uszy do góry, co dwie głowy to nie jedna!

RAK — Jest to znak zodiaku, co tu ukrywać pechowy. Wszystkim Rakom zalecamy szczególną ostrożność — jak zwykle czyha na was tysiąc pułapek (tzw. kancerek) i innych niebezpieczeństw. Tym niemniej trzeba się zdecydować i — jak powiada poeta „z żywymi naprzód iść" a nie ciągle wstecz i wstecz. Wstyd! I przestańcie się wreszcie czerwienić.

LEW — Znak osobników silnych i zdecydowanych. Lwom w nadchodzącym roku powiedzie się, jak zwykle! Przypominamy, że spod znaku Lwa wywodzą się znane osobistości jak Lew Tołstoj, Lew Starowicz i Adam Lewaszkiewicz oraz trzej bracia Lewandowscy.

PANNA — Badania statystyczne wykazują, że spod znaku Panny mamy bardzo niewiele osób. Rodzą się pod tym znakiem wyłącznie dziewczęta, które po osiągnięciu dojrzałości zmieniają znak zodiaku, niejednokrotnie przyjmując znak męża, narzeczonego czy konkubina. Wszystkim Pannom życzymy szczęśliwej zmiany znaku!

WAGA — W Polsce z reguły — nadwaga. W roku 1986 są szanse żeby jej się pozbyć. Podaż żywności na umiarkowanym poziomie, reglamentacja mięsa itp. Uwaga! Jedźcie na wczasy dla otyłych, podobno rewelacja. Nadwaga może być przyczyną wielu groźnych chorób, wybierajcie sami, jeśli nie chcecie brać serii bolesnych zastrzyków. Ale grubi są jowialni i dobroduszni, nie traćcie więc ducha nawet, jeśli nie uda wam się zrzucić nadwagi.

SKORPION — Jest to obrzydliwy gad, mamy nadzieję, że nie ma wśród naszych Czytelników Skorpionów, a jeśli byli, to już zmienili sobie znak na sympatyczniejszy. Czujemy się zwolnieni od prezentowania horoskopu.

STRZELEC — Znak Amora, Wilhelma Tella itp. Strzelcy nie należący do Polskiego Związku Łowieckiego winni wystarać się o pozwolenie na broń. Przestrzegamy przed chałupniczym konstruowaniem proc, łuków i kusz! Hej Strzelcy wraz!

SALAMANDRA

Sennik Chaldejski

Współczesny, naukowy sennik chaldejski powstał w kooprodukcji najwybitniejszych specjalistów od chiromancji, elegancji i arogancji oraz czarnej i białej magii (za dopłatą może być jeszcze kolorowa).

Po raz pierwszy udzielamy gwarancji na sprawdzalność zawartych w sennniku przepowiedni. Warunkiem uzyskania gwarancji jest wpłacenie wadium w wysokości 5 tys. zł, w jednym banknocie tzw. muzykancie do rąk własnych, bez pokwitowania.

Jeśli nam się śniło:

Batorego pod Grunwaldem widzieć — syn podciągnie się z historii i geografii.

Benzynę wysokooktanową przez rurkę popijać — paliwo zdrożeje.

Isaurę w domu gościć — kupisz robota kuchennego.

Krasnoludki w pudełku oglądać — zostaniesz recenzentem teatralnym i filmowym.

Koszerną gęś popijać paschalną śliwowicą — zmienisz wyznanie, prawdopodobnie na islam

Klossa oglądać — wystąpisz na festiwalu w Kołobrzegu.

Kawały o milicjantach opowiadać — 48 godzin luzu.

Konia kraść — wygrasz w szachy z Jerzym P.

Klawisza widzieć — wizyta u dentysty.

Konia spotkać — bony staniejąl.

Listy pieczętować — komornik w domu.

Małżonkę ślubną krokodylowi podrzucić — staniejąl wycieczki do Australii i wysp Oceanii.

Małpę w kąpieli podglądać — triumf teorii ewolucji!

Nad Wisłą ryby łowić — awaria kanalizacji.

Nieboską komedię wystawiać — dostaniesz posadę w piekarni.

„Odgłosy" czytać — zabłyśniesz w towarzystwie.

Prezydenta „na rękę" pokonać — stracisz pracę

Pędzisz bez celu — marnotrawstwo cukru!

Proch wymyślić — czeka cię szare, nudne życie.

Piasek na pustyni przesiewać — reformę wprowadzać.

Stać po cukier w kolejce — likwiduj aparaturę.

Nogami o sufit zawadzać — żona wyjedzie na kursokonferencję.

ZOO zwiedzać — nowe znajomości.

Z tygrysem w chowanego grać — kłopoty z Urzędem Skarbowym.

Z Dziekanowskim grać na skrzydle — wezwanie do wojska.

Z Szurkowskim w peletonie się zabrać — zostaniesz kandydatem na kandydata.

Z Violettą Villas tango tańczyć — zniosą reglamentację na tłuszcze.

Z Kościuszką o Racławicach dyskutować — czeka cię noc w Izbie Wytrzeźwień.

Moralnego niepokoju doświadczać wieczorami — czterdziestolecie kinematografii.

BEN GRUNDIK

KRZYSZTOF BARANOWSKI

Ślepy Maks i jego banda

Od bardzo dawna, a z pewnością od ostatniego ćwierćwiecza XIX stulecia, znane były w Warszawie i Łodzi samopomocowo-religijne, na poły przestępcze organizacje „rzezaków rytualnych". Ze względu na przepisy religijne obowiązujące ludność żydowską wolno jej było spożywać mięso tylko ze zwierząt zabitych zgodnie z przepisami rytualnymi. Dokonywali tego specjalnie wyuczeni rzezacy, którzy nadzwyczaj ściśle przestrzegali uprawnień swego zawodu. Stanowili oni nieformalnie działające organizacje, które kontrolowały, by ubój zwierząt odbywał się w sposób jak najbardziej zgodny z obowiązującymi przepisami. Jednocześnie zaś terroryzowali żydowskich rzeźników i zmuszali ich do płacenia bardzo wysokich stawek za rytualny ubój.

W Łodzi w latach dwudziestych XX wieku działał gang żydowskich rzezaków rytualnych. Nakładał on bardzo wysoki haracz na poszczególnych żydowskich rzeźników, a jeśli który nie chciał im być posłuszny oblewano naftą mięso przeznaczone dla jego sklepu. A gdy i te argumenty nie poskutkowały używano kijów, kastetów, a nawet i noży.

Z kręgów związanych z tamtą organizacją wyrósł inny gang nie mający nic wspólnego z ubojem rytualnym. Przeszedł on różne wewnętrzne zmiany, po których pod kierunkiem Menahema Borsteina czy też Borensteina, zwanego ślepym Maksem, stał się w żydowskim środowisku Łodzi prawdziwą potęgą.

Urodzony prawdopodobnie w 1890 r. w środowisku żydowskiego proletariatu Maks już wcześnie rozpoczął swą mało zaszczytną karierę. W latach pierwszej wojny światowej był konfidentem niemieckiej policji, zajmował się paserstwem, a jakoby jeszcze dodatkowo sutenerstwem. Następnie ustatkował się i został bileterem w autobusie kursującym z Łodzi do Aleksandrowa. Nie posiadał żadnego wykształcenia. Był prawie analfabetą. Jednocześnie człowiekiem o znacznej wrodzonej inteligencji i sprycie, doskonałym organizatorem, szefem dbającym o swych kompanów, a zarazem jednak wymagającym od nich bezwzględnego posłuszeństwa. Odznaczał się on również dużą osobistą odwagą, która zyskiwała mu szacunek w przestępczym świecie żydowskiej ludności Łodzi.

W 1928 r. z inicjatywy Maksa założona została organizacja typu charytatywno-religijnego pod nazwą „Ezras Achim" czyli „Pomoc Potrzebującym". Cele jej były dla ortodoksyjnego środowiska żydowskiego jak najbardziej godne poparcia. Zajmowała się ona zbieraniem posagu dla biednych a pobożnych Żydówek. Ale pod tym pozorem znakomity organizator, jakim był Maks, przemienił ją w groźną bandę gangsterską.

W organizacji tej działało kilkudziesięciu gangsterów. Toczyła się między nimi rywalizacja. Groźnym dla Maksa konkurentem był Srul Kałma Balberman, który był od niego znacznie silniejszym fizycznie, a także uchodził za człowieka o wiele lepiej władającego rewolwerem.

Rywalizacja między Ślepym Maksem a Balbermanem znalazła swój epilog 19 września 1929 r. Jak zwykle członkowie gangu zeszli się w niewielkiej piwiarni przy ul. Pomorskiej (obecnie ul. M. Nowotki) niedaleko jej skrzyżowania z ul. Wschodnią. Między Maksem a Balbermanem doszło do ostrej sprzeczki, która kontynuowana była na ulicy. W pewnej chwili Balberman chwycił Maksa jedną ręką za gardło, a drugą starał się wyciągnąć z kieszeni rewolwer. Maks okazał się jednak szybszym. Z jego rewolweru oddane zostały śmiertelne dla Balbermana strzały.

Po zabójstwie konkurenta Maks został aresztowany. Podczas rozprawy sądowej zeznania świadków wypadły dla niego korzystnie. Również i ludzie z otoczenia Balbermana, zdając sobie sprawę, że władza w gangu przejdzie teraz w ręce Maksa, składali zeznania w sposób dla niego jak najbardziej przychylny. Sąd stanął na stanowisku, że zabójstwo zostało dokonane w obronie koniecznej i wydał wyrok uniewinniający.

W gangu nadal toczyła się wewnętrzna walka. Tym razem między Maksem a jego następnymi konkurentami braćmi Zylberszyc. I ta walka zakończyła się zwycięstwem Maksa który mógł teraz po dyktatorsku rządzić się całą organizacją. Jego najważniejszymi współpracownikami zostali urodzony prawdopodobnie w 1879 r. Henoch Fuks i znacznie młodszy, urodzony prawdopodobnie w 1907 r. groźny terrorysta Hersz Grunis.

Mając w ręku władzę nad całym gangiem Maks znacznie rozbudował jego działalność. Założone zostało specjalne biuro porad prawnych pod nazwą „Obrona". A chociaż później, gdy okazało się, że Maks będący prawie analfabetą, nie posiada żadnych uprawnień do jego prowadzenia, zostało ono zamknięte, to jednak odegrało ono znaczną rolę w dziejach tej organizacji. Dzięki niemu można było z żydowskiego środowiska Łodzi wyciągnąć olbrzymie sumy.

Gang Maksa prowadził bardzo różnoraką działalność. Biuro „Obrona" w poważnym stopniu zajmowało się inkasem weksli pozornie niewypłacalnych dłużników. Gdy wystawca odmawiał ich wykupienia nieznani sprawcy demolowali mu sklep czy też podpalali magazyn lub wytwórnię. Nieraz też w bezwzględny i okrutny sposób bili wystawcę weksla, jego żonę czy też dzieci. Kiedy indziej ofiarą ich padało mieszkanie niewypłacalnego wystawcy. Np. gdy wyprawiał on przyjęcie, nagle do jego mieszkania wchodzili nieznani ludzie i ściągali ze stołu na ziemię obrus wraz z całą zastawą. Niekiedy zbyt upartemu wystawcy weksla grożono śmiercią lub kalectwem.

Do specjalności Maksa należało również rozstrzyganie rodzinnych konfliktów. Oto np. zgłaszał się do niego jeden z braci skrzywdzony jakoby przy rodzinnym podziale. Maks brał go w obronę, naturalnie nie bezinteresownie, i zmuszał pozostałe rodzeństwo do zmiany warunków podziału. Kiedy indziej zwracała się do niego o pomoc żona, której mąż nie chciał udzielić rozwodu i oddać wniesionego posagu. I w takiej sytuacji interwencja Maksa, poparta różnymi argumentami jak np. pobiciem przez nieznanych sprawców, zniszczeniem mieszkania lub sklepu czy nawet groźbą wysłania delikwenta do lepszego świata, dawała skutki.

Pozycja Maksa w żydowskim środowisku Łodzi coraz bardziej umacniała się. Umiał on stworzyć pozory, że pozostaje w najlepszych stosunkach z władzami administracyjnymi, policją czy nawet urzędami skarbowymi. Wówczas, gdy miał on u siebie klientów łączył się jakoby przez telefon z odpowiednim wyższym urzędnikiem czy też komisarzem policji, z którym po imieniu prowadził przyjacielską pogawędkę. Prawdopodobnie były to świetnie wyreżyserowane rozmowy telefoniczne. Niekiedy przychodził znów do biura jakiś cywil, którego Maks tytułował panem komisarzem i w swym gabinecie pił z nim wódkę. W umiejętny sposób rozpowszechniał legendę, że dzięki swym osobistym stosunkom został uniewinniony z zabójstwa Balbermana, a gdyby przyszła mu potrzeba mógłby zabić bezkarnie jeszcze kogoś innego.

Wiele bardzo poważnych spraw handlowych i majątkowych rodzinnych rozstrzyganych było w gabinecie Maksa. On sam starał się im nadać charakter typowy dla sądu. Zasiadał za biurkiem trzymając w ręku rzemienny pejcz do poganiania bydła tzw. bykowiec, którym od czasu do czasu uderzał po cholewach butów lub też po blacie stołu. Dbał też o zachowanie się stron i świadków. Na zachowujących się zbyt głośno lub niespokojnie nakładał wysokie pieniężne kary.

W procesie sądowym nie udowodniono Maksowi żadnych specjalnych zbrodni. W żydowskim jednak środowisku Łodzi rozchodziły się pogłoski, że zajmował się „wykańczaniem" przeciwników swoich klientów, czy też oszpecaniem rywalki lub rywala. Tego rodzaju zbrodnicza działalność była wykonywana przez „nieznanych sprawców", z którymi Maks „nie miał nic wspólnego".

Przez kilka lat Maks był niekoronowanym królem żydowskiego podziemia Łodzi. Działalność jego była tak szeroko zakrojona, że nawet poważni przemysłowcy żydowscy musieli się z nim liczyć. Nie chcąc wchodzić w kolizję z wszechmogącym gangiem bez słowa sprzeciwu płacili haracz wyznaczony na nich, który pozornie szedł do kasy charytatywnego towarzystwa „Ezras Achim". Sam Maks, albo też jego zastępca Henoch Fuks wyznaczali sumę, którą żydowski przemysłowiec, kupiec, właściciel kamienicy, czy nawet lekarz lub adwokat musieli wpłacić do kasy towarzystwa. Czynili to bez szemrania. Ci, którzy nie domagali się kwitu za wpłacone pieniądze, korzystali z pewnych ulg. Natomiast ci, którzy się opierali, narażeni byli na różnego rodzaju „przykrości", a to nie wykryci sprawcy dotkliwie pobili ich dzieci, albo i oni sami uderzani byli kamieniem przez nieznajomego ulicznika, to znów wybita została szyba wystawowa sklepu, zdemolowano mieszkanie itp.

Nikt dokładnie nie wiedział, jak przedstawiały się rozliczenia wewnątrz towarzystwa, jaka część otrzymanych pieniędzy szła na koszty „handlowe", czyli opłacenie podległych Maksowi gangsterów, a jaka na posag dla biednych a pobożnych Żydówek. Plotki głosiły, że przeważnie takie posagi otrzymywały siostry lub córki członków gangu. Maks dbał jednak o pozory. Od czasu do czasu z wielką pompą odbywało się wręczanie posagu ubogiej i skromnej dziewczynie. Opowiadano, że gdy jeden z podkomendnych zażądał od jednej z takich dziewczyn usług seksualnych, otrzymał zadanych mu bykowcem kilkanaście uderzeń na gołe ciało, a także zapłacił odpowiednią karę na rzecz charytatywnego towarzystwa.

Sam Maks rygorystycznie przestrzegał wszelkich zaleceń religii mojżeszowej. Chciał stworzyć wrażenie, że jest podporą kahału. Gdy więc pewien lekarz przyjął chrzest i próbował odmawiać płacenia składek na rzecz kahału oraz „dobrowolnych" opłat na posag dla biednych Żydówek nie wykryci sprawcy zdemolowali mu mieszkanie, a następnie grozili oblaniem żrącym płynem twarzy jego córki. Zmusiło to tego lekarza do przeniesienia się z Łodzi do innego miasta.

Działalność gangu Maksa obejmowała tylko ludność żydowską lub żydowskiego pochodzenia. W pewnych jednak wypadkach również Polacy i Niemcy korzystali z jego usług, szczególnie wówczas, gdy chodziło o zainkasowanie wystawionych przez Żydów weksli, czy też zatargów z wyznawcami religii mojżeszowej. Wówczas jednak prowizja pobierana przez Maksa była znacznie wyższa niż od żydowskich klientów.

Plotki głosiły, że Maks doszedł do krociowego majątku. Jednak został on tak sprytnie ulokowany, że w późniejszym procesie sądowym nie udało się tego udowodnić. Opowiadano też, że gdy siedział w więzieniu, podstawione przez niego osoby wywiozły znaczną część majątku, jako swoją własność, do Ameryki.

Działalność Maksa dobrze była znana policji łódzkiej. Przez pewien czas próbował się on opłacać poszczególnym jej dostojnikom. Sprawa jednak doszła do Warszawy. Jeden ze sprzyjających Maksowi oficerów policji został zdymisjonowany, kilku przeniesionych do innych miast. Wydany został rozkaz likwidacji zbyt jawnie działającej gangsterskiej organizacji. Nie było to jednak łatwe. Żydowscy świadkowie, bojąc się zemsty groźnego dyktatora podziemia, nie chcieli składać obciążających go zeznań. Władze kahału, które mogłyby wystąpić z protestem przeciw metodom terroru stosowanym wewnątrz gminy żydowskiej, milczały, a niekiedy nawet wydawały Maksowi opinię solidnego i pobożnego działacza charytatywnego. Wreszcie jednak punktem zaczepienia stała się sprawa szantażowanego przez Maksa pewnego reemigranta żydowskiego. Policja dostała w swe ręce dowody szantażu. Zarówno Maks, jak i jego najbliżsi współpracownicy Fuks i Grunis w lutym 1934 r. zostali aresztowani. W maju 1935 r. doszło do procesu. Mimo tego, że Maksa i jego współtowarzyszy bronili najlepsi adwokaci łódzcy, że wielu świadków składało korzystne dla nich zeznania, zapadł wyrok skazujący. Maks skazany został na 6 lat więzienia, a na mocy amnestii zmniejszono mu karę do 5 lat. Fuks skazany został na 18 miesięcy, ze zmniejszeniem kary na skutek amnestii do 15 miesięcy, Grunis na 8 miesięcy.

Jakie były dalsze losy gangu? Według jednej wersji po skazaniu jego przywódców rozsypał się. Według innej utrzymał się aż do drugiej wojny światowej, tylko ze względu na nie sprzyjające okoliczności działał o wiele bardziej ostrożnie. Opowiadano, że nadal kierował nim Maks, który z celi więziennej przysyłał dla podwładnych polecenia.

1

Zdrowych, wesołych i tak dalej...

Szanowny Panie Redaktorze

W pierwszych słowach swego listu serdecznie Pana i cały Zespół pozdrawiam z okazji świąt i nie tylko. Szczerze wzruszony jestem pamięcią i bardzo dziękuję za te paczki. Otrzymuje je dość równomiernie i wszyscy mi tu zazdroszczą takich ilości starych gazet. Odstawiamy je — muszę się pochwalić — regularnie i wkrótce mamy otrzymać na własność Wielką Czterotomową i wszystkie dzieła wybrane tego, no, uciekło mi nazwisko, tego faceta od bułeczek i „Nieboskiej komedii..."

U nas wszystko w porządku. Mamy komplet kuracjuszy, bo jak to w okresie przedświątecznym, zgłasza się sporo byłych pacjentów, by w spokoju ten ciężki czas przetrzymać. Doszło do tego, że jak w ubiegłym tygodniu ordynator Łysol chciał kilkunastu chłopa do domu wypisać — to bronili się jak lwy, wiedzieli, co ich tam czeka za murem. Idiotyczne stanie w kolejce po kawałek szynki, latanie za choinką, prezentami, rodzynkami, makutrą szampanem, karpiem i tym podobne problemy. Wszystkim kandydatom na ozdrowieńców stan raptownie się więc pogorszył, a magister B., by być pewnym że go nie wypuszczą na święta — ugryzł nawet Halinkę, naszą siostrę przełożoną. W udo co prawda, ale delikatnie, znają się przecież tyle lat....

Jesteśmy tu, jak się zwykło mówić, jedną wielką rodziną i jak zwykle przygotowania do Wigilii i Świąt przebiegały spokojnie, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami. Na aurę dziś liczyć nie można, więc sami zadecydowaliśmy, że Barbara będzie po lodzie (śmietankowe, „Calypso", komitet organizacyjny się zatroszczył...). A święta jak tradycja każe — po wodzie (brzozowej, „Autowidol", „Baltic", „Black and White" — zależnie od rodzaju terapii). Chłopcy z sekcji gastronomicznej poważnie temat potraktowali, zabezpieczając nas całkowicie na odcinku zaopatrzenia w specjalistyczne wiktuały i delicje. Trzeba przyznać, że spisali się dzielnie, poszli utartym śladem: dywany, firanki, koszule „Wólczanki" i parę metrów gumki kapeluszowej wymienili od ręki w zaprzyjaźnionym sanatorium na Mazurach na kilkanaście sztuk żywego karpia, byczki w oleju i lekko śniętego suma. Summa summarum, podobnymi metodami zdobyli też wędzonki gicze smakowite, watróbkę i ozory, choć adresu zakładu podać nie chcieli. No, w końcu ich sprawa...

Nasze panie, jak zwykle, zadbały o wypieki, a jeszcze bardziej o ciasta. Mieliśmy kilka rodzynków, grzyby i orzechy zostały z ubiegłego roku, z figami nigdy u nas nie było problemu, w końcu dorośli jesteśmy. Migdałki dostarczył laryngolog z „czwórki", trochę maku zaprzyjaźnieni narkomani z pawilonu „N" Dziewczyny wzięły się raźno do roboty i dziś mogę śmiało stwierdzić, że gamy naszych słodkich wyrobów mógłby pozazdrościć „Hortex" z „Victorią" razem wzięte. Nie obyło się, co prawda, bez drobnych scysji z chłopakami z sekcji „Polmos", którzy już od paru tygodni pędzą co koń wyskoczy czerwone wytrawne, biała „Silver Metalic" i dla pań — likier „Jablonex". Z cukrem było więc trochę krucho, ale od czegóż mielone landryny, a dwie duże tuby kremu odstąpił gratis magister B. Dobrze pieniący się, firmy „Palmolive", wystarczyło nawet na mazurki i pasztet.

Pewne niedomagania wystąpiły natomiast na linii zaopatrzenia w drzewka czyli choinki. Aktywiści z sekcji leśników i kłusowników odstrzelili co prawda jedną podłą świnię i kilka zdziczałych królików (będą w śmietanie a la Mikuta, palce lizać...), ale zamierzali na tym poprzestać. Sugerowali wręcz, leniwcy, że wystarczy kij od szczotki i trochę jodły, co nam od 1 listopada zostało, a w bombki można przybrać filodendron albo palmę „Kentia" z głównego hallu. Na szczęście przejęli inicjatywę koledzy z sekcji pracowników drewutni i tartaków organizując sprawnie wielce ryzykowną wyprawę do lasu. Jodełkę przycięli zgrabną, dobrze ponad dwa metry, gęstą aż miło. Stempelek przepisowy szajba, czyli monetą dziesięciozłotową na pniu przybili, drzewko na bagażnik — i do sanatorium ruszyli. Profilaktycznie opłotkami, nie głównym szlakiem przez miasto. Aż tu nagle zza zakrętu radiowóz i „lizaczek".

— Dzień dobry, obywatele, a skąd to ładne drzewko?

— A z lasu, sierżancie, z lasu...

— A to ładnie, to otwórzcie obywatelu bagażnik...

Podnieśli klapę posłusznie, a tam z narzędzi stolarskich jedynie klucz francuski i podnośnik do kół.

— No to w porządku, dziękuję, życzymy wesołych świąt!

— Wzajemnie sierżancie, wzajemnie...

Nie wiadomo, gdzie te swoje piłki czy siekierki pochowali, przecież „tymi rękami" drzewka nie wyrwali. Dość, że szczęśliwie do nas dotarli.

No i mamy już prawie wszystko. Dziś oprawiamy choinkę, kugle, gwiazdki i łańcuchy wykonują dziewczęta z sekcji „cepelia" pod fachowym okiem kolegi Lamety. Czekamy tylko na prezenty z domu, te niespodzianki rozmaite, sweterki z „Peweksu", ciepłe kapcie, szachy, komplety do gry w serso i ping-pong. Kolega Witek M., jak doniósł mu życzliwy syn, dostać ma nawet video, czyli tak zwany magnetowid. O stosowne filmy też zadbaliśmy wcześniej, mamy już przygotowanych kilka wesołych komedii jak choćby „Caligula", „Emanuelle", „Przygody Colargola" i „09 — nie zgłaszaj się"

Jak więc pan widzi, Redaktorze, święta zapowiadają się nam zdrowe, sympatyczne, spokojne, jak i cały następny rok. I tegoż całej redakcji jak jeden mąż — serdecznie życzymy!

STEFAN ŻYCIOWY

2

Nagłe zastępstwo

Och basset czyli Karol w „Odgłosach"

Już w drzwiach windy powitała mnie panna gończówna Magda:

— W redakcji jest Passent, dzień dobry!

— Dzień dobry — mruknąłem. No cóż, skoro Mistrz Daniel przyjechał, to przyjechał, pewnie chce osobiście poznać redakcję „zmysłowego tygodnika". ...Wielka rzecz, nie takie figury nas odwiedzały, nawet prezes Rydygier był i to z towarzyszem Jachaczem... Tylko prezydent miasta nas nie odwiedził i — popatrzcie państwo — awansował na ministra... A znów sekretarz, który nas odwiedzał wielokrotnie podobno już niedługo nie będzie sekretarzem i przeprowadza się gdzieś tu, w bliskie sąsiedztwo. Ja oczywiście, proszę Szanownego Pierwszego Czytelnika tego felietonu nic nie ugólniam, nie kojarzę tych faktów. Przytaczam je całkiem suche jako tzw. ciekawostkę ze świata nauki czyli fakty, które nie zostały przez światową naukę zbadane empirycznie, opisane statystycznie i uporządkowane w formie mniej lub więcej prawdopodobnej hipotezy...

Dopiero w pokoju sekretarki, pani Bogusi wyjaśniło się, że to nie Passent ale basset, taki, proszę ja kogo, pies i na dodatek tak rasowy że najbardziej dociekliwy Rassenamt nie by mu nie mógł zarzucić!

Basset popatrzył na mnie swymi wielkimi łagodnymi oczyma i otarł się o nogawkę spodni. Wszedłem do naczelnego, basset za mną.. a u naczelnego całe zgromadzenie — piją herbatę, wymachują rękami i przekrzykują się nawzajem co zrobić z bassetem. Ze strzępów okrzyków i podniesionych głosów moich drogich kolegów dowiaduję się wreszcie, że basset jest w redakcji zupełnie nieoficjalnie, nielegalnie nawet! A to ci pasztet! Redakcja w końcu poważna — wbrew pozorom — instytucja, tajemnica nas obowiązuje prasowa, służbowa, państwowa, gospodarcza i wojskowa na dodatek a tu zupełnie obcy człowiek, pardon, zupełnie obcy pies marki basset obwąchuje bezczelnie zasłużonych publicystów, w tym udekorowanych nawet odznaczeniami państwowymi, ogląda tajne rękopisy, maszynopisy i zdjęcia!

Usiadłem. Basset wskoczył mi na kolana. Cóż, pisze człowiek także po to żeby sobie ulżyć, nie będę ukrywał, że zostałem obrażony przez jedną z koleżanek: — popatrzcie! — powiada — na wszystkich chłopów szczekał a Andrzejowi Karolowi siada na kolanach. Mężczyzn nie lubi, to jasne...

Ścierpiałem to. W końcu sytuacja jest rzeczywiście niecodzienna, to i ludzie reagują nietypowo. Ja też...

Ryszard Binkowski, znany ekspert kryminologiczny zwany małym Chandlerem wpadł na pomysł: niech Gałasiński zrobi bassetowi zdjęcie z obydwu profili i en face. Szymański-Glanc narysuje plakat z napisem „wanted" i wywiesimy przed gmachem!

Pomysł był, nikogo nie obrażając — głupi, bo przecież pies jest, tylko właściciela poszukujemy...

Chuderlawy i niedożywiony Roman K., coś bąkał, że taki pies w potrawce byłby zapewne całkiem, całkiem, ale został zakrzyczany przez humanitarne koleżanki.

Basset zszedł mi z kolan i ściągnął z biurka naczelnego dużą bułę z pasztetową. Pożerał ją niespiesznie, patrząc uważnie na szefa. Ten, jak zahipnotyzowany patrzył w oczy bassetowi. Potem podał mu drugą bułę...

Wreszcie ktoś wpadł na pomysł, żeby wezwać w trybie nagłym redakcyjną specjalistkę, zasłużonego kynologa, felietonistkę Agatę. Przyjechała taksówką. Popatrzyła na basseta i powiedziała: — basset!

Wszyscy już wiedzieliśmy, że to basset, ale zawsze dobrze jest, kiedy ekspert potwierdzi nasze przypuszczenia... Muszę tu dodać, że koleżanka Agata jest wielokrotnie odznaczona na różnych psich zawodach, tj. pardon, odznaczona przeważnie bywa jej suka. A ta suka znowu, jest jeszcze bardziej rasowa niż nasz basset i na ten przykład nie może wstąpić w związki małżeńskie — że się tak wyrażę — z byle kim, narzeczonych jej trzeba było szukać za granicą. Przy okazji cała redakcja dowiedziała się, że suka Agaty ma specjalny paszport i dokument pt. kartka kopulacyjna, uprawniający do... no wiadomo. Tak, proszę państwa! U rasowych psów nie tak prosto, jak nie przymierzając u ludzi! Tango, buzi, mała wódeczka i już... A u psów — nie tak prosto, musi być karta kopulacyjna! Agata bezbłędnie odróżnia settera podlaskiego od takiego dajmy na to pinczera sycylijskiego, toteż nikt nie kwestionował jej ekspertyzy. Zwłaszcza ja, który widziałem tylko psa andaluzyjskiego i to też tylko w kinie...

Następnie Agata wykonała kilka telefonów do równie jak ona zasłużonych kynologów. Żadnych śladów! Nikomu basset nie zginął!

Z przygnębienia wyrwał nas głos rozsądku, jaki z wieku i urzędu przynależy w każdej redakcji do naczelnego:

— „Da się w „Małym wydaniu GR" anons i właściciel się znajdzie!

Na drugi dzień anons się ukazał, nie bez protekcji zresztą. Noc spędził basset w łóżku pani sekretarki Bogusi. Wyciągnął się — opowiadała — na całą długość i szerokość, pozostawiając jej mały skrawek miejsca przy ścianie. Sama sobie winna, ja na przykład śpię na brzeżku i nie chrapię, ale mnie nie zaprosiła nigdy na nocleg...

Na drugi dzień zgłosił się telefonicznie właściciel! Szef wezwał go do redakcji, celem złożenia wiarygodnych zeznań, pozwalających zidentyfikować go jako właściciela naszego basseta.

Basset dostał bułę z pasztetową i został zamknięty w ciemni fotograficznej. Kandydat (?) na właściciela usiadł przy biurku naczelnego. W komisji śledczej zasiadał sam szef, Agata i mały Chandler. Ten ostatni włączył biurową lampkę i skierował strumień światła w oczy delikwenta.

— Imię, nazwisko, adres, znaki szczególne psa i pańskie, kolor sierści...

— Maść! — wtrąciła Agata...

— Maść, jak się wabi, co jada? — kontynuował Ryszard Binkowski.

Niestety, badanie dało wynik negatywny. Czekamy na właściciela basseta! Na razie jada drugie śniadania naczelnego, sypia w łóżku pani Bogusi, a ja wyprowadzam go na skwer przed gmachem redakcji.

Wabi się Karol. Tak zadecydowała większość kolegów. Nie rozumiem dlaczego?

Och, Karol!

ANDRZEJ KAROL

3

Zapomniał wół...

Śpiewał niegdyś Jerzy Połomski, że nie ma to, jak młodym być, ciągle mieć dwadzieścia lat, że nie ma tej wartości co młodość ani srebro, ani złoto. I to jest prawda. Tylko — jak powiada pewien mój znajomy — młodość jest uleczalną chorobą każdy musi ją przejść i każdy się musi z niej wyleczyć. Trudno wprawdzie ustalić, kiedy mija młodość. Jedni proponują, aby za taką granicę dorosłości uznać 20 lat, inni — 25, jeszcze inni — 30, a są nawet i tacy, którzy proponują, aby uznać, że młodość kończy się dopiero po 35 roku życia. Dla potrzeb ustawodawstwa może to i ważne, ale ja wiem swoje. Widziałem bardzo starych młodzieńców i bardzo młodzieńczych staruszków. Mimo tego, że niektórzy są młodzi duchem, a nawet młodo wyglądają, to młodości nie da się zatrzymać i nie można ciągle mieć 20 lat. Nawet kobietom to się nie udaje.

W miarę upływu czasu na ogół ludziom przybywa nie tylko lat, ale i doświadczeń, co sprawia, że inaczej patrzą na świat, głębiej rozumieją, to co na nim zachodzi, mają poważniejszy stosunek do życia i nie mają już ochoty na wiele rzeczy. Robią się wygodni, a czasem nawet konserwatywni. Są już mniej dynamiczni, mniej chce się im ryzykować. I zapominają, że kiedyś byli młodzi i wszystko wydawało się im możliwe. Świat dla nich stał otworem...

W miarę upływu czasu zmienia się też stosunek do ludzi młodych. Pamiętam, jak mój dziadek powtarzał mi nieustannie, że „za moich czasów" było zupełnie inaczej. Te jego czasy, to była młodość. Babcia też narzekała, że dzisiejsza młodzież nie jest taka, jak dawniej bywało. Potem powtarzali to rodzice, ciotki, wujkowie, nauczyciele, pisano w gazetach. Teraz ja się łapię na tym, że zaczynam powtarzać coś podobnego...

My, ludzie dorośli, którzy już nie mogą mieć 20 lat, którzy mają świadomość, że młodość minęła bezpowrotnie, mamy cichą pretensję do młodych, że są inni. Po co udawać? Powiedzmy to sobie szczerze, może tylko w łazience przy myciu zębów lub goleniu, patrząc na własne oblicze w lustrze.

Oto słyszę na przykład, że po odejściu starych wypróbowanych fachowców młodzi już tak solidnie nie pracują. Słyszę, że młodzi oczekują aż im się da wszystko gotowe, że nie mają zamiaru starać się o nic sami. Słyszę, że młodzi w pracy są opryskliwi, chamscy, że traktują klientów niegrzecznie i bez szacunku. Słyszę, że są egoistyczni, że nie potrafią nawet uszanować rodziców, że nie kochają własnego kraju i chcą emigrować za chlebem i lepszym życiem na Zachód choć tam trzeba ciężko pracować i nikt nic darmo nie daje. Raz nawet usłyszałem okrzyk pełen przerażenia: — Boże! Co będzie z naszym biednym krajem, gdy oni dojdą do władzy! A przecież dojść muszą. Otóż gdy to wszystko słyszę, a co gorsza, sam zaczynam też to powtarzać, wówczas przypomina mi się moja Matka, która często zwykła była mówić w takich sytuacjach, gdy ktoś narzekał na młodych: — Zapomniał wół jak cielęciem był!

No, bo Bogiem a prawda, to skąd oni się tacy wzięli? Z nieba spadli, czy myśmy ich tak wychowali? No, to może skierujmy te pretensje do siebie, przy goleniu czy myciu zębów choćby.

ZENON POROWATY

4

Lewym okiem

W oczach cudzoziemców

Za jedną z najżywszych pasji polskich można uznać rozpamiętywanie naszego charakteru narodowego, doszukiwanie się w nim źródła wszelkich wydarzeń historycznych, klęsk, niepowodzeń i kryzysów. Lubimy też przeglądać się w oczach cudzoziemców, dochodzić co też o nas myślą, cytować opinie wybitnych osób o naszym kraju i narodzie. To oczywiście pożyteczne zajęcie, jeśli prowadzi do właściwych wniosków i jeśli chce się te wnioski realizować.

Istnieje cała „szkoła" publicystyczna, twierdząca, że Polacy są w świecie przedmiotem szczególnego podziwu, uwielbienia, adoracji; że nasza kultura zachwyca z miejsca cudzoziemców i pod jej wpływem wyzbywają się własnej, że jest niezmiernie atrakcyjna i ma wielką siłę asymilacyjną. Bardzo łatwo rozwiać te złudzenia, sięgając po jedną z nader licznych wypowiedzi polityków, czy intelektualistów z zagranicy. A co myślą obcokrajowcy anonimowi, co byśmy usłyszeli, gdyby tak telewizja nasza zapuściła jedną ze swych sond publicznych na ulicach Paryża, Tokio, Londynu?

Czegoś podobnego dokonała w roku 1938 Ludwika Ciechanowiecka, publikując na łamach ówczesnej „Kroniki Polski i Świata" szereg rozmów z cudzoziemcami, mieszkającymi wiele lat w przedwojennej Warszawie. Była to dobrze zapowiadająca się autorka głośnych wówczas reportaży, po wojnie mieszkała w Londynie i współpracowała obficie z prasą emigracyjną. Oto jej spotkania z ludźmi, których nazwiska nie są znane, którzy po prostu wyrażali swoją osobistą opinię o Polakach — oczywiście takich, jakich widzieli w tamtym czasie. Z okazji świąt postawmy przed sobą takie nietypowe, niezupełnie chyba zamglone upływem półwiecza, lusterko.

Co powiedział Anglik?

Anglik „przyjeżdża do Warszawy i od razu dostaje obuchem w głowę. Jest brudno. Ulice są zaśmiecone i ciemne. Ludzie także niezbyt czyści w każdym razie nieporządni byle jak ubrani, albo przesadnie wystrojeni. Wszyscy się śpieszą, ale nie przychodzą na umówioną godzinę. Nikt w Polsce nie szanuje czasu własnego ani cudzego. Polacy są mili, usłużni, przyjaźni. Nie należy jednak zbyt serio traktować ich obietnic i oświadczyn. Jedni nie robią nic, celebrują po kawiarniach i barach, inni zabijają się pracą. Za wcześnie zaczynacie pić. Za dużo pijecie i za dużo spraw układa się w oparach alkoholu"

Ciekawe są spostrzeżenia francuskiego księdza, profesora prawa kanonicznego:

„W Polsce jest dużo pobożności, ale trzeba by szukać ze świecą prawdziwie religijnych ludzi. Klęczeć to wy potraficie godzinami, bić pokłony przed obrazem, kolekcjonować różańce i medaliki, ale gdy przeciętnego Polaka zapytać, dlaczego jest katolikiem, popatrzy zdziwiony i odpowie: „bo się urodziłem katolikiem". Jego katolicyzm jest dziełem przypadku nie jest sprawą życiową, związaną z całym jestestwem Każdy Polak bywa pobożny, to znaczy, że w niedzielę podczas sumy sprawiać będzie na cudzoziemcach wrażenie stuprocentowego mistyka, któremu nieobce są nawet ekstazy religijne. Ale zaraz po sumie gotów pójść na wódkę, zasiąść do kart albo umówić się na randkę z cudzą żoną. Ten sam pobożniś zgłupieje doszczętnie, gdy mu ktoś zada kłopotliwe pytanie, dotyczące któregoś z dogmatów kościelnych".

Dalej ksiądz profesor mówił jeszcze o wielkiej ilości zabobonów w naszym kraju, o zbytniej pogoni sług kościoła za dobrami materialnymi, o fetyszyzowaniu medalików, obrazków, koronek.

„Polska pobożność ma niekiedy cechy fetyszyzmu murzyńskiego, znajdziecie ją podczas hucznych odpustów, procesji, ale gdybyście chcieli poszukać prawdziwej religijności...".

To wszystko mówił francuski ksiądz, a opublikował katolicki, narodowy tygodnik, poświęcając na rozmowę z księdzem prawie całą kolumnę.

W następnym numerze „Kroniki" oddano głos Szwajcarowi.

„Pierwsze wrażenie — mówił — że się tak mało pracuje w Polsce, że takie miłe jest życie... Ja w moim banku w ciągu pierwszego roku otrzymałem raz tylko tydzień urlopu a w ciągu dziesięciu lat wytężonej pracy mój urlop nie przekraczał dwóch tygodni. Właściciel dwudziestomorgowego gospodarstwa w Szwajcarii uchodzi za prawdziwego pana; w Polsce taki sam gospodarz będzie mieszkać w niesłychanie prymitywnych warunkach (...). Mleko pija się u was w cuchnącej oborze, gdzie stoją krowy, których nikt nie myje. To jest niesłychanie przykre widowisko dla Szwajcara...".

I znów całe tyrady o brudzie, o alkoholu, o wiecznym spóźnianiu się, o dwoistych manierach naszych „dżentelmenów" — innych wobec wyższych od siebie i innych, całkiem nie dżentelmeńskich wobec ludzi prostych. Dopingowany parokrotnie przez redaktor Ciechanowiecką, aby powiedział wreszcie coś pozytywnego, Szwajcar mówi: „ależ ja przecież powiedziałem, że polski chłop, robotnik, rzemieślnik ma stokroć żywszy umysł niż jego kolega spod Alp..."

I wreszcie rozmowa z przedstawicielem kultury pozaeuropejskiej, Japończykiem, mówiącym trochę z rosyjska po polsku.

„Prowodniki, portiery, izwoszczyki wsiscy zalaz chca pieniędzy. Inostlaniec musi ciągle płacić. Duże ludzi bludnych, a jak bludny to i smutny, zeby bolą. Jak w pokoju bludno, nie pachniet to człowiek zły.

W Warszawie mnogo czasu traci człowiek czeres telefon. To trzeba żeby policja zakazała. Tylko jedna dobra rzecz: wasza kuchnia...

Europejka przy Japonce za głośna, bardzo wymagająca. Winni są mężczyźni. Japończycy mniej lekkomyślni Dużo Polaków zdejmuje kapelusz przed świątynia, biją się w piersi. Ale ja nie wiem, co jest w ich sercu. Czy polska religijność jest... proszę się nie gniewać... reliable (solidna)?"

To są — powtarzam — uwagi sprzed pół wieku. Ale po pierwsze — znaczna ich część pozostała przecież aktualna po drugie — nie zaszkodzi starszym spośród nas, jeśli swój pamięciowy obraz Polski przedwojennej skorygują spojrzeniem cudzoziemców, a po trzecie — przekonań powszechnie panujących nie zmienia się niestety z dnia na dzień. One tam w cudzoziemskich głowach tkwią i rzutują nadal na opinie świata o naszym kraju Może więc takie przypomnienie ma w sobie coś z rekolekcji? Może warto podumać nad tym co jest prawdą o nas co uprzedzeniem oraz co czynić, żeby owe stereotypy wreszcie rozbić, sprostować, naprawić? To chyba ważniejsze niż roztkliwianie się nad sobą z okazji jeszcze jednego, znalezionego gdzieś, a jakże często uwarunkowanego koniunktura komplementu prominenta zachodniego pod adresem „bohaterskiej Polski"

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI

Wielki las

(25)

ZBIGNIEW NIENACKI

— Odgadłam jednak, że tak naprawdę nie wierzysz w tę miłość. Tęsknisz za nią, lecz nie wierzysz.

— Prawdopodobnie taka miłość nie istnieje. Czy może ludziom wystarczyć sama więź duchowa, jeśli zostali stworzeni także i do rozmnażania się? Czy można przeżyć miłość z kobietą na obrazie, zakochać się w osobowości nieżyjącej już pisarki albo w posągu? Nawet w baśni posąg musiał ożyć pod wpływem miłości rzeźbiarza. Ożyć i spełnić się z nim.

— Rozumiem — powiedziała.

I chciała dodać, że jednak ma już świadomość pożądania, coś takiego, przeżyła, gdy oglądała fotografie zmasakrowanych mężczyzn w jego pokoju. Obawiała się jednak, że nie znajdzie właściwych słów dla opisania swego uczucia i swego pożądania, on pojmie jej słowa opacznie, a poza tym, będzie wiedział, że przeszukuje jego pokój. Zresztą, w tej chwili po zabiegu, po tym, co przeżyła u lekarza, historia jaka się jej przydarzyła w pokoju Maryna, wydawała się nawet i jej samej trochę niezrozumiała. Teraz wszystko było jej wstrętne — pożycie z Kuleszą, owoc tego pożycia, zabieg. Mogła przysiąc, że nigdy nie odda się już żadnemu mężczyźnie. Pożałowała tego, co powiedziała Marynowi o swoim kalectwie. Być może Maryn będzie nią naprawdę gardził, uważał za gorszy gatunek kobiety. Co innego, gdyby Maryn zaczął ją pożądać tak, jak się pożąda pełnowartościową kobietę. Mogłaby go wtedy upokorzyć i odtrącić. Wówczas rachunek między nimi zostałby wyrównany: ona również okazałaby mu swoją pogardę, a nawet odrazę.

Zapytała:

— Po co mówisz i myślisz o wielkiej miłości, skoro w nią tak naprawdę nie wierzysz?

Odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

— Nabrałem podejrzeń, że za mało w swoim życiu byłem człowiekiem. Nie staraj się tego pojąć, myślę jednak, że zbyt często działałem jak precyzyjny mechanizm. Horst twierdzi, że las odbiera ludziom dusze. Mógłbym dodać, że nie tylko las to robi. Gdybym poczuł w sobie miłość, może odzyskałbym duszę?

— Gwałcili mnie, a ty wyszedłeś z leśniczówki. Pomyślałam, że jesteś takie samo zwierzę jak tamci. Ale kiedy przywiozłeś mnie tutaj i teraz opiekujesz się mną, zapomniałam o tym. Stać cię na dobry uczynek, a to świadczy, że masz duszę.

— Nie gadaj głupstw. Po prostu, chcę mieć w domu Horsta przyjaciela a nie wroga.

— I służącą?

— Tak.

— A może wmawiasz w siebie, że jesteś gorszy niż w rzeczywistości.

— Nie męcz mnie takim gadaniem. Działam jak automat. Lekarz zabił trochę i wziąłem od niego wizytówkę, bo pomyślałem, że może mi się kiedyś przydać. Niechętna mi kobieta zaszła w ciążę, więc jej pomogłem, gdyż chcę mieć w domu spokój i pościelone łóżko. Lubiłem w życiu tylko jednego człowieka i ta odrobina człowieczeństwa mnie zgubiła. To taka sama sprzeczność jak z moją tęsknotą za miłością. Pragnę zaspokoić cielesne pożądanie, ale marzy mi się czysta miłość. Być człowiekiem to znaczy lubić kogoś, zarazem wiem, że taki fakt jest zgubny.

— Wilkołak. To pewnie dlatego Eryka nazwała cię wilkołakiem.

— Ona jest głupia. Jeśli kogoś w życiu odrobinę kochałem, to właśnie ją.

— Już jej nie kochasz?

— Nawet nie pożądam.

Wtedy powiedziała:

— Dostaliście rozwód zaocznie, ponieważ przebywasz za granicą. A przecież to nieprawda.

Błyskawicznie usiadł na tapczanie. Sięgnął do spodni i wyciągnął z nich pasek. Weronika pomyślała, że ją tym paskiem uderzy. Ale on wyjął z niego cienką blaszkę, coś w rodzaju ostrza brzytwy. Podszedł z tym do leżącej Weroniki — nagi, jedynie w zielonkawych spodenkach i usiadł obok.

— Posłuchaj mnie, Weroniko — odezwał się patrząc na nią bez swego zwykłego uśmiechu — Otworzyłaś list, który był tylko do mnie. List Eryki. Jeśli dowiem się, że powiedziałaś komuś o tym, co w nim było, poderżnę ci gardło. I rzucę na bagna w lesie, gdzie nikt cię nie znajdzie. Poznałem już kilka takich miejsc.

Po chwili wrócił do siebie. Schował ów ostry przedmiot do paska, zgasił światło i chyba zaraz zasnął. A ona, choć tak niewiele wiedziała o życiu i o świecie, to przecież od razu wyczuła, że groził jej naprawdę i był zdolny zrobić to, o czym mówił. Od dawna, może od pierwszej chwili, gdy go ujrzała, coś jej szeptało, że on pochodzi z innego świata, był w wyobrażeniu Horsta jakimś szatanem albo wilkołakiem, jak go nazwała jego była żona. Przeszył ją strach, ale zaraz ustąpił, pomyślała bowiem, że jeśli nie zdradzi jego tajemnicy, nic jej nie grozi, ona zaś nie zdradzi go, gdyż nawet nie ma komu tego uczynić. W tym momencie pojęła, że jest zupełnie samotna. Horst Sobota już jej nie ufał i swoją szaloną miłością obdarzył wilkołaka; nienawidziła Kuleszy. Tak naprawdę chyba nienawidziła wszystkich dookoła. A przecież tak bardzo pragnęła przytulić się do kogoś, objąć kogoś swoimi ramionami — i to ją zwabiło w uściski Kuleszy. Mogłaby tulić i pieścić dziecko, które się w niej zrodziło, nic jednak nie było w stanie usunąć z jej pamięci myśli, że dziecku temu życie dał Kulesza, podobnie jak nic nie było w stanie usunąć z jej pamięci wspomnienia o tym, co zrobiono z nią kiedyś w lesie i co potem przeżyła z mężem. Wstręt a nawet nienawiść do dziecka byłyby zapewne silniejsze niż pragnienie tulenia, pieszczenia, dotykania ciepłego ciała ludzkiego. Zresztą rodząc dziecko, już na zawsze związałaby się z osobą Kuleszy, a przecież tak bardzo chciała, aby z jej życia został ostatecznie wykreślony i kiedyś zupełnie zapomniany. Dlaczego ten obcy mężczyzna, który ją tu przywiózł i okazał pomoc, nie pojął, że pozbywszy się zrodzonego w niej życia, ogarnie ją poczucie samotności tak wielkie, że zechce go polubić — nawet wbrew sobie. Czemu nie dawał się polubić? Dlaczego powiedział jej wyraźnie, że zrobił coś dla niej tylko po to, aby ją uczynić służącą? Pragnęła go polubić, gdyż nie można żyć wyłącznie żywiąc się nienawiścią do lasu. A skoro przekonała się, że nie będzie jej danym nikogo pokochać z wzajemnością, miłością czystą i prawdziwą, gdyż ten obcy człowiek powiedział jej to, co już podejrzewała — że taka miłość jest chyba niemożliwa, a przede wszystkim właśnie nieprawdziwa, przypomina bowiem miłość do obrazu, rzeźby, do nieżywego — to dlaczego nie miałaby odrobinę kogoś polubić? Jeśli nie może być kochana, bo nigdy nie zdoła otworzyć się dla mężczyzny bez bólu, czy nie ma prawa do namiastki tamtego wielkiego uczucia, do lubienia kogoś z wzajemnością. Tak, chciała polubić Maryna — wbrew sobie, wbrew ostrzeżeniom, które się w niej ciągle odzywały i przestrzegały przed takim uczuciem. Teraz wiedziała, że to jest niemożliwe, bo on tego nie chce. Owszem, będzie mu służyć, ale tylko dopóty, dopóki zostanie w niej strach, że ją zdradzi przed Horstem. Pomyślała, że być może nikogo w życiu nie uda jej się polubić, na pewno jednak Maryn stanie się jej wrogiem. I mimo posłuszeństwa służącej — da mu to odczuć. Wtedy pożałuje, że potraktował ją tak okrutnie.

Zbudził ją trzask zapalniczki. Był już dzień. Maryn nie wstając z łóżka, zapalał na czczo papierosa. Weronika z przerażeniem przypomniała sobie wydarzenia poprzedniego dnia, a potem uświadomiła sobie, że nie czuje skutków zabiegu. Po prostu — jakby coś takiego w ogóle się wczoraj nie stało. Wróciło jej poczucie siły, a wraz z nim pamięć o nocnej rozmowie. Odezwała się urażona duma.

Wstała z łóżka, podeszła do umywalki i przez głowę ściągnęła długą nocną koszulę. Stanęła przy umywalce tyłem do Maryna — naga, rosła, o szerokich plecach i dużych piersiach widocznych w lustrze.

— Mogłabyś zaczekać aż wyjdę z pokoju — zauważył.

Roześmiała się cicho i zwróciła się przodem do Maryna, masując piersi, które odrobinę ją pobolewały.

— Sadziłam, że nie traktujesz mnie jak kobietę.

Sięgnął na podłogę po leżącą tam gazetę i udając, że ją czyta, zasłonił sobie twarz. Coś mu szeptało, że ta kobieta rozpoczęła z nim jakąś dziwną grę i cokolwiek powie, będzie to zła odpowiedź. Bo widok jej piersi przypominał mu chwilę, kiedy broniła się przed Kuleszą i wstydliwie przyciskała je do siebie łokciami, patrząc na nich oczami pełnymi nienawiści. Przypomniał sobie hotel, rozłożoną na łóżku dziwkę i to, co go podniecało. Teraz znowu odczuł pożądanie. Zdusił papierosa, odrzucił gazetę i w myślach obrzucając Weronikę najgorszymi wyzwiskami, odwrócony do niej plecami, zaczął się pośpiesznie ubierać. Wyszedł z pokoju, nim ona skończyła się myć.

Łazienka na końcu korytarza była zarzygana przez sportowców. Wypalił jeszcze jednego papierosa i wrócił do pokoju. Weronikę zastał już ubraną w tę samą ciemną sukienkę ze stójką. Czesała włosy.

Ogolił się przed lustrem nad umywalką i umył do pasa.

— Zjemy śniadanie, potem znowu położysz się na cały dzień. Wieczorem, jeśli będziesz się czuła dobrze, wsadzę cię do powrotnego autobusu. Ja wrócę dopiero jutro, aby Horst nie domyślił się, że byliśmy gdzieś razem.

Zeszli do hotelowej restauracji, która o tej porze była jeszcze prawie pusta. Zajął stolik obok dwóch wysokich szczupłych dziewcząt w dresach, chyba koszykarek. Weronika domyśliła się dlaczego wybrał właśnie ten stolik, choć tyle innych także pustych znajdowało się na sali. Dziewczyny wlepiły w Maryna oczy pełne zachwytu, a gdy się do nich lekko uśmiechnął, wstydliwie zakryły je powiekami. Maryn był przystojnym mężczyzną — wiedziała o tym — ale dopiero teraz, tutaj, dzięki owym dziewczynom — uświadomiła sobie, jak bardzo może się podobać. Chyba każdy musiał zwrócić uwagę na jego małą głowę z gładko przylegającymi do czaszki krótkimi jasnymi włosami, na twarz nieruchomą jak maska, choć z uśmiechem, który pokazywał białe zęby. Niepokojące były niebieskie oczy o przenikliwym spojrzeniu. Miał młodzieńczą sylwetkę, czuło się w nim jednak siłę mężczyzny. I te jego dłonie — takie małe, smukłe, o długich palcach, zapewne miłe w dotyku. Kiedyś zwierzyła się jej w technikum jedna z koleżanek, że takie ręce u mężczyzny mogą swoimi pieszczotami doprowadzić kobietę do utraty przytomności. Nie uwierzyła, teraz jednak pomyślała, że te dwie dziewczyny chyba też o tym wiedziały. „Wyglądam jak zakonnica" — poczuła niechęć do swojej czarnej sukienki ze stójką.

Zajęli miejsca i Maryn znowu wymienił spojrzenie z dziewczynami. Obydwie cichutko zachichotały, a Weronice, nie wiedzieć czemu, zrobiło się nagle przykro. „Zostanie tu na noc i weźmie sobie którąś do łóżka. One potrafią się otwierać bez bólu, na pewno robiły to już wiele razy" — tak pomyślała.

Gdy podano im śniadanie — jajecznicę z herbatą oraz bułki — powiedziała:

— Nie mogę wracać sama. Od przystanku jest ponad dwa kilometry. Wolałabym, żebyś był ze mną.

— Muszę tu pozostać — odparł trochę niecierpliwie.

Rozumiała powód tego zniecierpliwienia. Od czasu do czasu zerkał na dziewczyny i jego niebieskie oczy jak gdyby trochę ciemniały, a wargi leciutko drżały. Podobnie objawiało się pożądanie na twarzy Kuleszy. Nienawidziła tego u swojego męża.

— Wytłumaczę Horstowi, że spotkaliśmy się w autobusie. On jest ufny i uwierzy — dodała.

Niespodziewanie nakrył jej dłoń swoją dłonią. A ona aż zesztywniała ze strachu czy też obrzydzenia, bo nie lubiła kiedy ją ktoś dotykał.

— Posłuchaj mnie — zniżył głos do szeptu, aby go nie usłyszały tamte dziewczyny. — Muszę cię stąd wyprawić, bo chcę kobiety. Chodzi o kawałek babskiego tyłka.

Odpowiedziała mu szeptem:

— Możemy jechać popołudniowym autobusem. Ja już naprawdę czuję się dobrze, ale boję się drogi od przystanku. Będę musiała przechodzić obok domu Kuleszy. Nie chcę iść tamtędy sama, żeby mnie nie zaskoczył. Mimo wszystko jestem słaba.

— To nic. Dojdziesz.

— Horst obiecał ci kobietę. Nie odbieraj mu tej przyjemności, że on ci może coś ofiarować. Będziesz miał tę, na którą masz ochotę, kelnerkę z Gaud. Wrócimy razem a ja ci przyrzekam, że nie tej, to następnej nocy ona będzie w twoim łóżku.

Wysunęła swoją dłoń spod jego ręki i od razu zniknęło wrażenie zesztywnienia całego ciała.

— Nie chcę od was żadnej kobiety — potrząsnął głową. — Sam sobie takie sprawy załatwiam.

— Wiem. Mówiła mi o tym twoja żona. Ale przecież nie możesz urazić Horsta, który chce ci kupić kobietę. Nie obrażaj się na niego. On po prostu w ten sposób pragnie ci okazać swoją wdzięczność.

Roześmiał się:

— Nie miałem nigdy kupnych kobiet...

— Będę musiała przechodzić koło leśniczówki Kuleszy. Zobaczy mnie, wyjdzie, zechce siłą zaciągnąć do domu. Nie potrafię się bronić, bo czuję się słaba. Dostanę krwotoku...

Dziewczyny rozsiadły się wygodniej na krzesłach, wyciągając przed siebie bardzo długie nogi. Luźne dresy kryły ich ciała, ale nietrudno się było domyślić, że obydwie były płaskie, o męskich sylwetkach. Maryn poczuł lęk, że jeśli znajdzie się sam na sam z którąś z tych płaskich kobiet, pożądanie wysączy się z niego podobnie jak przy dziwce w hotelu. Zbudzi się dopiero, gdy w wyobraźni sprowadzi do pokoju obnażoną Weronikę, broniącą się przed gwałtem. Był teraz podniecony, gdyż obok niego siedziała Weronika, przepełniona strachem i wstrętem do mężczyzn, kobieta, którą można mieć tylko siłą. Dziwne, ale od pewnego czasu odkrył w sobie, że coś jak rozkosz sprawia mu budzenie wstrętu i obrzydzenia w Weronice, że pragnie jeszcze raz zobaczyć jej oczy z wyrazem nienawiści. Nie, nie chciał ryzykować, że jak w hotelu będzie długo leżał bezradny obok nagiej dziewczyny, nie pragnąc jej zupełnie.

— Dobrze. Wrócę razem z tobą — kiwnął głową. — Odbiorę zdjęcia z zakładu fotograficznego i pojedziemy popołudniowym autobusem. Ale na przyszłość nie rozbieraj się przy mnie. A przede wszystkim, nie pokazuj mi swoich cycków.

— Mówiłeś...

— Wiem, że nie jesteś prawdziwą kobietą. Ale wyglądasz jak kobieta. Masz piękne ciało. Przyszło mi nawet na myśl, że prezentujesz osobowość, która zachęca do gwałtu.

— To kłamstwo.

— Nie znam się na tym. Być może twój wstręt do mężczyzn wyzwala w nich pragnienie, aby go przełamać siłą. To nie może być przypadek, że ciebie dwa razy gwałcono.

— Nie rozumiem cię.

— Jesteś jak młoda zakonnica. Mieć zakonnicę to jest to, czego się bardzo pragnie. Wiadomo, że poszła do zakonu, bo nie chce mężczyzny, i to jeszcze bardziej pociąga.

W milczeniu dokończyli śniadanie, Maryn zapłacił i opuścili restaurację. Weronika posłuchała jego rady i położyła się na tapczanie, on zaś poszedł do miasta w swoich sprawach. Słowa Maryna trochę ją oszołomiły. Nie zrozumiała ich do końca, podobnie jak nie rozumiała samej siebie. Bo dlaczego nie chciała, aby wziął sobie którąś z tych chudych dziewcząt? Czemu powiedziała, że boi się iść obok leśniczówki Kuleszy, skoro Kulesza — o czym ją ktoś poinformował i chyba wiedział o tym także Maryn — wyprowadził się już na drugi koniec kraju. Nie była przecież zazdrosną o Maryna, ponieważ obiecała mu tę kelnerkę z Gaud. I wcale nie czuła się słabą — mimo zabiegu. Więc o co jej tak naprawdę chodziło? I co on miał na myśli, gdy oświadczył, że takie jak ona ma się ochotę gwałcić, a inne po prostu się pragnie i one się oddają. Twierdził, że nie widzi w niej kobiety, a potem nagle zobaczył, choć sama mu wyznała, że nie jest prawdziwą kobietą. Dlaczego Eryka odeszła od Maryna, choć jak mówiła, nie była o niego zazdrosna? Pokochała innego — a to znaczyło, że Maryn nie wydawał się wart miłości. Ostrzegała Weronikę przed zadurzeniem się w Marynie, co zresztą było bezsensowne, ponieważ Weronika nie mogła się w nikim zadurzyć, gdyż nawet dotyk mężczyzny budził w niej wstręt.

„Chcę go mieć obok siebie, gdyż mnie ciekawi" — podsumowała swoje rozmyślania.

Maryn wrócił z kopertą od fotografa, kolczatką i kagańcem dla psa. Niedbale i trochę wstydliwie położył na stoliku obok jej tapczana — pudełeczko perfum, które używała. Kupowała je zawsze w luksusowych sklepach za pieniądze Horsta Soboty. Znowu zaskoczył ją ten fakt i dlatego podziękowała chłodno.

Była prawie szczęśliwa, gdy ramię w ramię opuścili hotel i skierowali się na dworzec autobusowy. Sprawiało jej przyjemność iść tak obok niego ze świadomością, że jest rosłą kobietą o dużych piersiach, które wypychały jej przód czarnej sukni tak, że guziki ledwie dały się zapiąć. On był przystojny, a ona ładna, ludzie oglądali się za nimi. „Nie jestem taką chudą tyką, jak tamte w kawiarni" — upewniła się w swoim zadowoleniu. Niósł jej torbę i szedł wolno, pamiętając o tym, o czym ona już niemal zapomniała — o wczorajszym zabiegu. Dla niej był to jeszcze jeden powód do zadowolenia, że nie jest wydelikacona, ale prezentuje typ kobiety silnej, zdrowej, stworzonej do ciężkiej pracy. „Jego żona, Eryka, wyglądała na bardzo delikatną. Taka przez trzy dni leżałaby w łóżku po zabiegu". Zadowolenie zmąciła jednak świadomość, że owe delikatne stworzenia bez bólu i lęku otwierały się dla mężczyzn. Ona zaś nie może nikomu niczego takiego ofiarować.

Wciąż nie rozumiała siebie. Gdy przechodzili przez wybrukowany dużymi kamieniami plac, gdzie łatwo było się potknąć, bezwiednie wsunęła dłoń pod ramię Maryna. Wtedy palcami wyczuła przez rękaw marynarki jego mięśnie pod skórą. Kuleszę trzymała pod rękę tylko w chwili ślubu, potem już nie lubiła go dotykać, ponieważ każde takie dotknięcie wyzwalało w nim pożądliwe drżenie warg. A Marynowi niemal uwiesiła się u ramienia i to okazało się nawet przyjemne. Raz dotknęła go swoim biodrem i też odczuła odrobinę przyjemności.

CDN

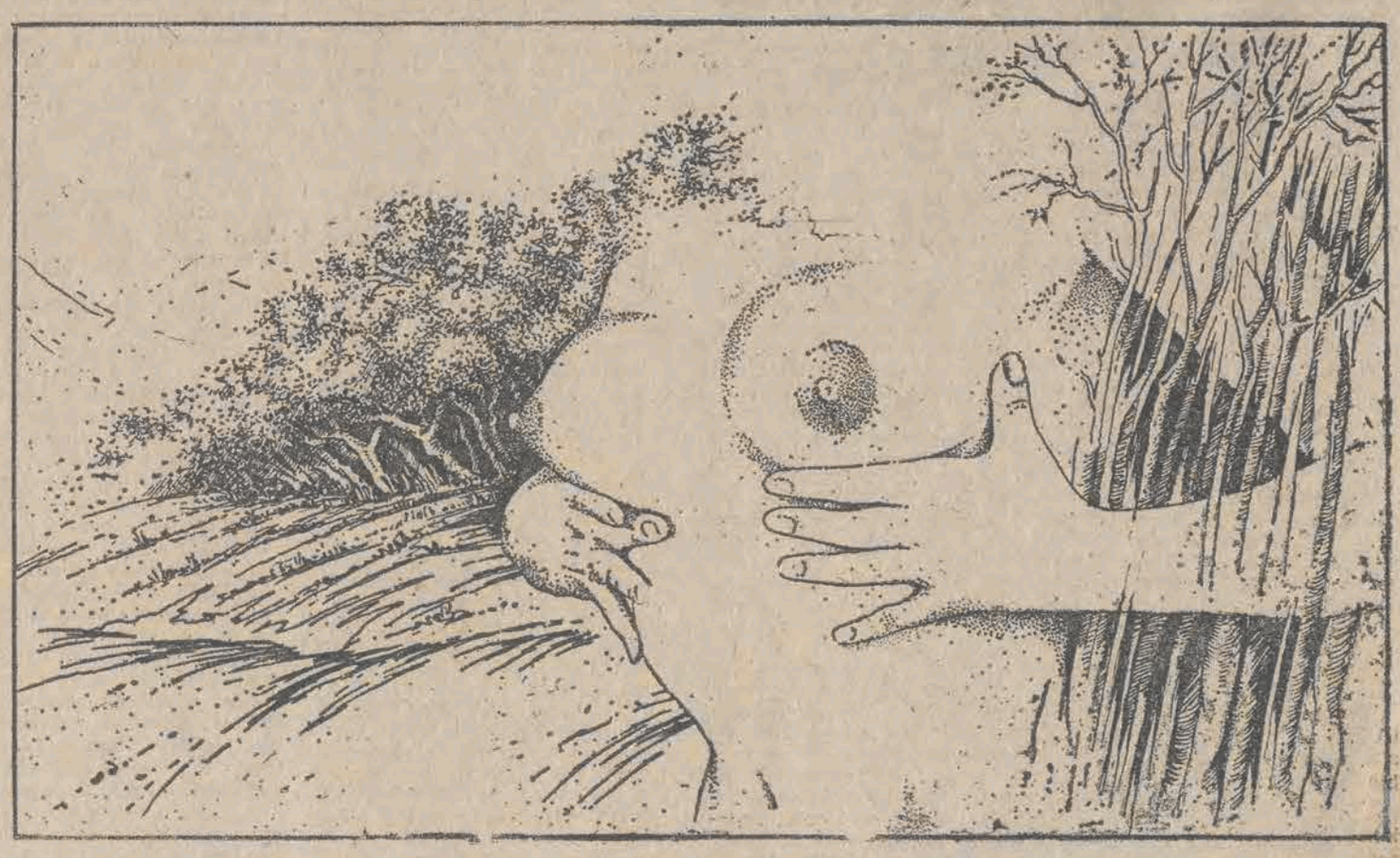

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Odgłosy dodatek świąteczny

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Siedmiu z „Heraklesa"

DARIUSZ DOROŻYŃSKI

Ja „Odys"; „Herakles", gdzie jesteś?
— Pod robotą, idę na redę, a co się stało?
— Mam dla ciebie gościa, dziennikarza, podobno byliście umówieni...

— Dobra, ale musi poczekać, wychodzę teraz po „szweda", za godzinę się u was zameldujęę...

Zjawia się kapitan Michał Bujas, przystojny wysoki mężczyzna w grubym swetrze i — choć nieco zaskoczony wizytą wspólnie ze swymi „podkomendnymi" stara się jak może wtłoczyć w głowę gościa z lądu nieco podstawowych wiadomości o ich robocie. Wiem już, że duże holowniki, takie jak „Neptun" czy „Koral" znajdują się w gestii Polskiego Ratownictwa Okrętowego, a ich, „Odys", jest jednym z serii 10 jednostek zbudowanych od podstaw w stoczni Marynarki Wojennej im. Dąbrowszczaków. Port gdyński dysponuje jeszcze identycznym — „Odyseuszem", pozostałych osiem działa w Gdańsku i Szczecinie. Załoga pracuje w systemie: doba „na okrągło" i dwie wolne, nic więc dziwnego, że dbają o ten dom na wodzie w którym spędzają, jak by nie patrzeć, bez mała jedną trzecią swego życia. „Odys", jak i jego brat bliźniak przystosowane są przede wszystkim do holowania największych jednostek — zbożowców, samochodowców, wszystkich „kopalni". Są dni, gdy — jak twierdzą — nie ma kiedy zjeść śniadania, ale sa i takie, kiedy wciągną jedną, dwie.

Dziś dzień nietypowy — czekają na kartę bezpieczeństwa, co można przyrównać chyba do wpisu o dokonanym przeglądzie technicznym samochodu w dowodzie rejestracyjnym. Ta karta upoważnia ich do żeglugi. Pytam czy taki postój nie ma wpływu na ich zarobki, podobnie jak sytuacja, gdy nie idą do pracy, bowiem ze stosunkowo mniejszymi statkami poradzą sobie inne holowniki. Okazuje się, że w sumie niewielki. Statki zawijające do Gdyni płacą za obsługę według klasy portu (w tym wypadku klasy I) i to co port zarabia rozkłada się na wszystkich. Ilość zawinięć się więc liczy, a nie ilość doholowanych konkretnie przez nich jednostek. Zaś godzina pracy holownika kosztuje średnio 80—100 tysięcy złotych, więc efektywne wykorzystanie różnej wielkości „herosów" jest sprawą bardzo istotną. A zarobki? Nie taki znów „kokosy", wahają się od 15 do 25 tysięcy złotych.

Tłumaczą mi zasadę brania holu, wprowadzania statków, uczę się szybko (na razie notując) nazw wszystkich nabrzeży, których w Gdyni jest, bagatela, ponad trzydzieści. Wiem już, że na Indyjskie wchodzi zwykle zboże i tlenek glinu, na Francuskie — „Batory", Helskie — to kontenerowy terminal, Śląskie, Szwedzkie i Holenderskie obsługują ładunki masowe, a dla odmiany Rumuńskie i Polskie — drobnicę. Nic więc dziwnego, iż łączna długość nabrzeży przekracza sześnaście kilometrów...

Jak po ogień wpada „mój człowiek" czyli motorzysta z „Heraklesa" — Alek Wierzbicki.
— *No, koniec sielanki, zbieraj się do pracy, idziemy na redę...* — rzuca krótko. I zaraz wybucha mała afera, bo okazuje się, że nie mam... przepustki.

W tym miejscu muszę przeprosić Szanowne Władze Portu, bo faktem jest, że zaaferowany niecodzienną dla szarego reportera scenerią portu, wielkich dźwigów, suwnic, stalowych kolosów cumujących przy nabrzeżach — zapomniałem o formalnościach. Szybko jednak nadrabiam zaległości i dzięki życzliwości dyrektora naczelnego Morskiego Portu Handlowego — Hugona Malinowskiego i pracowników wydziału usług żeglugowych — wracam wkrótce na nabrzeże, „do pracy".

„Herakles", porządne chłopaki, już na mnie czeka. Wskakując na chyboczący się pokład, o dziwo, nie wpadam do wody i w sekundę już odchodzimy w kierunku majaczącego w oddali głównego wyjścia z portu. Drapię się na górę, do przeszklonej ze wszystkich stron sterówki, gdzie wita mnie kapitan Piotr Grześ i szef od maszyn Henryk Gołacki. Idziemy na redę po drobnicowiec należący do Chińsko-Polskiego Towarzystwa Maklerów Okrętowych. Idziemy tak na pół „gwizdka", ale że fala niewielka, wiatr trochę się uspokoił, więc z gościem z lądu nie będzie dziś kłopotów...

— *Wczoraj nieźle wiało, szkoda że pana nie było* — uśmiecha się pan Piotr — *dopiero w trudniejszych warunkach można się zorientować jaka ta nasza robota jest czasem słodka.*

— *„Herakles", podejdź z prawej, hol masz gotowy, uważaj tylko na „gruchę"...* trzeszczy czyjś głos w słuchawce przymocowanej do sterowniczego pulpitu.

— *Rozumiem, podchodzę z prawej* — kwituje kapitan i do mnie: — *Już na nas czekają, właśnie rozmawiałem z pilotem, kapitanem żeglugi wielkiej Henrykiem Karczyńskim. Cieszę się, bo to najwyższej klasy fachowiec, doświadczony, bardzo bezpiecznie się z nim pracuje, nigdy nie stwarza niepotrzebnego ryzyka. A na tę „gruchę" dziobową rzeczywiście trzeba uważać, bo statek pusty i ma płytkie zanurzenie.*

Holownik wykonał między nabrzeżami zgrabny łuk i wyszliśmy poza portowe falochrony. Coraz wyraźniej majaczy przed nami sylwetka statku z białymi literami „PRACA" na dziobie.

— On stoi czy płynie? — przy naszej szybkości trudno się w pierwszej chwili zorientować.

— *Niby stoi, to znaczy dryfuje, bo wiatr go pcha, ale nie powinno być większych kłopotów* — tłumaczy mi Grześ, wpatrzony w zbliżającą się w szybkim tempie stalowoszarą ścianę.

— *Dajcie „lejce", ale z jednej rolki, nie z dwóch* — uzgadnia pan Piotr z pilotem.

Dochodzimy z prawej burty, z góry zwieszają się dwie potężne cumy, ale chyba było za szybko, bo mijamy je w odległości dwóch-trzech metrów.

— *Ucieka mi, cholera, bo wiatr go dryfuje, ale nic, złapiemy go inaczej* — dźwignia „gazu" leci w drugą stronę, podłoga sterówki zaczyna mocniej wibrować pod stopami — idziemy „na wstecznym". Kapitan odwrócony tyłem do swego pulpitu wpatruje się w jeden tylko cel —powiewające na wietrze cumy.

Przyglądam się z satysfakcją wszystkim jego manewrom — są szybkie, ale znakomicie wyważone, bez chwili wahania. On sam, uśmiechnięty, spokojny, jakby kierował zabawką, a nie ważącym ponad 300 ton holownikiem.

Wychylam się ze sterówki i widzę, że na pokładzie dwóch uzbrojonych w bosaki drybiasów stara się dosięgnąć zwisających ze stalowej ściany nad nami lin. Jest! Jedna cuma złapana, po chwili druga. Obie wędrują na potężny hak usytuowany w centralnej części pokładu, co potwierdza okrzyk z dołu:

— *Na haku!*

Znów podłoga dudni zmienną pracą silników, idziemy już do przodu.

— *„Herakles", to było ładne, teraz daj w prawo, pomogę ci maszyną...*

— *Dziękuję, idę w prawo.*

Obie liny naprężone, holownik jakby mocniej przysiadł na fali, silniki łomoczą miarowo; powoli kolos za nami zaczyna się obracać w kierunku wejścia do portu. Znów skrzypi w słuchawce:

— *Herakles, wszystko w porządku? Jak za szybko to powiedz...*

— *Dobra, tak jest okay, można iść...*

No i idziemy spokojnie, z szybkością 4—5 węzłów. Nasz cel to nabrzeże Czechosłowackie, odległe o jakieś dwie mile, a pan Piotr, doskonały w roli nauczyciela, cierpliwie tłumaczy: co to „bramka" na głównym torze wejściowym do portu, do czego służą świetlne „nabieżniki" i jak często we mgle korzystać muszą z radaru, bo „mleko" ogranicza widoczność do tego stopnia, że ani kei nie widać, ani dziobu holowanego statku.

Przechodzimy powoli obok lewej „główki". Oglądam się do tyłu i widzę, że od falochronu odchodzi powoli jeszcze jeden holownik „Achilles". Wiem już, że weźmie udział w całej akcji dobijania do nabrzeża, a jego rola polegać ma na dopychaniu „PRACY" z boku. Grześ obraca się często śledząc zachowanie się drobnicowca, zaczynamy stopniowo wytracać prędkość, manetka „gazu" od dłuższej chwili znajduje się w pozycji „wolno naprzód". Zbaczamy lekko w prawo, zbliżając się do zakrętu. Po lewej stronie tak zwane nabrzeże pilotowe, kilka otulonych w płaszcze damskich sylwetek zawzięcie wymachuje rękoma. To nie do nas, czekają na swoich, z załogi „PRACY".

Mijamy kolejne nabrzeża. Obecni od paru nastu minut w sterówce starszy marynarz Wojciech Ziółkowski i marynarz Harry Czułowski też znają gdyński port jak własną kieszeń; śmigają nazwami różnych jednostek, tłumaczą ich przeznaczenie. Przesuwają się powoli potężne sylwetki pływających elewatorów na materiały sypkie, miga opodal smukła sylwetka naszego flagowego okrętu — niszczyciela rakietowego „Warszawa".

— *Uważaj „Herakles", on mi coś ciężko kręci...* — dobiega ze słuchawki.

— *Dobra, przechodzę na lewo, zobaczymy...* Wykonujemy zgrabny manewr.

— *To poproszę na środek Czechosłowackiego i teraz powolutku...* — A po chwili: — *„Herakles" on mi ucieka, weź go delikatnie w prawo...*

Mijamy właśnie kompletnie zardzewiałego „Paderewskiego". Ponoć forby nie staje, by po kilkumiesięcznym rejsie przywrócić mu świetność.

— *Marian, ciągnij maksymalnie* — to my do szypra z „Centaura" Mariana Rodziewicza, nawiasem mówiąc wychowanka Grzesia, który na „Heraklesie" stawiał kiedyś swoje pierwsze kroki... Dziś ma za zadanie hamować statek od strony rufy.

Bardzo wolno, ale jednak posuwamy się do przodu. Na nabrzeżu, oprócz rodzin marynarzy z „PRACY", pojawili się już cumownicy, do nich należeć będzie „przywiązanie" drobnicowca, ale wcześniej musimy im go zgrabnie podstawić, niemal co do milimetra. Krzyżują się fachowe polecenia:

— *Jeszcze mocniej „Centaur", odciągaj „Herakles", trochę bardziej na wodę...*

„Achilles" dotknął już dziobem prawej burty szarego kolosa, kotłująca się za rufą holownika woda wskazuje, że nadszedł decydujący moment: dopychanie statku do nabrzeża. Tenże holownik, jak mi opowiadają gospodarze, wyposażony jest w oryginalny system napędu: śruba pracuje cały czas do przodu, natomiast stopień ustawienia płetw sterowych wyznacza kierunek poruszania się „Achillesa".

Jakoś ciasno się zrobiło między nabrzeżami. Nie dość, że weszliśmy w „ślepy zaułek", to jeszcze z boku blokuje nas „Pilot 8". Ale niczym nie zrażony pan Piotr nadal cierpliwie „odciąga, dokłada, napina". No ładnie, zostało nam parę metrów wolnej przestrzeni, z trzech stron beton, z tyłu, z lewej — „PRACA". Na dodatek szyper oświadcza, że trzeba chłopakom na brzegu pomóc i spróbuje oddać im z holownika na brzeg cumy.

Obaj marynarze jak duchy zniknęli ze sterówki, a ja znów podziwiam mistrzowskie opanowanie maszyny przez szefa „Heraklesa". Kręcąc się w miejscu niczym bąk, delikatnie wycofuje do nabrzeża, dosłownie o milimetry od betonowych ścian.

— *Cholera, po co oni wyluzowują cumy!?* — dobiega z pokładu i w tej sekundzie widzę, że Grześ przerzuca ster i znów czuję to wibrowanie pod stopami. Na moment, po czym silniki cichną. — *Musiałem dać stop, żeby mi śruba cumy nie złapała* — tłumaczy i spokojnie zapala papierosa. — *Nic się pan nie martw, jakoś wyjdziemy z tej dziury...*

Widzę, że cumy już na lądzie, przód statku unieruchomiony do nabrzeża. Pan Piotr pochyla się nad pulpitem:

— *Ja skończyłem, liny podane, wydmuchałeś się już z tyłu? Dobra, odchodzę...*

— *No fajnie, dziękuję panie Piotrusiu i kłaniam się* — głos pilota z wyczuwalnym uznaniem zakończył jeszcze jedną tego dnia operację w porcie.

Znów dudnią potężne diesle, migają szprychy sterowego koła, wykonujemy niemal ekwilibrystyczny wiraż i wąskim, niczym dla kajaka szlakiem wydostajemy się na szerokie wody.

— *A może pan ma ochotę?*

Propozycja jest nęcąca. Łapię więc za koło sterowe i uważnie słucham instrukcji.

— Tu jest kompas, jedź pan na sześćdziesiątkę, albo jeszcze prościej, o, na główkę przy wyjściu, potem wykonamy mały wiraż za Czechosłowackim...

No i jadę. Niby nic trudnego. Jakoś tej sześćdziesiątki nie mogę utrzymać, więc staram się trzymać kurs na portową „bramę". Holownik posłusznie choć z lekkim opóźnieniem reaguje na niewielkie nawet obroty kołem. Jadę prosto, jak strzelił i dopiero ryk śmiechu z tyłu uświadamia mi, że jednak nie wszystko jest w porządku.

— *No, piękną żmiję żeś pan odwalił!* — wskazują do tyłu i faktycznie, kilwater za rufą pokręcony, jakby go pijany na wodzie rysował...

Na razie przerwa, czekamy na wezwanie. Chłopaki zakrzątnęli się szybko i po chwili wjeżdża do małej, przytulnej messy taca z kubkami parującej kawy. Poznaję jeszcze dwóch z siedmioosobowej załogi holownika — bosmana Jerzego Furmańczyka i marynarza Józefa Pinkera. Jest nareszcie chwila spokoju, można porozmawiać.

Panu Piotrowi minęło niedawno 31 lat pracy w wydziale usług żeglugowych, z tego 22 — na holownikach.

— *Jako młody chłopak rzeczywiście wyżywałem się w tej robocie, dziś myślę czasem, że chętnie bym został choćby leśniczym, ot, spokojna praca, bez niespodzianek i niebezpieczeństw. A tu jednak cały czas się odpowiada za ludzi i sprzęt wartości kilkudziesięciu milionów. Ale gdzież tam o tym myśleć, za stary jestem, a i przyzwyczaiłem się...*

A robota jest niebezpieczna. Opowiadają, jak potrafi się zachować źle wybrana cuma; zerwana, z potworną siłą zmiata wszystko po drodze. Grześ wspomina przypadek, gdy taka lina wyrżnęła w nadbudówkę, aż ściana pękła i przymocowane doń przyrządy. A jeśli na drodze znajdzie się człowiek — lepiej nie mówić, może paskudnie pokaleczyć. Nie chcą zresztą wspominać o tragediach, a były i takie, kiedy zerwana cuma wyrzucała nieszczęśnika za burtę. Toteż zasada jest jedna — gdy hol na haku załoga musi błyskawicznie zniknąć z pokładu.

— *Naprawdę niech pan żałuje, że dziś tak spokojne morze* — wtrąca Czułowski — *gdy wiatr wschodni, od morza, a jeszcze deszcz, śnieg albo mgła — wtedy mamy tu prawdziwe emocje. Często nie mamy czasu nawet się wysuszyć. Holownik jest niski, przy wysokiej fali często w ogóle nas nie widać. Wyjdę raz z bosakiem, nogawki podciągnę, a fala przez pokład się przewali i mokry jestem kompletnie. Przebiorę się, ale wyjść na zewnątrz muszę — i sytuacja się powtarza.*

Siedziałbym tak godzinami i słuchał, słuchał. Opowieści o wprowadzaniu stutysięczników, gdy do takiego „Kasprowego" wychodzi nieraz i pięć, i sześć holowników, a wszystkie mają pełne ręce roboty, by takiego kolosa obrócić w porcie. Wspominamy słynną historię samochodowca, który zerwał się parę lat temu ze stoczni, by porozbijać kilka jednostek, w tym holowników (jednego wręcz pod wodę wcisnął). Chyba w siódemkę próbowali go wtedy złapać i nie dawali rady, wyhamował dopiero na barkach przy Fińskim.

Jeszcze marynarze prezentują mi swoje kabiny, kuchnie, wyciągają na najwyższy „pokład", nad sterówką, gdzie na małej platformie umieszczono pianowe działko gaśnicze. „Herakles" może być bowiem użyty w tak zwanym drugim rzucie ratowniczym.

Już noc, jarzą się koraliki światełek na statkach na redzie, na nabrzeżach, potężnych stoczniach. Malowniczy to widok. Ktoś krzyczy z dołu. To obok na „Odysie" odpalili silnik, biorą cumy.

— *Karta podbita, idziemy pod robotę* — macha mi ręką ich bosman, Kazik Bemke — *do zobaczenia i czekamy na gazetę...* — reszta słów zginęła w łoskocie silników i buzowaniu wody za rufą. Wywinęli zgrabną woltę i ostro poszli w kierunku wyjścia z portu.

Harry Czułowski pogrzebał w jakiejś szufladzie i z zagadkowym uśmiechem wyciągnął potężną lornetę.

— *Niech pan zerknie, nawet statki na redzie widać precyzyjnie...*

Czemu nie, przyłożyłem lornetkę do oczu, poprawiłem ostrość; no, rzeczywiście, widoczność była wspaniała, tylko czemu oni z tyłu znów zaczęli chichotać?

Już w drodze do Łodzi zerknąłem przypadkiem w samochodowe lusterko. Wokół oczu miałem piękne, zielone obwódki. Musieli czymś tę cholerną lornetkę wysmarować. Cóż, frycowe każdy kiedyś płaci. Ale i tak ich lubię i wdzięczny jestem za kilkugodzinne spotkanie ze zręcznym, silnym „Heraklesem"...

■

Konie

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

Nie ma kto wierzyć chorążemu

WŁADYSŁAW MALKA

Mężczyzna siedzący na inwalidzkim wózku ma 88 lat. Ubrany jest w tanią marynarkę, koszulę w kolorze rdzy, której kołnierzyk ściśnięty jest krawatem oraz grube tweedowe spodnie, nie zapięte, ledwo ściągnięte paskiem.

Pokój, który zamieszkuje, rok temu stał się jego domem.

— *Luksusowe więzienie!* — mówi o nim z pogardą w głosie. Widać, że ma właściwy dystans do tej sprawy, chętnie by to rzucił w diabły, ale nic nie da się już zrobić. Ten przeklęty czas, który miele bez ustanku, niczym nieziemski młyn, pochłania wszystko i wszystkich. Nie można mu się oprzeć

— *Nikt mu się nie oprze! Przyjacielu! Pan także nie!*

Mężczyzna był kiedyś przystojnym brunetem i mierzył 185 centymetrów wzrostu. Nie było to bez znaczenia dla jego późniejszych losów.

W pokoju unosi się zapach stęchlizny, stuletnich rupieci, moczu, lekarstw, plwocin, starości, która przekroczyła barierę buntu. Ten zapach przenika ubranie, nasiąka nim skóra na twarzy i rękach.

Ściany pokoju ozdobione są myśliwskimi trofeami: skóry dzików, poroża, pośrodku olbrzymie bawole rogi.

— *Te rogi* — powiada, obracając wózek w ich stronę — *należały do potężnego wołu, który przywędrował wraz z carską armią jako naturalny prowiant. Kiedyś nie było konserw. Za armią ciągnęły stada bydła i owiec, które szlachtowano na miejscu.*

Jest tu także olejny obraz, na którym chłop pochyla się nad drewnianą sochą, którą ciągną dwa flegmatyczne woły. Socha rozcina wilgotną glebę na równe brunatne pasma. Nabierają one czerwonej barwy pod wpływem zachodzącego słońca. To Ukraina.

Stary człowiek urodził się w Kijowie. Ojciec był ukraińskim młynarzem, matką Polka Żaden ewenement w tamtych czasach i w tamtej części Europy. Kiedy wybuchła I wojna światowa, rocznik 1897, do którego należał, spędzał ostatnie przedmaturalne wakacje. W gimnazjum był w jednej klasie z Goldą Meir, przyszłą premier Izraela. Siedziała w ławce za nim. Czuł jej wzrok na swoich plecach. Już wtedy lubiła wszystkimi komenderować. Nie była w klasie lubiana. Pewnego razu, z zemsty, podczas obrzucania się gałkami śniegu, wlepił w środek spory kamień. Oko miał celne: Golda Meir krzyknęła z bólu.

Kiedy wspomina ten banalny epizod ze swojego przepastnego jak studnia życia, cień uśmiechu przenika po jego zwiędłej twarzy. Widzi siebie, wysokiego chłopca, szukającego wzrokiem szczupłej dziewczyny o ciemnych poskręcanych w gęste pukle włosach i swoje ręce nieubłaganie gniotące kulę ze śniegu...

Wtedy, w 1914 roku, nie podjął nauki w ostatniej maturalnej klasie. Wraz z całym rocznikiem znalazł się na przyśpieszonym szkoleniu wojskowym. Była wojna, a ona wywraca cywilne, uśpione życie do góry nogami.

Po paru tygodniach intensywnego szkolenia wysiada na dworcu w Petersburgu. Zbierają ich na wielkim manežu. Trwa przegląd zmobilizowanych. Kiedy staje przed komisją, po dokładnych oględzinach, podchodzi do niego jakiś podoficer. Kredą rysuje mu na plecach cyfrę 4. Tak, warunki zewnętrzne ma bardzo dobre, wysoki brunet, w sam raz jak na 4 pułk imperatorski. Jeśli podoficer namaluje cyfrę 1, to jej właściciel jest wysokim blondynem, jeżeli 3, to jest wysokim rudzielcem z lekko zadartym nosem i wtedy ma zaszczyt służyć w pułku 3 imienia cara Piotra I, którego natura obdarzyła wybujałym wzrostem, rudawym odcieniem włosów i lekko zadartym nosem. Cały pułk żołnierzy ma być podobny do cara-protoplasty.

Na razie cyfra 4 prowadzi go jak innych wysokich brunetów na front. Jest rok 1915, gdzieś pod Gorlicami wkracza w piekło wojny. W siódmym dniu walk kula przebija mu nogę pod kolanem. Dosyć szybko dochodzi do zdrowia, ale wojskowi lekarze orzekają, że nie jest zdolny do służby frontowej. Ponownie pojawia się w Petersburgu. Tym razem przydział wprawia go w osłupienie: Carskie Sioło, rezydencja carów! A więc tu prowadzi go wreszcie cyfra 4 nakreślona na jego plecach ręką jakiegoś podoficera...

Pałac z lotu ptaka przypomina literę „E", E, jak Jekaterina, żona Piotra I, pierwsza pani tych dóbr. Nocami puste pałacowe korytarze oświetlone są wielkimi żyrandolami. Ale i tak nic nie jest w stanie przeciwstawić się panującej w nim atmosferze niepokoju. Całymi tygodniami nie widać nikogo z rodziny carskiej. Carowa, Aleksandra Fiodorowna, ubrana w strój siostry zakonnej przemyka się korytarzami jak cień. Pod koniec życia staje się przesądna. Kamiennych olbrzymów strzegących okien w centralnej części pałacu, którzy mieli pozłacane głowy, każe zamalować na czarno, kiedy wracając do Carskiego Sioła widzi z daleka blask bijący od nich w zetknięciu z promieniami słońca. Ma wrażenie, że pałac płonie...

Częstym gościem w pałacu jest Rasputin. — *Antypatyczny typ* — twierdzi człowiek na inwalidzkim wózku. Widuje także księcia Feliksa Jusupowa, późniejszego zabójcę mnicha. Car pokazuje się bardzo rzadko. Większość czasu spędza w kwaterze głównej w Mohylewie. Jeśli przechodzi obok, zdaje się nie dostrzegać wyprężonego oficera. Jedynie księżniczka Tatiana ma żywsze usposobienie. Pewnego razu, idąc korytarzem, zatrzymuje się przed chorążym. Na jej szyi spoczywa mieniący się w świetle żyrandoli naszyjnik. — *Podoba ci się?* — pyta. I nie czekając na odpowiedź, odchodzi, wybuchając śmiechem.

Służba w pałacowych korytarzach nie jest zbytnio uciążliwa. Spoczywa na nich osobliwy obowiązek: być w sposób jak najmniej rzucający się w oczy. Wszyscy reprezentują ten sam typ urody, te same mundury, ten sam wzrost. Kiedy stają przed lustrem w gotowalni, widzą prawie identyczne twarze.

Pułk jest wyselekcjonowany, ale w nim blisko 70 proc. analfabetów. W kantynie sprzedawane są zestawy gotowych listów: do matki, do ojca, do brata, do narzeczonej. Przychodzi żołnierz i prosi o list do matki. Podoficer sięga tylko ręką do odpowiedniej przegródki i oto żołnierz ma przed sobą gotowy list. Wystarczy postawić trzy krzyżyki...

Pułkiem dowodzi oficer pochodzenia niemieckiego. Jego nazwiska żołnierze uczą się tygodniami. Kiedy wydaje rozkazy adiutant stojący pół kroku za nim tłumaczy je na rosyjski.

Aleksandra Fiodorowna jest przecież księżniczką niemiecką, dawną Alicją Hesse-Darmstad. Lubi otaczać się Niemcami. Oficer będący tak blisko dworu powinien być Niemcem. Za jej przyczyną dwór carski jest w owym czasie przesiąknięty nastrojami germanofilskimi. Nie bez kozery podczas toczącej się niepomyślnie dla Rosji wojny, pod adresem dworu niejednokrotnie padnie zarzut o zdradę. Wiele tajemnic państwowych o dużej wadze przedostanie się do Wilhelma II poprzez podpetersburską rezydencję.

Zimą 1916 roku chorąży otrzymuje urlop. Nie pojedzie jednakże do Kijowa. Jego rodzice już nie żyją. Ma jeszcze stryja, ale ten z powodów politycznych zesłany został na Syberię. Postanawia tam jechać.

Podróż jest długa. To nawet nie podróż, lecz wyprawa. Od Tomska, do którego dociera po kilku dniach, do Barłauku, gdzie osiedlił się stryj, jest jeszcze 150 kilometrów. Pokonuje je wynajętym psim zaprzęgiem. Owinięty w wielbłądzią skórę, dobrze chroniącą przed zimnem, podróżuje w ten sposób ponad tydzień.

W Barłauku okazuje się, że stryjowi wiedzie się niezgorzej. Na każdego ze swoich pięciu synów otrzymał po 100 mórg ziemi. Jeżeli uda się pszenica, pieniędzy jest sporo. Latem, jedyny raz w roku, stryj robi wyprawę do Tomska. Przywozi naboje, naftę, świece, sól, cukier i wiele innych rzeczy. Wszystko, co jest potrzebne, żeby przeżyć okrągły rok.

Stryj jest zawołanym myśliwym, a Syberia jest dla myśliwych istnym rajem. Po cenne futra docierają tu żydowscy i rosyjscy kupcy. Płacą dobrze. Chętnie nabywany jest puch z kaczek syberyjskich.

— *Przyjacielu! Ten puch tkany razem z płótnem dawał tkaninę o jakiej się dziś nikomu nawet nie śni! Szyte z niej były damskie peleryny. Nosiły je aktorki i panie z wyższych sfer. Tkanina była lekka i ciepła, a deszcz spływał po niej jak po ceratowym płaszczu. Metr tej tkaniny kosztował 500 rubli! To była fortuna!*

Pewnego dnia stryj wychodzi przed dom i mówi do synów:

— *No! Pogoda w sam raz! Idziemy postrzelać! A na dworze minus 45 stopni! Kiedy upuszczasz piórko na śnieg, nie opada ono lekko kołysząc się. Ciągnie do dołu w linii prostej jak drut. Taki mróz!*

Urlop dobiega końca. Żegna się ze stryjostwem i ich synami. Znowu wsiada do sanek, do których zaprzęgnięte są silne syberyjskie psy. Będąc już w drodze powrotnej musi jednakże telegrafować do Carskiego Sioła i prosić o przedłużenie urlopu, gdyż nie starcza go na dotarcie na czas.

W pałacu atmosfera coraz cięższa. Wydaje się, że powietrze jest naelektryzowane, tak jakby cała Rosja wstrzymała oddech i oczekiwała czegoś nieuchronnego.

W nocy z 16 na 17 grudnia 1916 roku do willi księcia Jusupowa w Petersburgu zwabiony zostaje Grzegorz Rasputin. Otrzymuje kielich zatrutego wina. Mnich jednak coś podejrzewa, wylewa wino za siebie. Wstaje i chce odejść. Wtedy książę Jusupow wyciąga pistolet i z bliska strzela do niego. Rasputin, syberyjski chłop, ma jednak silny organizm, słaniając się na nogach, idzie w kierunku drzwi. Padają następne strzały. Spiskowcy wrzucają ciało Rasputina do Newy.

Chorąży jest później świadkiem, jak ciało mnicha wydobywano z przerębla. Rasputin leży wystawiony na widok publiczny na Polu Marsowym. Na jego piersi połyskuje wysadzany brylantami krzyż. Jakiś student podbiega i zrywa go jednym ruchem ręki.

Historia jakby podcięta batem zaczyna toczyć się coraz prędzej. Rewolucja lutowa odbiera władzę carowi. 2 marca 1917 roku car zmuszony zostaje do abdykacji. Powraca do Carskiego Sioła. Jest więźniem stanu.

Późną jesienią rodzina carska ucieka z Carskiego Sioła. Chorąży z sześcioma żołnierzami wyrusza pośpiesznym pociągiem za uciekinierami. Podobno wykupili bilety do Witebska.

Na stacji w Witebsku każe żołnierzom obstawić wyjścia. Staje w poczekalni. Dostrzega księżniczkę Tatianę. Ona jego także. Daje jej znak, żeby podeszła. Szeptem udziela instrukcji, jak ma teraz postąpić. Lepiej, żeby car nie został rozpoznany przez przebywających na stacji ludzi. Wkrótce uciekinierzy w komplecie oczekują już na peronie. Car ma zgoloną brodę. W milczeniu sadowią się w przedziale pociągu jadącego do Petersburga. Wysiadają na stacji Carskie Sioło. Niezwyczajni podróżni, dla których czas się zatrzymał.

Car jest przybity. Chodzi w cywilnym ubraniu. Co robi car podczas krótkich jesiennych dni, kiedy historia skręca się w porodowych bólach? Otóż car rąbie drzewo! Rozebrany do koszuli, całymi godzinami rozbija siekierą pocięte pieńki, których mu nazwożono cały stos. Setki zaś ludzi uwieszonych parkanu otaczającego posiadłość nie spuszczają zeń oka. Przyglądają się, jak car rąbie drzewo. Całe wieki musieli czekać na ten widok!

Car i jego najbliższa rodzina wywieziony zostaje po trzech tygodniach do Tobolska. Po wybuchu rewolucji październikowej wyekspediowany zostanie do Jekaterynburga. 17 lipca 1918 roku rozstrzelany zostanie w zbiorowej egzekucji wraz z pozostałymi członkami rodziny Romanowych na rozkaz Uralskiej Rady Obwodowej, kilka dni przed opanowaniem miasta przez zrewoltowany korpus czechosłowacki i białych uralskich Kozaków.

Po wyjeździe rodziny carskiej do Tobolska chorąży nie ma już co robić w Carskim Siole Mimo to pozostaje, czeka na rozwój wydarzeń. Lotem błyskawicy dociera tu wieść o wybuchu Rewolucji Październikowej. Wieczorem, na mroźnym powietrzu, żołnierze urządzają mityng.

Chorąży wraca pystynni parkowymi alejami do kwatery, która mieści się w prawym skrzydle pałacu. Mokry śnieg przylepia się do wysokich butów. Co ma ze sobą zrobić? Wyjechać? Dokąd?

Jego pułk niebi
szy wojskowym
tem na połud
rają do Czerk
taj chorąży spędz
W tym czasie pułk wraz z ko
lejnymi porami roku stopniowo kurczy się, karłowacieje, rozprasza w bezkresie stepów.

W listopadzie 1918 roku na olbrzymich terytoriach wschodniej Europy ujętych w żelazne kleszcze niemieckiej okupacji, niemalże z dnia na dzień dochodzi do rozpadu wilhelmińskiej armii. Niemcy podpisują bezwarunkową kapitulację. Z Ukrainy kolumny żołnierzy powracają do Niemiec. Są na ogół bez broni.

Upada proniemiecki rząd hetmana Skoropadskiego usadowiony w Kijowie. Na miasto uderzają siły wyzwoleńcze. Uderzenie to jest tak gwałtowne, że żołnierze z niemieckiego garnizonu nie mogąc przedostać się na drugi brzeg przez zablokowany most, pokonują Dniepr wpław. Setki z nich tonie w nurtach rzeki. Skoropadski do tego stopnia zaskoczony jest rozwojem wypadków, że w najwyższym pośpiechu, w skarpetkach, opuszcza swoją kwaterę i ledwo zdąży przedostać się na drugą stronę Dniepru.

— *Przyjacielu!* — powiada człowiek na inwalidzkim wózku. — *Byłem jednym z tych, którzy wypędzili Skoropadskiego z Kijowa. Po tym wszystkim wyjechałem do Polski.*

Raptem milknie. Zamyka się w sobie jak małża. Nic już nie powie o tamtych czasach, a na te, które nastąpią później machnie lekceważąco ręką. Bagatela! Blisko siedem dziesiątek. Na koniec poruszy się niespokojnie:

— *Przyjacielu! Żebym nie miał przez ciebie kłopotów! Kiedyś próbowano już we mnie wmówić, że byłem generałem!*

Bierze za szklane ucho kubek, w którym jest kompot z czerwonych porzeczek. Pociąga krótki łyk. Zasępia się.

Kobieta, która kocha...

Łodzianka MARIA PROBOSZ, absolwentka Wydziału Aktorskiego PWSFTviT w Łodzi (z 1983 roku), aktorka Teatru Dramatycznego w Warszawie, zrobiła błyskotliwą karierę filmową. Rzadko się bowiem zdarza, aby 24-letnia dziewczyna notowała na koncie 22 role, w tym wiele głównych.

— Po kim ta oszałamiająca uroda?

— Po tatusiu i po moim dość konsekwentnym kreowaniu się już od najmłodszych lat na moją ulubioną aktorkę „kobietę-dziecko" Brigitte Bardot.

— W którym roku życia uświadomiła pani sobie, że może być tylko i wyłącznie aktorką?

— Gdy miałam lat 6, wybrałam się z mamą na słynny w Łodzi spektakl „Trędowata" i w przerwie zwierzyłam się mamie, że muszę być aktorką. Mama śmiała się i przypomniała, że mam zostać lekarzem lub siostrą miłosierdzia, osobą, która zawsze gotowa jest nieść pomoc chorym. Byłam zdziwiona i oburzona, krzycząc: „Mamusiu, przecież ja rzygam na widok krwi!".

— Kobiety chyba pani nie lubią?

— Mam bardzo mało koleżanek i przyjaciółki zmieniałam bardzo często. Moją pierwszą prawdziwą miłością był nie młody chłopak, lecz dojrzały mężczyzna, starszy ode mnie o 20 lat. Byłam z nim 6 lat i bardzo go kochałam. I dziś, gdybym miała reżyserować swoje życie od początku, postąpiłabym tak samo.

— A ten przyjaciel poeta, który wysłał pani fotki na konkurs filmowy „Hyde Park — kto nas zatrudni w filmie", zorganizowany przez „Szpilki"?

— To była szkolna przyjaźń z okresu szkoły podstawowej. Mieliśmy wtedy po 14 lat. Nie bardzo wierzyłam w jego pomysł i ogromnie się zdziwiłam, gdy zostałam zaproszona na zdjęcia próbne do filmu „Czy jest panna na wydaniu" Janusza Kondratiuka. A później jeszcze bardziej się zdziwiłam, gdy wygrałam konkurs w TV: „Kto nas zatrudni w filmie".

— Dalsze konsekwencje tego pierwszego sukcesu?

— Dalszych konsekwencji w sensie angażowania do filmu nie było. Zdarzały się angażowania prywatne, ale z tych propozycji nie skorzystałam. Za to zdałam do szkoły aktorskiej w Łodzi z pierwszą lokatą.

— A mówiono, że pani egzaminy wstępne zostały suto opłacone przez pani ówczesnego narzeczonego.

— Znam te plotki, wymyślone przez młodsze i starsze koleżanki, a także i przez panów, którzy nie mieli u mnie szans. Ówczesny narzeczony zabronił mi zdawać do szkoły, ponieważ wiedział, że jeżeli znajdę się w szkole filmowej, to życie z nim straci dla mnie sens. Co prawda on jako pierwszy wiedział, że będę aktorką, czego mi życzył, ale przy świadomości, że fakt dokonany spowoduje, iż wtedy nie będę z nim. I tak się stało. Do szkoły teatralnej weszłam bardzo znienawidzona przez koleżanki. O wymyślonych przez nie plotkach dowiaduję się do tej pory. Na przykład ostatnio usłyszałam, że Krzysztof kupił mnie od rodziców za pieniądze. Podczas, gdy ja spóźniłam się na egzamin ze scen aktorskich i miałam duże kłopoty na uczelni. Prawda jest, iż kupił mi piękne mieszkanie i chciał, żebym zdawała na wydział wokalno-aktorski Akademii Muzycznej w Łodzi.

— Co na to rodzice?

— Rodzice rozwiedli się, gdy miałam 15 lat. Bardzo to przeżyłam, otrułam się i wylądowałam w szpitalu, gdzie zrobiono mi sondowanie żołądka, czego po raz drugi nie chciałabym przeżyć. Wkrótce potem usamodzielniłam się i postanowiłam żyć na własny rachunek. Rok później spotkałam Krzysztofa.

— Jak trafiła pani do filmu po raz drugi?

— Do szkoły teatralnej przyszli faceci z filmu i zaczęli się rozglądać za dziewczynami, odwiedzili nas w garderobie, gdzie moje koleżanki zaczęły robić różne, dziwne miny, a ja nie przerywałam malowania się przed lustrem. I wtedy jeden z nich powiedział: „To ta, o taką nam chodzi, czy mogłaby pani wyjść z nami, bo chcemy zrobić pani kilka zdjęć w plenerze?" — Dobrze — odpowiedziałam i wyszłam z filmowcami. Film nazywał się „Karabiny".

— Już w następnym filmie „Punkty za pochodzenie" miała pani scenę pod prysznicem?

— Scena pod prysznicem była zupełnie przypadkowa, bo skończyłam zdjęcia do tego filmu i nie rozbierałam się. Pewnego dnia zatelefonował do mnie Franciszek Trzeciak i powiedział, że mam jeszcze jeden dzień zdjęciowy, bo niezbędna jest pewna szalenie istotna scena w filmie. Pojechałam, rozebrałam się, zagrałam, a później w Filmowym Serwisie Prasowym przeczytałam, że do tej sceny namówił Trzeciaka sam Grzegorz Królikiewicz, kierownik zespołu „Aneks", z sobie tylko znanych powodów.

— Kręcąc kolejny film „Niech cię odleci mara" uwiodła pani aktora.

— Na pierwszym spotkaniu z Andrzejem Barańskim usłyszałam pytanie: — czy zdoła pani uwieść naszego bohatera? — A kto go gra — zapytałam. — Marek Probosz. Był to mój kolega z roku i wiedziałam, że zrobię to bez trudu. Scenę erotyczną Marek potraktował bardzo poważnie, byłam zaskoczona, ale jednak udało mi się go uwieść. Potem zaproponował mi współpracę w szkole nad dramatem O'Neilla „Daleko od Sodomy". Po trzech miesiącach tej wspólnej pracy wzięłam z nim ślub.

— Co zawdzięcza pani swemu mężowi?

— Bardzo dużo, to on ukształtował mnie jako kobietę, aktorkę, osobowość. Dodał mi wiele siły, temperamentu, agresji, co w zawodzie aktorki jest bardzo potrzebne.

— Zdecydowała się pani na rolę homoseksualisty w „Ścisłym nadzorze" Geneta?

— Namówił mnie do tego mąż, ale reżyserem był Wiktor Grodecki, który przełamał moje obawy. Nienawidziłam go i kochałam, ale też i on jest współwinnym za to, jaka teraz jestem. Dla mnie jest to geniusz, szkoda, że pracuje obecnie w Hollywood.

— Co było ciekawego w tej roli?

— Marzyłam, żeby zagrać coś odmiennego od swego wizerunku utrwalonego w oczach ludzi z branży filmowej i spoza niej. Po długo trwających rozmowach, reżyser zgodził się na powierzenie mi roli Maurice'a w „Ścisłym nadzorze". I kiedy nie wierzyłam w powodzenie, pokazał mi plakat z wydrukowanym tam moim nazwiskiem w obsadzie. Cóż więc mogłam zrobić?

— I była pani wzorową żoną?

— Chyba nie, bo za bardzo absorbowało mnie aktorstwo i tak jest do tej pory. Film zawsze był moim pierwszym kochankiem. A ja kocham film!

— Po filmie „Czas dojrzewania" mówiono o pani kolejnym romansie z partnerem?

— A słyszał pan o moim romansie z por. Borewiczem, z którym grałam w dwóch nowych odcinkach serialu TV „07 zgłoś się"? A o mojej wielkiej miłości z niemieckim aktorem Mirko Hanigerem? To może o tym, że byłam kochanką Henryka Bisty, bo leżałam z nim w łóżku w scenie filmu „Porcelana w składzie słonia"? Proszę pana, ze wszystkimi partnerami, z którymi grałam w filmach, miałam romanse. Zwłaszcza w oczach moich wielbicieli.

— Ale faktem jest, że bardzo angażuje się pani w to, co robi na planie.

— Przy kręceniu „Czasu dojrzewania" poznałam chłopaka, który wieczorami opowiadał mi o życiu autentycznych narkomanów, o tym jak on to zaczynał. Dzięki tym opowieściom mogłam bardziej zbliżyć się do postaci mojej bohaterki.

— Kręcąc „Alabamę" miała pani autentyczny romans z partnerem?

— A skąd pan o tym wie? Cała wytwórnia filmów o tym mówiła, tak? A czy nie podziela pan opinii, że Grzegorz Matysik to piękny chłopak? Bo ja uważam, że takim jest. Na ekranie grałam głęboko i prawdziwie zakochaną w nim Bożenę, ale przecież jestem zawodową aktorką i wiem, na czym polega improwizacja. Film traktowałam jak wielką przygodę i zabawę. Teraz już tak nie myślę. Ale nie żałuję tego, co przeżyłam podczas kręcenia „Alabamy", w końcu z takich i innych przeżyć składa się życie.

— Podobno mąż widząc panią nagą w objęciach partnera na plakatach filmu „Alabama" zdzierał je, a panią zamykał w domu, gdzie w oknach założył kraty?

— Po części tak było, choć kraty założyłam sama po próbie włamania do mojego mieszkania. Wychodząc za mąż za aktora myślałam, że w związku z tym nie będzie żadnej zazdrości męsko-damskiej, ale niestety, stało się inaczej, wzięłam przecież za męża górala. Po „Alabamie" miałam codziennie awantury i na próżno przekonywałam męża, że w „Alabamie" nie tylko się rozbieram, ale gram główną rolę i widzowie patrzą nie tylko na moje nagie ciało, ale i na moje aktorstwo. Jego drażniły moje nagie zdjęcia.

— Jakie role powierzali pani najchętniej reżyserzy?

— Najczęściej role współczesnych, dość skomplikowanych dziewcząt, obowiązkowo pięknych. Dopiero Wanda Jakubowska odważyła się zaproponować mi rolę odmienną, z czego bardzo się cieszę. Również Paweł Sala zobaczył we mnie odtwórczynię tragicznej roli Onej w dwuosobowym filmie TV „Schron". Była to wspaniała praca, która bardzo poszerzyła mój aktorski warsztat.

— Czy chętnie rozbiera się pani na planie?

— Myślę, że niektóre z tego typu scen są potrzebne filmowi i jeżeli są uzasadnione — rozbieram się. Być może za 10 lat już nie będę mogła się rozbierać. Jestem przecież aktorką, własnością publiczną.

— Zapłaciła pani za to pewną cenę w życiu prywatnym.

— Wiem. Najgorzej, gdy w jednym domu spotka się dwóch Hamletów. Myślałam, że jeżeli jest między dwojgiem ludzi miłość, to nie będzie rywalizacji zawodowej. Teraz wiem, że to nieprawda. W życiu zawsze tak bywa, że ktoś przejmuje ster, raz jest to kobieta, raz mężczyzna. Przez ostatnie dwa lata ja trzymałam ster, bo to ja grałam w kraju, on był w Czechosłowacji. Gdy przyjechał do Polski, zastał tu taką a nie inną sytuację. A każdy z aktorów jest pazerny na granie i doszło do głupich sprzeczek. Najlepiej czuję się sama ze swoim zawodem.

— W NRD grała pani „podarowaną dziewczynę"?

— Reżyser Karl Heinz Lotz szukał aktorki, która odpowiadałaby jego wyobrażeniom o bohaterce filmu „Młodzi ludzie w mieście" i która umiałaby świetnie tańczyć, bo była to rola tancerki rewiowej. Nigdy nie proponował mi nagich scen w swoim filmie, poza jedną sceną kąpieli w wannie, a proszę zauważyć, że była to wanna z lat trzydziestych, zupełnie inna od obecnych. Siedziałam w niej zakryta do połowy i najlepszy operator NRD Gunter Haulbold sfotografował profil mojej jednej piersi. Oglądałam zdjęcia, było to bardzo subtelne i piękne.

— Niebawem wyjedzie pani na zdjęcia do Paryża?

— W filmie Jerzego Obłamskiego „Turyści" gram rolę Francuzki, zakochanej w Polaku, który nie może zostać we Francji, a ona nie chce przyjechać do Polski.

— Czy w Paryżu odszuka pani Romana Polańskiego?

— Być może odwiedzę Polańskiego, ponieważ jest dla mnie największym reżyserem świata, ale zdaję sobie sprawę, że mam 24 lata i nie jestem już dla niego atrakcyjną dziewczyną.

— Jest pani na etacie w Teatrze Dramatycznym w Warszawie, ale mało grała pani na stołecznej scenie?

— Nie miałam na to czasu, grając bez przerwy w filmie, ale teraz zagram dziewczynę punk w sztuce Ireneusza Iredyńskiego „Dziewczynki" w reżyserii Tadeusza Kijańskiego, który chce ją przenieść także na ekran filmowy. Kaśka będzie moją pierwszą dużą rolą na dużej scenie w Warszawie. Ciekawostką będzie fakt, że poruszam się cały czas na wrotkach. Boję się tej pracy, ale przyjęłam rolę, aby sprawdzić się w teatrze.

— Postanowiła pani zerwać z dotychczasowym życiem i... zakochała się na nowo...

— Zakochałam się w operatorze filmowym — artyście malarzu, starszym ode mnie o 11 lat, ale jakże dojrzałym, mądrym, ciekawym, wspaniałym, wprost cudownym. Zawsze chciałam mieć dom, w którym byłoby dużo spokoju, estetyki i zrozumienia dla mnie.

— Potrafi pani być okrutną. Słyszałem, że w Pradze, w odpowiedzi na wspaniałe przyjęcie przez męża na dworcu, gdzie była cygańska orkiestra i szampan, powiedziała pani, że jest zakochana w innym.

— C'est la vie!

— Zaskoczy pani wszystkich pokazując się ubrana w obozowy pasiak więźniarki z Oświęcimia?

— Nie bardzo wierzyłam, że Wanda Jakubowska właśnie mnie powierzy tę rolę. Pierwszym człowiekiem, który przekonał mnie do zagrania roli Anny w „Zaproszeniu do tańca" był Andrzej Czekalski, u którego wcześniej zagrałam Nadzieję w filmie „Porcelana w składzie słonia". Wanda Jakubowska odbyła ze mną dwie długie rozmowy, pytając o stan zdrowia, odporność, serce, organizm, a wszystko to w obawie o moją wytrzymałość fizyczną i psychiczną podczas bardzo trudnych zdjęć w Brzezince i Oświęcimiu. Ta praca przerażała mnie i pociągała. Zdjęcia zakończyłam, teraz, czekając na premierę, dowiedziałam się od przyjaciół i wrogów, że jest to moja najlepsza rola w polskim filmie.

— Boi się pani przybywających lat?

— Kobieta, która kocha i jest kochana nie powinna się tego bać.

Rozmawiał:
BOHDAN GADOMSKI

Foto: Zbigniew Kopania

Zima

GRZEGORZ GAŁASIŃSKI

Rys. Zenona Pionk

UFO szaleje na Lubelszczyźnie

JAKUB ROMANOWSKI

Przybywają najczęściej wieczorem, między szesnastą a dwudziestą pierwszą. Mają kosmiczne pojazdy podobne do talerzy, białych autobusów lub świecących cygar. Wysyłają paraliżujące światło w kolorze błękitnym, czasem przyjazne w kolorze pomarańczowym. Zwykle jest Ich dwóch, wzrostu około półtora metra. Oczy mają skośne, wyłupiaste, cerę zieloną, szarą, białą albo matową. Noszą ciemne obcisłe skafandry, przypominające strój płetwonurków. Wydają nieartykułowane dźwięki, chrząkają. Niektórzy biegle władają językiem polskim. Potrafią też mówić po angielsku i niemiecku. Stosują telepatię. Poruszają się wolno, krótkimi skokami. Bez kłopotów chodzą po bagnach. Żywią się pokarmem podobnym do sopli lodu. Alkoholem gardzą. Chętnie zapraszają na pokład latającego talerza. Gości poddają bezbolesnym badaniom. Spotkania przebiegają w zdrowej i serdecznej atmosferze. Uwaga: dotychczas uprowadzili stu ludzi. Wśród porwanych nie było Polaków.

Można Ich spotkać w wersji zminiaturyzowanej. Wpadają do mieszkań przez otwarte okna i miękko lądują na dywanach. Wyłażą ze swoich talerzy i bezczelnie penetrują kawalerki spokojnych obywateli. Mogą mieć od piętnastu do czterdziestu centymetrów wzrostu. Karły noszą jasnobrązowe stroje, pomarańczowe buty. Bywają agresywni. Odlatują zamieniając się w cygaro albo w świecącą piłkę. Ostatnio grasują na Lubelszczyźnie.

Dlaczego Kosmici zaciekle penetrują akurat Lubelszczyznę, wiedzą tylko Oni sami. Nas nie raczą informować o celach niezapowiedzianych wizyt. Szkoda, moglibyśmy wskazać Im ciekawsze miejsca, pomóc, doradzić i wyjaśnić. Co innego, gdyby UFO lądowało w okolicach Huty Katowice czy szybu naftowego w Karlinie, rozpytując o tajniki licencyjnego Berlieta oraz sekret wytwarzania bistoru. Niestety, Oni wolą Lubelszczyznę. Tutaj namolnie zaczepiają prostych ludzi, od pokoleń na krok nie ruszających się ze swoich wsi i miasteczek. Poddają ich skrupulatnym testom na inteligencję. Sieją niepokój społeczny, zakłócają prace polowe. Czego chcą?

Na Lubelszczyznę zawitali już ponad sto lat temu. Prawdopodobnie w celach zwiadowczych. Lecieli z południa, uformowani w regularny klucz. Było to dokładnie 18 grudnia 1839 roku. Najlepiej widzieli Ich mieszkańcy Szczebrzeszyna. Kronikarze zanotowali, że obserwowano poziome pierścienie i słupy ognia pulsujące kolorowym światłem. Skutecznie odpędzono Ich przy użyciu świętych obrazów wystawionych w okna chałup. Uciekali jak oparzeni. Miejscowy ksiądz jednoznacznie przypisał Im diabelskie pochodzenie.

Po tym niemiłym zdarzeniu Kosmici omijali Lubelszczyznę. Od czasu do czasu lądowali w głębi kraju. Szczególnie na Czarciej Wyspie i w Puszczy Piskiej, gdzie mieli ulubione bazy wypadowe. Ufolodzy dowodzą, że Kosmici bardziej wówczas interesowali się Stanami Zjednoczonymi, Wielką Brytanią i Francją, co jest zrozumiałe, z uwagi na rolę tych państw w rozkwicie ziemskiej cywilizacji.

Dopiero w końcu lat siedemdziesiątych, kiedy doganialiśmy światową czołówkę techniczną, UFO powróciło do nas na dobre. I znowu wzięło kurs na Lubelszczyznę. W 1977 roku UFO przemyka nad kilkoma tamtejszymi miastami i wsiami, mrugając niebieskim światłem. Ale miejscowa ludność nie daje się zaskoczyć. W sierpniu latające obiekty zostają sfotografowane. Zdjęcie przedstawia jasną kulę na tle czarnego nieba. Nie ma żadnych wątpliwości — UFO istnieje.

Odtąd Kosmici przystępują do konsekwentnej realizacji sobie tylko wiadomych zadań badawczych. Penetrują lubelską wieś, nawiedzają małe miasteczka, sprytnie wymykając się spod kontroli radarowej. Wiara w Ich istnienie przenika strzechę. UFO stopniowo wypiera czarownice, strzygi, wilkołaki oraz inne Niezidentyfikowane Obiekty Latające.

11 maja 1978 roku UFO ląduje niedaleko wsi Emilcin, sześć kilometrów od Opola Lubelskiego. Kosmiczny statek cumuje pod brzozą, na łące siedemdziesięciojednoletniego rolnika Jana Wolskiego. Około godziny ósmej rano, Wolski wracając z niedalekiej Dąbrowy Kuśnieńskiej, wjeżdża konnym wozem na polną drogę prowadzącą do jego zagrody. W pewnej chwili koń rolnika zaczyna przejawiać oznaki niepokoju. Wolski dostrzega przed sobą dwie czarne postacie zmierzające w jego kierunku. Nieznajomi poruszają się łagodnymi skokami. Mają około półtora metra wzrostu, zielone twarze, takież dłonie, skośne oczy, lekko zgarbione plecy. Ubrani są w czarne obcisłe skafandry, podobne do uniformów noszonych przez płetwonurków. Tajemnicze istoty lekko wskakują na tył wozu. Porozumiewają się za pomocą nieartykułowanych dźwięków, Przejechawszy kilkadziesiąt metrów, ruchami rąk nakazują Wolskiemu zatrzymanie wozu. Rolnik posłusznie spełnia polecenie. Zaprzęg staje nie opodal brzozy, pod którą cumuje duży biały pojazd podobny do autobusu. Obiekt unosi się nisko nad ziemią. Rolnik mimowolnie zsiada z wozu i podchodzi do białego pojazdu. Przybysze każą Wolskiemu wejść na skrzynię, która delikatnie wnosi go na pokład statku. Wnętrze pojazdu ma kolor czarny. Jest w nim dwanaście miękkich foteli. Dwa z nich zajmują osobnicy w skafandrach. Na podłodze leży dziesięć czarnych kruków z przekręconymi łebkami. Wolski powodowany jakąś tajemniczą siłą rozbiera się do naga. Kosmici badają go przy użyciu metalowych aparatów. Badanie trwa kilka minut, jest bezbolesne. Po jego zakończeniu osobnicy o zielonych twarzach częstują Wolskiego pokarmem przypominającym sople lodu. Rolnik odmawia. Przybysze pozwalają mu opuścić pokład statku. Na ukłony Wolskiego odpowiadają ukłonami. Rolnik odjeżdża.

Zajechawszy przed chałupę, Wolski odzyskuje pełnię władzy nad sobą. O niezwykłym spotkaniu natychmiast informuje sąsiadów. Ci biegną we wskazanym kierunku, lecz dziwnego pojazdu już nie ma.

Po południu Wolski idzie do gospody, gdzie z przejęciem relacjonuje swoją przygodę. Ma wielu słuchaczy. Niebawem fragmenty niesamowitej opowieści rolnika docierają do posterunku milicji. Komendant zarządza oględziny miejsca, które wskazuje Wolski, utrzymując, że tam właśnie lądował tajemniczy pojazd. Na łące nie ma żadnych śladów potwierdzających słowa rolnika. Sąsiedzi Wolskiego nie zauważyli niczego niezwykłego. Tylko sześcioletni Adam i dwa lata od niego młodsza siostra Agnieszka twierdzą, że rano widzieli biały samolot, który przelatywał nad stodołą.

Rolnik Jan Wolski zostaje poddany testom — tym razem przy zastosowaniu ziemskiej aparatury. Badania wykazują, że Wolski święcie wierzy w to, o czym opowiada. Rolnik nie ma telewizora, gazet nie czyta, o UFO nigdy nie słyszał. Przybyszów nazywa Marsjanami.

Za sprawą Wolskiego Emilcin zyskuje sławę przekraczającą granice naszego kraju. Zachodnie agencje donoszą, że w podlubelskiej wsi miało miejsce spotkanie trzeciego stopnia. Do akcji ruszają dziennikarze, ufolodzy, psychiatrzy. Wnikliwi obserwatorzy dostrzegają wypalony wrak autobusu porzucony za strażacką remizą w Emilcinie....

Trzy lata później, 11 listopada 1981 roku. Wolski ponownie odtwarza tamte wydarzenia. Stojąc przed kamerą telewizyjną mówi, że kosmiczny pojazd był niklowo-przezroczysto-biały. Miał pięć metrów długości, wypukły dach, a na bokach wirujące śruby. Przypominał maszynkę do mielenia mięsa. Dzieci, które uprzednio widziały tajemniczy samolot, nie chcą o nim rozmawiać.

Niedługo potem Jan Wolski umiera. Ale z Lubelszczyzny napływają sensacyjne informacje, podważające fakt śmierci rolnika. Okoliczna ludność jest mocno zaniepokojona. Domorośli ufolodzy podejmują działania wyjaśniające. Opowiada ufolog-amator Andrzej Kowalczyk:

— *Rozmawiałem z ludźmi, którzy podobno widzieli jak nieboszczyk Wolski chodził po wsi. Nie wszystkim się ukazywał. Dwie osoby widziały go kręcącego się koło gospody. Inni mówią, że Wolski czasem zagląda do swojego domu. Głosu Wolskiego nikt nie słyszał. W nocy nad tą łąką, gdzie wylądował statek, ukazuje się jasna poświata. Ludzie mówią, ze Wolski musiał trzymać z Marsjanami, więc teraz jest u nich i od czasu do czasu przylatuje, żeby doglądnąć gospodarkę...*

Spekulacje trwają.

W czerwcu 1982 roku rolnik Stanisław P. z podlubelskiej wioski spostrzega błękitną świecącą kulę, która ląduje tuż za jego stodołą. Lądowaniu towarzyszy silny podmuch wiatru i przenikliwy świst. Z wnętrza kuli wychodzą dwie człekokształtne istoty ubrane w szare skafandry. Mają około półtora metra wzrostu. Osobnicy ci idą w kierunku stawu, gdzie całkowicie zanurzają się w płytkiej wodzie. Ich pojazd emituje światło, na przemian żółte i różowe. Rolnik usiłuje zbliżyć się do tajemniczego obiektu, lecz nieznana siła paraliżuje jego ruchy. Dwie, może trzy minuty później, szare postacie wyłaniają się ze stawu. Niosą jakiś podłużny czarny przedmiot. Niezgrabnie wkładają go do wnętrza statku. Następnie przybysze dwukrotnie obchodzą świecącą kulę, dotykając ją w kilku miejscach. Po wykonaniu tych czynności, dwaj osobnicy nieśpiesznie wchodzą na pokład, czyli do wnętrza kuli. Pojazd startuje pionowo w asyście jasnego oślepiającego blasku. Zaraz też rolnik odzyskuje władzę w rękach i nogach. Biegnie w kierunku stawu, ale na piaszczystym brzegu nie dostrzega żadnych śladów stóp.

Kilka dni później Stanisław P. relacjonuje owe zdarzenia swojej siostrze, mieszkance Lublina. Jest wyraźnie zaaferowany. Kobieta sceptycznie odnosi się do niezwykłej opowieści. Jest przekonana, że Stanisław miał sen. Jednakże po tygodniu lublinianka stara się namówić brata do ponownego odtworzenia tajemniczych wydarzeń. Ale rolnik zdecydowanie zaprzecza, jakoby widział lądowanie niezidentyfikowanego obiektu. Wygląda na to, że opisane wypadki zostały skutecznie wymazane z jego pamięci...

W lipcu 1984 roku samotnie mieszkający emeryt Józef P. z Lublina dostrzega jasny błysk za oknem swego domu. Chwilę później słyszy delikatne stukanie do drzwi. Jest godzina dwudziesta druga. Emeryt przekręca klucz w zamku i uchyla drzwi. Za progiem w odległości trzech metrów stoją dwie postacie ubrane w czarne kombinezony. Na głowach mają czerwone hełmy z antenami. W dłoniach trzymają latarki wysyłające różowe światło. Staruszek gwałtownie zatrzaskuje drzwi. Jeden z osobników donośnym głosem informuje, że jest wysłannikiem dalekiej cywilizacji. Mówi coś jeszcze, lecz przerażony emeryt nie jest w stanie zapamiętać Jego słów. Barykaduje wejście i przez trzy kolejne dni nie opuszcza mieszkania.

Czerwone hełmy są bardzo podobne do motocyklowych kasków, jakie mają chłopcy z sąsiedztwa, którym emeryt nie pozwala kopać piłki w pobliżu swego domu...

Tymczasem UFO kontynuuje bezprzykładną krucjatę. Spod dłut ludowych artystów wychodzą drewniane figurki z antenkami na głowach. Dzieci nucą piosenki o zielonych ludzikach. Jedenastoletni chłopiec, usprawiedliwiając swoją nieobecność w szkole, twierdzi, że widział latający talerz i musiał przed nim uciekać...

Ta wielce dramatyczna sytuacja usprawiedliwia fakt, że w 1985 roku Ogólnopolski Zjazd Ufologów zorganizowano właśnie w Lublinie. Miejscem burzliwych obrad jest aula Wydziału Fizyki Uniwersytetu im. Marii Curie-Skłodowskiej. Na wezwanie stawia się blisko setka wybitnych autorytetów, teoretyków i praktyków ufologii. Niektórzy z nich posiadają tytuły naukowe. Zgłaszają się także osoby utrzymujące, że na co dzień mają przyjacielskie kontakty z UFO. Tylko światowej sławy ekspert od wszelkiej maści Kosmitów, Stanisław Lem, odrzuca zaproszenie na zjazd. Dominują gorący sympatycy UFO.

Ponieważ wysłannicy obcych cywilizacji niegrzecznie wypinają się na zlot swoich fanów, dyskusja krąży wokół dowodów na Ich istnienie. Dowodów takich zebrano już więcej niż może pomieścić średniej wielkości latający talerz. Są więc fotografie przedstawiające najnowsze modele nieziemskich pojazdów w wersji standard oraz special. Są negatywy, na których podstępnie utrwaliły się sylwetki bardzo dziwnych osobników, nieskatalogowanych w atlasach zoologicznych. Brakuje jedynie dowodu namacalnego, mogącego rzucić na kolana tłumy niewiernych. Dużą część rewelacyjnych fotografii łatwo rozszyfrowują specjaliści od kryminalistyki, przyklejając na nich karteczkę z napisem „fotomontaż". Nad salą obrad błąka się i chichoce duch Georga Adamskiego, zgrywusa, którego fotografia „wielkiego talerzowego statku" zmajstrowanego z pokrywy od pralnicy i tenisowych piłeczek, długo uchodziła za koronny dowód na istnienie UFO.

Warszawscy ufolodzy, trochę zawiedzeni z powodu omijania stolicy przez Kosmitów, deklarują gotowość do nawiązania przyjacielskich kontaktów z załogami latających talerzy. Na razie UFO daje warszawiakom cynk, gdzie i kiedy Ich fotografować. Przygotowania trwają.

Natomiast lublinianie, mocno podbudowani ciągłymi wizytami tajemniczych gości, postanawiają zawiązać unię międzywojewódzką w celu krzewienia nowej wiary.

Zjazd ufologów wyraźnie dopinguje Kosmitów do zmasowania nalotów na Lubelszczyznę. Jakby dla poparcia swych wyznawców, Niezidentyfikowane Obiekty Latające urządzają istną defiladę na niebie Lublina, Świdnika i Krasnegostawu. 3 października 1985 roku świecący obiekt przez dłuższy czas prowokacyjnie wisi w powietrzu, skutecznie rywalizując ze starym dobrym Księżycem. Świadkowie twierdzą, że UFO ma kształt rury ziejącej ogniem. Są przypadki ciężkiego zastraszenia z powodu łudzącego podobieństwa do rakiet znanych z filmów grozy.

Nazajutrz Kosmici przypuszczają loty dywanowe. Około godziny siedemnastej czterdzieści pięć w przestrzeni powietrznej nad Lubelszczyzną ukazują się jasne obiekty lecące z ogromną prędkością. Tajemnicze kule emitują duże ilości jasnego światła. Robi się tak widno, że spokojnie można czytać gazetę. Obserwatorzy natychmiast zauważają, że światło to nie daje cienia. Mieszkańcy Jastkowa pod Lublinem określają latający obiekt, jako silnie świecącą gwiazdę z ogonem.

5 października 1985 roku w Świdniku do mieszkania na pierwszym piętrze wlatuje obiekt z grubsza podobny do talerza. Statek silnym podmuchem otwiera okno, przez które dostaje się do pokoju. Jest godzina osiemnasta trzydzieści. Właściciel mieszkania, Krysztof K., obudzony nagłym hałasem, widzi owalny przedmiot miękko siadający na dywanie. Talerz emituje różnobarwne promienie. Towarzyszy im cichy, lecz przenikliwy pisk. Świadek relacjonuje:

— *Leżałem jak oniemiały. Z początku myślałem, że przez okno wpadła piłka, ale to coś świeciło. Chciałem się podnieść z wersalki, lecz nie mogłem ruszyć nogami. Zobaczyłem jak przez dach talerza wyszedł mały ludzik. Miał jakieś dziesięć centymetrów wzrostu — no, może trochę więcej. Nosił brązowe ubranko oblepione malutkimi lusterkami. Na nogach miał pomarańczowe buciki. Głowy nie widziałem, bo była nakryta granatową bańką. Ludzik pomaszerował do segmentu, wdrapał się na półkę, potem na następną, w końcu doszedł do szyby, za którą stoi serwis. Musiał czymś strzelić, bo szyba rozleciała się w drobny mak. Ludzikowi nic się nie stało. Widziałem jak szukał czegoś między skorupami. Potem okropny blask oślepił mnie. Stateczek poderwał się z podłogi, aż spadł wazon i poprzewracały się krzesła. Odleciał przez okno. Wtedy spojrzałem na zegarek. Wskazówki zatrzymały się na wpół do siódmej...*

Pół godziny później do domu wraca żona Krzysztofa K. Kobieta opowiada:

— *Kiedy byłam na schodach, wyjrzała sąsiadka. Powiedziała, że u nas coś się dzieje, bo słyszała jak ktoś tłukł szkło. Otworzyłam mieszkanie i zobaczyłam powywracane krzesła i dużo szkła na podłodze. Mąż opowiedział mi co się stało. Najpierw nie mieściło mi się to w głowie, ale czytałam, że takie rzeczy się zdarzają. Nikomu o tym nie powiedzieliśmy, bo ludzie są różni. Mogą wziąć nas za wariatów. Z domu zginął złoty pierścionek. Na pewno był Im do czegoś potrzebny. Wódki w domu nie było...*

Ten oraz inne zarejestrowane przypadki tajemniczych zniknięć cennych przedmiotów, pozwalają wysunąć hipotezę o istnieniu „Trójkąta lubelskiego".

13 października 1985 roku na dworcu kolejowym w Lublinie zginął pociąg pośpieszny relacji Lublin — Szczecin Główny. Do Łodzi wróciłem okazją. Kierowca białego autobusu ubrany był w czarny skafander podobny do...